

Sabina Kruszyńska

Pętla czasu

Gdańsk-Wieżyca 2024

Przedślowie

Miejsca geograficzne nasączone są swoją indywidualną, osobną i niepowtarzalną historią. Historia kumuluje się w nich wraz z upływem czasu, narasta i pęcznieje. Staje się ogromna, ale pozostaje niewidzialna. Aby można było ją dostrzec, musi zostać wydobyta ze swego pozornego niebytu przez opowieść. Opowiedzieć natomiast wydobywa jedynie wyrywki z tej nieskończenie bogatej całości. Nie można opowiedzieć całej historii żadnego miejsca, bo składają się na nią życia wszystkich kiedyś obecnych w tych miejscach osób, wszystkich wspólnot, które te miejsca zagospodarowywały i wszystkich przedmiotów, które kiedykolwiek w nich się pojawiły. Zmienia się wygląd zewnętrzny miejscowości i ich okolic, nowe zdarzenia odsyłają w niepamięć zdarzenia z przeszłości, nowi ludzie zastępują tych, którzy odeszli, a nowe przedmioty zajmują miejsca przedmiotów wyrzuconych na śmietnik.

Moje opowieści kryminalne wydobywają z owej nieogarnionej całości, jaką tworzą historie miejsc, zaledwie kilka zdarzeń i kilka wpisanych w te zdarzenia ludzkich losów. Wszystko co opisuję, wydarzyło się naprawdę, a przynajmniej mogło się wydarzyć w tamtych latach, w tamtych okolicznościach i pośród tamtych ludzi. Fikcyjne są natomiast wątki kryminalne. Wątki kryminalne snują się w moich opowieściach jak przyciągająca uwagę ozdobna nić, która tworzy wymyślony, a zarazem wymysłny, wzór na realnej podstawie wykonanej z mocnych nici rzeczywistych wydarzeń.

Historie ludzi i miejsc opisane w książce „Pętla czasu” rozgrywają się, tak jak i trzech wcześniejszych moich opowieści kryminalnych¹, na Pomorzu Zachodnim. Tym razem jednak opuszczam bliskie moim osobistym wspomnieniom Mielno i przenoszę Czytelnika do miejscowości położonych kilka, kilkanaście lub kilkadziesiąt kilometrów od Mielna, ale organicznie z Mielnem połączonych przez swe położenie nad Bałtykiem, letniskowy charakter i, co najistotniejsze, rozdwojoną historię, historię przedwojenną i powojenną.

Takimi właśnie miejscowościami są Chłopy, Sarbinowo, Gąski, Ustronie Morskiego, Bagicz czy Kołobrzeg. Mielno to dawne Grossmöllen. Chłopy przed II wojną światową nosiły nazwę Bauerhufen. Sarbinowo było kiedyś Sorenbohm, a Gąski Funkenhagen.

¹ Moje opowieści kryminalne, których akcja toczy się przede wszystkim w Mielnie, ale w różnych okresach to: „Znikanie .Mielno 52” , „Plaża martwych panien. Mielno 68/69” i „Czas umierać. Mielno 82”.

Kryminalna akcja „Pętli czasu” rozgrywa się w realiach owej rozdwojonej historii nadmorskich miejscowości Pomorza Zachodniego, a czas akcji zatacza pętlę. Tajemnicze śmierci przez powieszenie zdarzają się od 1934 roku w Bauerhufen i Sorenbohm, a znajdują wyjaśnienie w 1983 roku w Chłopach i Sarbinowie. Ci, którzy są winni i ci, którzy winnych poszukują, także dzielą swe życie na czas przedwojenny i powojenny. Niektórzy są Niemcami, inni Polakami, a jeszcze inni zmieniają swą tożsamość. Niektórzy są oprawcami, inni ofiarami, a jeszcze inni nie odnajdują się po żadnej z tych stron. Wszystkich ich łączy, albo dzieli, nie tyle narodowość, co opowiedzenie się po stronie dobra, po stronie zła, lub poszukiwanie moralnego kompromisu.

Wiele ważnych i ciekawych informacji wykorzystanych w książce pochodzi z tekstów Roberta Dziemby zamieszczonych na stronie internetowej miasta Kołobrzeg (<https://miastokolobrzeg/historia>). Z teŹe strony pochodzą także niektóre zdjęcia zamieszczone na początku podrozdziałów.

Zdjęcia nadmorskich miejscowości i Koszalina często pochodzą z witryny „Stare zdjęcia i pocztówki. Historia zapisana na kartach pocztowych i kliszy”.

Ciekawe informacje o dawnym Bauerhuten (Chłopach) oraz zdjęcia znalazłam na stronie internetowej <https://www.chłopy.pl>.

Wszystkim autorom zamieszczonych na wyŹej wymienionych portalach treści składam podziękowania.

Rozdział pierwszy

1. Obudzone wspomnienia



Mar Fischer, drobny mężczyzna po sześćdziesiątce, długo bronił się przed wspomnieniami i dopiero wprowadzony przez reżym wojskowy w Polsce stan wojenny zimą 1981 roku przełamał jego niechęć do przywoływania dawnych czasów. Przywoływał je jednak tylko we własnej głowie. Jego rodzina, żona i dwaj już dorośli synowie, nadal niewiele wiedziała o miejscu jego urodzenia i lat młodości, czyli o Bauerhufen, nadmorskiej wiosce, która teraz nosiła obco brzmiącą nazwę Chłopy.

Bauerhufen przestało istnieć dla Mara Fischera wraz ze zniknięciem Pommern², rejencji Köslin³, Sorenbohm⁴, Grossmöllen⁵ i Kleinmöllen⁶, wraz z anihilacją jego małej ojczyzny. Wszystko co w niej się wydarzyło, przedstawiał sobie jako sen, czasami piękny, ale najczęściej zły. Snów zaś nigdy nikomu nie opowiadał.

W snach przejawiała się jego tęsknota za utraconą małą ojczyzną, ale wszelkie podejmowane przez znajomych próby wciągnięcia go do Gesamtvertretung der

² Pomorze Zachodnie

³ Koszalin

⁴ Sarbinowo

⁵ Mielno

⁶ Mielenko

Ostvetribenen⁷, a potem do Bund der Vertriebenen Deutschen⁸ traktował jako ataki na jego spokojne życie, które udało mu się zorganizować po 1949 roku w Bremie, właśnie dzięki temu, że na jawie przeszłość potrafił zepchnąć w niepamięć.

W grudnia 1981 roku jakby nagle coś się w Marze Fischerze obudziło. W jego mózgu uruchomiły się obszary, w których zamknął był wydarzenia sprzed 1933 roku - z okresu powszechnej euforii i triumfu – i z czasów wielkiego upadku, który nastąpił potem.

Wróciły wspomnienia z biednego ale spokojnego dzieciństwa, które przypadło na czas wielkiego światowego kryzysu, z wczesnej młodości, właściwa której beztroska została stłumiona przez złe wydarzenia oraz z wojennych lat rozczarowań i rozpacz. Pod koniec 1933 roku, kiedy miał zaledwie 12 lat, zrozumiał, że uporządkowany porami roku, wioskową hierarchią i stabilnymi zasadami wiejskiej codzienności świat dzieciństwa zatonął bezpowrotnie w powodzi czerwieni, bieli i czerni nazistowskich flag, zniknął w odcieniach mundurowej zieleni i nigdy już nie powróci do wcześniejszej postaci.

Po 1933 roku w Bauerhufen czerwone flagi z czarną swastyką powiewały dumnie na nadmorskiej plaży w każde wakacje. Łopotały na wietrze umieszczone wysoko na rozstawionych w równych odległościach drewnianych słupach. Słupy malowano przed każdym letnim sezonem białą farbą, owijano ozdobnymi girlandami, a następnie łączono schodzącymi aż do piasku sznurami z kolorowymi trójkątnymi chorągiewkami. Pomiedzy słupami, bliżej morskiego brzegu, rozstawiano białe kosze dla letników. Ład i biel panujące na plaży zapowiadały nadchodzący nowy porządek, na który, po latach kryzysu, czekano z wielką nadzieją.

Młody Mar Fischer chętnie poddał się ogólnej atmosferze oczekiwania na lepsze czasy. Cieszył się, że należy do nordyckiej rasy wybranej, która wprowadzi zmiecie z powierzchni ziemi to co stare, ale wprowadzi to co nowe, doskonalsze.

Flagi z Hakenkreuzem swymi mocnymi kolorami ożywiły monotonię wiejskiej zabudowy, rozbiły panującą w Bauerhufen senną atmosferę. Dumnie powiewały na skromnym budynku wiejskiej szkoły i na okazałym gmachu hotelu Astoria, który swym wielkomiejskim wyglądem wyróżniał się z wiejskiej zabudowy. Pośród parterowych białych domów z

⁷ Przedstawicielstwo Wypędzonych ze Wschodu

⁸ Związek Wypędzonych

czarnymi drewnianymi belkami, otoczonych sielankowymi kwietnymi ogródkami, zatopionych w zieloności lipowych alei, hotel Astoria zaskakiwał swym prawie pałacowym wyglądem, paradnym wejściem, nad którym dominował duży balkon z metalową ozdobną balustradą, ogrodem urządzonym na wzór francuski, gdzie alejki wysypano białym tłucznem a w zacisznych miejscach ustawiono białe drewniane altany. Należący do rodziny Rothów hotel, który miał swoją tajemniczą i dramatyczną historię, niewątpliwie był zarazem przedmiotem dumy i zazdrości mieszkańców Bauerhufen.

Stali mieszkańcy Bauerhufen nie bywali oczywiście gośćmi hotelu Astoria i rzadko także korzystali z hotelowej restauracji. Od czasu do czasu jednakże kupowali pieczywo i ciasta w prowadzonej przez właścicieli hotelu piekarnio-cukierni. Najczęściej jednak, przechodząc obok, tylko wciągali pachnące świeżymi wypiekami powietrze.

- Idź do Rothów – wołała do Mara matka, kiedy nie miała czasu na pieczenie chleba w domu – i kup bochenek chleba. Nie zgub pieniędzy trzpiocie i nie wgapij się w ciastka w cukierni. Obiecuję, że na niedzielę upiekę ci Butterkuchen.

- Dobrze – obiecywał za każdy razem, gdy matka wciskała mu w dłoń monetę, którą wygrzebywała ze starej, bardzo zniszczonej, skórzanej portmonetki.

Oboje wiedzieli, że nie spełnią dawanych sobie obietnic. On będzie przez długi czas stał w cukierni Rothów i łakomie patrzył na wyłożone w szklanych gablotach ciasta i ciasteczka, a ona nie upiecze maślanego ciasta, lecz w najlepszym razie ugotuje mu kluski i posypie cukrem.

- Nie narzekaj - powtarzała ilekroć przypominał daną przez nią obietnicę. – Nie chodzisz głodny, a czasy są ciężkie dla wszystkich. Każdy grosz się liczy. To co zarobię na letnikach, trzeba oszczędzać na zimę. Węgiel kosztuje, zapasy muszę zrobić. Z czego brać na to wszystko?

Znał już na pamięć ciąg matczynych narzekań i uciekał przed nimi do kolegów, na plażę, do nadmorskiego lasu czy na łąki. Wiedział, że kryzys rozlał się na całe Niemcy wciąż splacające wojenne odszkodowania. Pisano o tym w gazetach, które podczytywał na pocztach, mówili o tym dorośli, a i koledzy znosili nowe wieści.

Od 1933 roku należało interesować się polityką i należało mieć wspólne plany, według których będzie zmieniany świat. On i inni młodzi ludzie angażowali się zatem na swój

chłopięcy sposób w spory prowadzone przez dorosłych i popisywali przed sobą zdobytą gdzieś wiedzą o aktualnych wydarzeniach.

Rodzice Mara Fischer, Helga z domu Wit i Bruno Fischer, skromni rolnicy, kochali syna ponad wszelką miarę. Mar urodził im się w czasie, w którym jeszcze przeżywali żałobę po swym jedynym wtedy synu Walterze. Walter poszedł na wojnę w 1917 roku, gdy miał 17 lat i już nie wrócił. Zginął gdzieś nad Marną w 1918 roku i w ten sposób został bohaterem Cesarstwa Niemieckiego, które upadło kilka miesięcy później. Fischerowie, będąc oboje pod czterdziestką, nie spodziewali się już potomka. Mar był dzieckiem, które, jak mawiali, spadło im z nieba.

Kiedy nastała III Rzesza z jej wojenną retoryką, starsi już Fischerowie cieszyli się, że syn ma zaledwie 12 lat, że uniknie losu Waltera i będzie pociechą ich starości. Mar natomiast od urodzenia wiedział, że jest skarbem swych rodziców i starał się postępować tak, aby wypełniać pustkę po starszym bracie, którego nigdy nie poznał. Szybko spoważniał. Lubił towarzystwo ludzi starszych i ich opowieści o niesamowitych wydarzeniach z dalszej lub bliższej przeszłości, o tajemniczych zjawiskach i dawnych wierzeniach. Z nich budował sobie historię miejsca, swoją własną i otaczających go ludzi. Historia, której uczył się w szkole mniej go interesowała. Zbyt wiele było w niej historycznych praw, wojowniczych bohaterów, zwycięskich bitew i wielkich polityków. Ta światowa historia, jak wtedy naiwnie myślał, nie dzieje się w Bauerhufen i innych nadmorskich miejscowościach, które żyją swoimi troskami, dla których prawa przyrody są ważniejsze od praw historycznych, zaś najważniejsze te nieznane, o których mówią dawne legendy, mity i wierzenia.

- Nie słuchaj bajań – upominał go ojciec. – Istnieje tylko to, co widzimy na własne oczy.

- Wiem, wiem – odpowiadał niedbale i uśmiechał się porozumiewawczo do matki, która w tej ważnej dla niego sprawie miała zdanie mniej trzeźwe niż ojciec.

Mar dopiero po wielu latach zrozumiał, że ojciec, człowiek niewykształcony, doskonale wychwytywał niebezpieczeństwo tkwiące w myśleniu mitycznym. Ojciec nie wiedział o powstałym pod koniec I wojny światowej okultystycznym stowarzyszeniu Thule, głoszącym prymat rasy aryjskiej, którego godłem była opromieniona swastyka wieńcząca nagi miecz opleciony gałązkami dębu. Ojciec nie mógł także znać poglądów Alfreda Rosenberga, wpływowego członka tegoż stowarzyszenia i głównego ideologa NSDAP,

Narodowosocjalistycznej Niemieckiej Partii Robotników. Wyczuwał jednak tak zwanym szóstym zmysłem, że świat symboli, w którym tak chętnie przebywa jego syn, oswaja umysł młodego chłopca z szalonymi ideami tych, którzy doszli do władzy.

Po nagłym i niechcianym obudzeniu się pamięci Mara Fischera w grudniu 1981 roku, wspomnienia z lat przedwojennych i wojennych ruszyły lawiną. Fischer nie potrafił już tej lawiny zatrzymać i aby go ona nie przygniotła musiał się ratować, musiał działać.

- Najlepiej by było - myślał - gdybym zajął się czymś, co pochłania dużo czasu i fizycznie porządnie męczy tak, że przestaje się myśleć.

Mar Fischer już nie pracował zawodowo. Przeszedł na emeryturę, gdy skończył 60. lat. Miał powody. Jego organizm wcześniej od umysłu przypominał sobie o traumach młodości. Choroba, której nabawił się pod koniec wojny w marcu 1945 roku, dawała o sobie znać coraz częściej, a długoletnia praca fizyczna w obsłudze naziemnej bremeńskiego lotniska wyczerpała wątle zasoby jego organizmu.

Okazja zrobienia czegoś sensownego i absorbującego psychicznie i fizycznie nadarzyła się sama. Z Niemiec Zachodnich do Polski zaczęto wysyłać dziesiątki tysięcy paczek z żywnością, środkami czystości i lekarstwami. Polski reżim wojskowy wprawdzie utrudniał przekazywanie pomocy, ale go nie zablokował. Kontrola celna na granicach niemiecko-niemieckiej i niemiecko-polskiej hulała. Łapownictwo kwitło. Wszyscy zatem korzystali. Władza i społeczeństwo. W polskich sklepach półki były puste, w szpitalach brakowało najprostszego sprzętu a w aptekach lekarstw. Przekazywane głównie z Niemiec produkty spożywcze, higieniczne i medyczne stały się przedmiotami pożądania. Paczki z pomocą trafiały do osób prywatnych i do instytucji kościelnych, które zaczęły zajmować się rozdawaniem darów.

W Niemczech Zachodnich inicjatywa pomocy pojawiła się oddolnie. Prywatne osoby organizowały zbiórki produktów, pakowały je i wysyłały. Państwo niemieckie przyszło im z pomocą, zwalniając wysyłki do Polski z opłat pocztowych i celnych.

Mar Fischer dołączył do akcji pomocowej wówczas, gdy zaczęto organizować duże transporty samochodowe. Najpierw tylko pracował przy załadunku oraz włączył się w akcję zbierania funduszy na zakup przewożonych produktów. Ale kiedy niektóre transporty z

Bremy zaczęły trafiać do Koszalina, a dokładniej do kościoła katolickiego prowadzonego przez zakon franciszkanów, coś w nim drgnęło. Nie musiał już lękać się trudnych wspomnień z przeszłości, bo przecież i tak stały się one jego codzienną udręką.

Postanowił zabrać się jako pomocnik z pierwszym nadarzającym się transportem, pomimo że ci, którzy już kilkakrotnie przekraczali granicę pomiędzy Niemcami Zachodnimi i Wschodnimi a potem granicę niemiecko-polską, opowiadali o upokarzających kontrolach, szczegółowych nieprzyjemnych indagacjach i konieczności wykupywania się. On jednak czuł, że musi wrócić do miejsca, w którym przeżył szczęśliwe dzieciństwo, mniej szczęśliwą młodość i traumatyczne wejście w wiek dorosły i w ten sposób oswoić dręczące go teraz, a wcześniej zepchnięte w głąb jaźni, wspomnienia. Pierwsza ekspedycja, z którą zabrał się do Polski wyruszyła w drogę w połowie kwietnia 1983 roku.

2. Komisarz



Komisarz kryminalny Hans Stratmann nie czuł się dobrze w nowym miejscu pracy. Do Kriminalpolizei⁹ w Köslin trafił zaledwie przed rokiem, uciekając z jednego z osławionych berlińskich wydziałów zabójstw przed nasilającym się od 1933 roku upolitycznieniem, któremu całkowicie poddał się szef pruskiej krajowej policji kryminalnej.

Prowincjonalny Köslin był dla Hansa Stratmanna prawdziwym zesłaniem. W köslińskim Kripo nie miał szans na awans, nie mógł liczyć na kompetentnych współpracowników i w

⁹ Policja kryminalna, w skrócie Kripo.

ogóle na jakiejkolwiek perspektywy zawodowego rozwoju. Czasy były jednak politycznie bardzo trudne, a jego przyszłość zawodowa w stolicy niepewna. Musiał wybrać przetrwanie trudnych czasów na prowincji, gdzie zamierzał wegetować, ograniczając do niezbędnego minimum zaangażowanie w pracę. Cierpiał zatem, ale milczał i robił to, co do niego należało.

Trzymał się trochę na uboczu, nie zawierał bliższych znajomości, ale wobec kolegów z pracy zachowywał się przyjaźnie i lojalnie. Nie chciał zwracać na siebie ich uwagi, bo i tak przyglądali się uważnie przybyszowi ze stolicy i snuli domysły co do powodów zmiany miejsca pracy z osławionego berlińskiego Kripo na nieliczącą się policję kryminalną w Köslinie.

Na szczęście miał pod ręką wiarygodne wyjaśnienie swojej kontrowersyjnej decyzji, a mianowicie konieczność opieki nad chorującą na reumatyzm matką, która coraz częściej przebywała w Bad Polzin¹⁰ i w Kolbergu¹¹, uzdrowskich zapleczach Berlina, w których, jak powszechnie głośzono, najskuteczniej leczy się reumatyzm. Istotnie zabrał matkę z jej ukochanego Berlina, aby zamieszkała razem z nim w Köslinie, aby mógł nadal opiekować się tracącą sprawność samotną kobietą i ułatwić jej częste pobyty w sanatoriach Bad Polzinu i Kolbergu.

Jako tak zwany „stary kawaler”, co do którego stracono już nadzieję, że znajdzie wreszcie odpowiednią kobietę i ożeni się z nią, podlegał pewnej taryfie ulgowej. Z pobłażaniem i bez nadmiernej złośliwości komentowano jego nadmierne przywiązanie do matki i ciągle się o nią troszczenie, a on bez skrepowania i wyrzutów sumienia korzystał z każdej okazji, aby powołując się na synowską powinność wymawiać się od niektórych niechcianych przez niego obowiązków, które coraz częściej dotyczyły spraw politycznych, a nie kryminalnych.

Długo uważający się za młodego mężczyznę Hans Stratmann „starym kawalerem” stał się niepostrzeżenie z biegiem lat i nawet tego nie zauważył. Jako mężczyźnie niczego mu nie brakowało. Ten niewysoki, szczupły i dbający o swój wygląd policjant o ostrych rysach twarzy i niskim głosie nawet teraz, gdy dobijał do pięćdziesiątki, podobał się kobietom. Miał za sobą liczne krótkotrwałe romanse, które nawiązywał jednak głównie z mężatkami, jakby podświadomie bał się założenia rodziny. W Berlinie w pełni oddawał się pracy, więc nie miał wiele czasu na sprawy prywatne. W Köslinie zaczął odczuwać brak kobiety, z którą mógłby dzielić łóżko, stół oraz dzielić troski.

¹⁰ Połczyn Zdrój

¹¹ Kołobrzeg

- Hans, weź Fritza i jedź do lasu pomiędzy Kleinmöllen a Bauerhufen – rozkazał Hansowi Stratmannowi przełożony, radca kryminalny Georg Daube, wezwawszy go do swego gabinetu pewnego mrocznego listopadowego ranka 1934 roku.

– Ktoś tam się powiesił. Wisielca pilnuje żandarm z Sorenbohm – dodał Daube.

- Kobieta czy mężczyzna – zapytał machinalnie Stratmann, bo szczególnie był wrażliwy na samobójczą śmierć kobiet.

Komisarz Stratmann nie rozmyślał nad powodem tej swoistej dziwnej wrażliwości. Zajmowanie się nieboszczykami – ofiarami innych lub samych siebie – nie przygnębiało go ogólnie rzecz biorąc. Znał doskonale wszelkie techniki kryminalne stosowane w poszczególnych śmiertelnych przypadkach i na nich się skupiał w czasie pracy, a nie na ofiarach.

Samobójstwa kobiet zaczęły go napawać lękiem od czasu samobójczej śmierci ojca. Ojciec Hansa Stratmanna, Leo Stratmann, powiesił się przed trzema laty w rodzinnym berlińskim mieszkaniu tuż potem, jak dowiedział się o swym żydowskim pochodzeniu. Żydówką była babka ze strony jego matki.

Leo Stratmann był zafascynowany pojawieniem się na scenie politycznej osłabionych po wojnie Niemiec antysemitycznej partii narodowej NSDAP z jej charyzmatycznym przywódcą Adolfem Hitlerem. Świadomość, że w jednej czwartej płynie w nim krew żydowska stała się dla niego nie do zniesienia. Odebrał sobie życie, bo jego życie straciło sens. Czuł się zhańbiony i słusznie skazany na społeczny ostracyzm.

Samobójcza śmierć ojca sprawiła, że Hans, jedyny syn Johanny i Lea Stratmannów, zaczął podświadomie obawiać się o to, jak on sam zareaguje na tę niewygodną wiedzę o żydowskim pochodzeniu. Ta wciąż narastająca w nim obawa przejawiała się u niego także jako chorobliwy strach o matkę. Natrętnie myślał, że i ona wkrótce może popełnić samobójstwo.

Stąd, jak można przypuszczać, wziął się jego nieprofesjonalny lęk przed wisielcami płci żeńskiej. Hans Stratmann nie podzielał narodowosocjalistycznych fascynacji politycznych ojca, ale wiedza o dalekich wprawdzie, ale żydowskich przodkach była mu przykrą. Ona właśnie i odczuwany coraz silniejszy niepokój przed jej publicznym ujawnieniem, była prawdziwym powodem ucieczki z Berlina do Köslina. Powodem, który znał tylko on i o którym nawet matce nigdy nie powiedział.

Berlin, jego rodzinne miasto, miasto, które kochał, nagle pokazało mu swoje wrogie, dotąd nieznane oblicze. W kwietniu 1933 roku zaczął się bojkot żydowskich sklepów. Na ich witrynach i drzwiach pojawiły się obraźliwe hasła. Następnie sytuacja pogorszyła się i zaczęto zwalniać z pracy nauczycieli, sędziów i profesorów żydowskiego pochodzenia, a żydowskim lekarzom ograniczano możliwość praktyki.

Hans Stratmann stał się nadmiernie nerwowy i właśnie wtedy zaczął chorobliwie bać się o to, aby jego matka Johanna, która także do niedawna wiązała wielkie nadzieje na odrodzenie się Niemiec pod rządami Hitlera, nie powtórzyła czynu swego męża. Potrzebował jej. Była jedyną bliską osobą. Tylko z nią mógł szczerze rozmawiać.

- Doniesiono mi, że powiesił się młody mężczyzna – odpowiedział na pytanie komisarza Hansa Stratmanna jego przełożony, radca kryminalny Georg Daube i westchnął głęboko.

– Właściwie chłopak. Pewnie jakiś zawód miłosny. Ach ci głupi młodzi ludzie. Nie doceniają życia. Nie myślą o tym, co mogliby zrobić dla kraju, dla narodu. Żyją mrzonkami o miłości.

- Tak, tak – przytaknął z wyraźną ulgą Stratmann, pożegnał się i poszedł po Fritza Jensena, swojego asystenta.

- Zbieraj się! – krzyknął, gdy tylko gwałtownie otworzył drzwi gabinetu, w którym za biurkiem siedział asystent kryminalny Fritz Jensen. Jensen był młodym, wiecznie głodnym mężczyzną, którego można by nazwać przystojnym, gdyby nie jego nadmierna tusza. Ubrany był w szary, luźny pomięty szary garnitur i, jak zawsze, przeżuwał coś, co szybko schował pod biurkiem usłyszawszy kroki pod drzwiami gabinetu.

- Zostaw żarcie i zbieraj się! - powtórzył komisarz. – Jedziemy do lasu za Kleinmöllen. Mamy wisielca niedaleko Bauerhufen.

Fritz Jensen, żwawo jak na swoją ciężką wagę i wysoki wzrost, wyskoczył zza biurka, przełykając w pośpiechu kawałek niedojedzonej kanapki.

- Śniadanko – zabełkotał z pełnymi ustami i uśmiechnął się rozbrajająco do Stratmanna.

- Lubię tego głodomora. Z pewnością nie zrobi w Kripo kariery, bo jest za uczciwy. Chyba, że się jednak zdeprawuje. Nadchodzą ciężkie czasy – pomyślał komisarz i ze smutkiem w oczach spojrzał na młodszego kolegę.

- Samochodem to my tam nie dojedziemy – poinformował go trzeźwo Fritz Jensen. – Przez las z Kleinmöllen do Bauerhufen wiedzie tylko leśna ścieżka. Zresztą z Kleinmöllen do nadmorskiego lasu jest spory kawałek. Naszego fordzika trzeba by zostawić w Bauerhufen i dalej udać się pieszo.

- Fordzika, wiedzie, udać się, śniadanko! Skąd on bierze te słowa, a właściwie słoweczka? – pomyślał Stratmann i rzucił niedbale:

- Dobrze.

Samochodem dojechali do Bauerhufen i trafili w dziesiątkę. Przy wjeździe do wsi, na rozdrożu, czekał na nich jeden z mieszkańców.

- Nazywam się Willi Poglow – przedstawił się mężczyzna wyglądający na około 50 lat, ubrany skromnie, ale schludnie.

– Jestem przewodniczącym wiejskiej rady w Bauerhufen – dodał wyraźnie przejęty, ale także bardzo zmartwiony. – Zaprowadzę panów. Podjedziemy dalej, aż na miejsce. Do Kleinmöllen prowadzi od niedawna piękna promenada.

Ruszyli drogą przez wieś. Zabudowania po obu jej stronach nawet w pochmurny jesienny dzień wyglądały przyjemnie. W nisko położonych oknach gdzieś palilo się światło, a z kominów unosił się dym.

- Ładna spokojna wieś. Któż z jej mieszkańców mógłby stracić chęć do życia – przyszło do głowy komisarzowi Stratmannowi.

Po lewej stronie drogi ukazał się duży, oddalony od drogi i wciśnięty po wysoką wydmy gmach, a ich przewodnik Willi Poglow poinformował, że jest to budynek hotelu Astoria, który należy do bogatej miejscowej rodziny Ruth.

- Właścicielka zaprasza panów komisarzy na kawę i ciastko po wszystkim – powiedział.

– Chyba, że teraz mają panowie ochotę – dodał z wahaniem, nie usłyszawszy odpowiedzi.

Policjanci znów nie odpowiedzieli na zaproszenie.

Samochód poruszał się wolno, a oni obaj rozglądali się uważnie, jakby zmuszało ich do tego zawodowe przyzwyczajenie. Główna wiejska ulica przechodziła bezpośrednio w trakt

spacerowy wysadzany jarzębinami. Drzewa rzuciły już większość liści i owoców, ale jaskrawe kolory tych, które pozostały łagodziły szarość listopadowego dnia.

Kiedy wysiadali z samochodu najpierw dobiegł ich szmer przytłumionych głosów rozdzielany od czasu do czasu głośnym kobiecym szlochem, a potem zobaczyli plecy stojących półkolem ludzi. Można było pomyśleć, że cała wieś zgromadziła się w miejscu zdarzenia.

- Ten samobójca – wyjaśnił Poglow – to chłopak od nas. – Nikt się tego po nim nie spodziewał. Młody, silny, pracowity i niegłupi.

Gapie rozstąpili się szybko, gdy tylko policjanci podeszli bliżej. Głosy ucichły. W powietrzu brzmiał teraz jedynie kobiecy rozdzielający szloch. Funkcjonariusze nawet nie spojrzeli na płaczącą kobietę podtrzymywaną przez dwie inne, lecz szybko podeszli do ciała.

Młody mężczyzna wisiał na solidnym sznurze zawieszonym na grubej gałęzi dorodnego dębu, jedyne w tej okolicy, bo las był mieszany, ale dominowały w nim sosny i buki. Obok nieboszczyka stał żandarm z groźną miną, chcący najwyraźniej utrzymać gapiów w bezpiecznej od niego odległości.

- Ktoś próbował go ratować? – zapytał żandarma komisarz. – Nikt go nie odciął? – zdziwił się.

- Panie komisarzu – zameldował żandarm. – Czekam tu od ponad godziny i z trudem powstrzymuję ludzi, żeby go nie zdjęli. Trudno patrzeć na to nieszczęście. Rodzina bardzo chciała zabrać chłopca do domu. Dobrze, że jesteście panowie. Nie pozwoliłem go odciąć, bo kiedy tu przyjechałam był już zimny i nikt już mu nie mógł pomóc. Dobrze, że zanim cała wieś się dowiedziała, ja już byłem na miejscu. Chłopak, który go znalazł był na tyle bystry, że złapał rower i przyjechał na posterunek nikomu nic nie mówiąc po drodze. I tak ślady są już mocno zadeptane, a przecież trzeba sprawdzić, czy nikt mu nie pomógł. Żeby taki młody i wesoły człowiek sam się powiesił?!

- Jak on się nazywa? Kto go znalazł i kiedy? – Fritz Jensen, zniecierpliwiony długą przemową żandarma, zaatakował go tak groźnym tonem, że Stratmann popatrzył zdziwiony i trochę rozśmieszony na swego młodego i na ogół bardzo łagodnego asystenta.

- Nazywa się Otto Mauer. To najstarszy syn Paula Mauera, rolnika z Bauernhufen – szybko odpowiedział żandarm i zawołał zwracając się w stronę tłumu:

- Fischer! Podejdź tu!

Powolnym krokiem, z ociąganiem, zbliżył się do policjantów kilkunastoletni chłopiec. Głowę trzymał opuszczoną. Widać było, że nie chce już patrzeć na wiszące zwłoki.

- To ty go znalazłeś? – ciepłym głosem zapytał chłopca Stratmann, zanim ten jeszcze zatrzymał się przed nimi, bo obawiał się, że jego asystent znów użyje groźnego tonu.

- Tak – odpowiedział chłopak drżąc na całym ciele i nie podnosząc głowy. – Dziś wczesnie rano, gdy zbierałem drewno na opał. Od razu go poznałem! Od razu wiedziałem, że Otto nie żyje! – rozplakał się.

- Idź do domu młodzieńcze. Ogrzej się i napij gorącej herbaty – powiedział komisarz i dodał:

– Są tu twoi rodzice? Powiedz im, że przyjdziemy do domu i jeszcze z tobą porozmawiamy. Nie bój się. Powiedz mi tylko, jak się nazywasz.

- Mar Fischer – odpowiedział chłopak spoglądając w stronę gapiów, wśród których stała jego matka.

Nagle odwrócił się i szybko do niej pobiegł.

- Proszę stąd odejść! Wszyscy! – zawołał komisarz, a żandarm ruszył w stronę tłumu, który niechętnie, osoba po osobie, pod naciskiem groźnego spojrzenia funkcjonariusza, zaczął iść w stronę wsi.

- Przyjrzyjmy się denatowi – rzucił Stratmann w stronę Fritza. – Wiesz co robić?

- Rozumie się – odpowiedział asystent kryminalny. – Wykluczyć udział osób trzecich.

- Masz po prostu szukać śladów. Na razie nie wykluczamy żadnego scenariusza – usłyszał w odpowiedzi.

3. Wisielec pierwszy



Po znalezieniu Otta Mauera powieszonego w nadmorskim lesie i przesłuchaniu przez policję Mar Fischer stał się na kilka tygodni osobą znaną w Bauerhufen i w okolicy, gdzie wszyscy znali wszystkich i wszyscy wszystko o wszystkich wiedzieli.

Kobiety ze wsi przychodziły do domu Fischerów niby to porozmawiać z matką Mara, ale głównie chodziło im o wypytywanie Mara wciąż od nowa o ów nieszczęsny poranek i o to co najbardziej interesowało policję kryminalną. Nasłuchawszy się odpowiedzi chłopca od razu zaczynały komentować to co się stało i snuć najprzeróżniejsze domysły na temat przyczyn nieszczęścia, które dotknęło rodzinę Mauerów.

Mężczyźni natomiast zaczepiali Mara niby mimochodem, gdy szedł przez wieś. Zadawali najpierw jakieś ogólne pytania „co słychać?”, „dokąd idziesz?”, aby usłyszawszy zdawkową odpowiedź, dopytywać przede wszystkim o ustalenia policji, jakby chłopak mógł coś o nich wiedzieć.

Ciekawość społeczności była tym większa, że rodzice Otta Mauera od śmierci syna z nikim nie rozmawiali. Milczeli przed i po pogrzebie, na który do Sorenbohm udało się całe Bauerhufen i na którym nie zabrakło także licznych mieszkańców okolicznych wsi. Mauerowie milczeli, a ich dorastające dzieci także unikały wszelkich rozmów. Rodzina Mauerów zachowywała się tak, jakby śmierć samobójcza jej członka obciążała winą ich wszystkich.

Pastor Max Weber współczuł rodzinie Mauerów, która dotąd była przykładem religijności dla innych wiernych. Odprawił w neogotyckiej pięknej świątyni w Sorenbohm uroczyste

nabożeństwo żałobne. Pogrzebał zmarłego na przykościelnym cmentarzu. Wiedział, jak wielką pociechą dla bliskich każdego zmarłego staje się godny pochówek. Podczas nabożeństwa w głównej nawie kościoła zapłonęły świeczniki, w tym ten największy, piękny secesyjny 12-świecowy dwukondygnacyjny z mosiężnej blachy. Podczas pogrzebu bito w znajdujące się na ośmiokątnej wieży trzy żelazne dzwony odlane pod koniec lat dwudziestych w pracowni Stoermerna z Erfurtu.

Kiedy Mar Fischer otrząsnął się z szoku wywołanego przez tak niespodziewane i nieszczęsne znalezisko oraz z zażenowania wywołanego powszechnym zainteresowaniem jego osobą, zaczął ubierać zdarzenie w nieoczywiste formy. Przypominał sobie opowieści snute chętnie przez starsze osoby w długie zimowe wieczory, kiedy ostre kontury rzeczy realnych zacierały się, suche fakty traciły oczywistość stabilną w świetle dnia i łączyły się płynnie z wytworami wyobraźni. Świat wokół jawił się wtedy jako bogatszy, wielowarstwowy, nieracjonalny, a jednocześnie lepiej uporządkowany i zrozumiały. Zdarzenia niewytłumaczalne odnajdywały wyjaśnienia, a oderwane od siebie fakty stawały się pierścieniami jednego łańcucha przyczynowo - skutkowego.

- Pamiętasz co opowiadał dziadek Paula Wetzela o strasznych sztormach w styczniu 1914 roku? – zapytał Mar, na pozór niewinnie, swego najlepszego przyjaciela Emila Baumana, kiedy w mroźny słoneczny styczniowy dzień, prawie dwa miesiące po samobójczej śmierci Otta Mauera, siedzieli na sankach i z wysokiej wydmy patrzyli na morze.

Morze falowało leniwie, w nienaturalnym zwolnionym tempie, hamowane przez szczelnie pokrywające je placki pływających lodowych wysp i wysepek, na krawędziach których połyskiwały w słońcu białutkie koronki utworzone z kropel morskiej wody.

- A co mówił?

Głos Emila był cichy i nic nie wskazywało na to, żeby jego właściciel był zainteresowany opowieściami dziadka Paula Wetzela. Mar nie dał jednak za wygraną. Znał dobrze przyjaciela i wiedział, że co prawda trudno go zmusić do myślenia, ale za to Emil spokojnie go wysłucha i nie okaże znudzenia i zniecierpliwienia, jak inni koledzy, którzy nie mogli dłużej niż minutę skupić się na jednym temacie.

- Opowiadał o strasznym sztormie. Mówił, że sztorm zaczął się 30 grudnia 1913 roku i trwał dwa dni, bo aż do 1 stycznia. Największe fale na morzu były w noc sylwestrową. To wtedy w

kilku miejscach fale przebiły wydmy i wdarły się do wsi. Zalane zostały domy i ogrody, a mróz był taki, że ta wlewająca się do wsi woda morska natychmiast zamarzała. Wieś zamieniła się w wielkie lodowisko. Budynki, te stojące blisko wydm, zawaliły się, drzewa pokryły się lodem i łamały się jak zapalki. Z ogrodowych altan powstały lodowe jaskinie. Przez kilka dni był spokój, ale potem znów wieś zalała fala sztormowa. Podobno zniszczenia były tak wielkie, że do Bauerhufen przyjechał książę jakiś tam i zapowiedział pomoc i dobrowolne zbiórki w całej Rzeszy – wyrecytował Mar prawie na jednym oddechu.

- No i co? – zapytał Emil. – Dali ludziom pieniądze?

- Dali, dali – zniecierpliwiał się Mar. – Ale to nie jest ważne. Chodzi o to, że kilka miesięcy wcześniej, zdaje się, że jakieś dwa miesiące wcześniej, znaleziono w pobliskim lesie wisielca. Rozumiesz!

- Że co?- zdziwił się Emil. – Że niby przez tego wisielca był sztorm i że teraz też może być? Przez Otta?

- Tak! – wykrzyknął podniecony Mar. – Właśnie tak! Od tamtego czasu nikt się nie powiesił w pobliżu i jakoś już nie zdarzył się tak silny sztorm!

- Słuchaj! – kontynuował Mar coraz bardziej przejęty opowiadaną przez siebie historią. - Spotkałem w szkolnej bibliotece w Sorenbohm takiego Edmunda. Stałem tuż za nim i usłyszałem, że pyta bibliotekarkę, gdzie może znaleźć książkę o mitologii germańskiej. Zaczepiłem go później przed szkołą. Powiedziałem, że interesuję się dawnymi legendami i bardzo chciałbym wiedzieć, co się w nich mówi o duszach samobójców. Poznał mnie i od razu domyślił się, że chodzi mi o śmierć Otta. Umówił się ze mną na spotkanie, bo akurat wtedy nie miał czasu i spotkaliśmy się kilka razy. On naprawdę dużo wie i wszystko mi powiedział.

- I co? – Emil przestał patrzeć na morze obojętnym wzrokiem, odwrócił głowę i uważnie spojrzał na przyjaciela.

- Zmarłem. Powtórzę ci wszystko co wiem, ale chodźmy stąd – zaproponował Mar, zadowolony, że wreszcie udało mu się zainteresować Emila swoją opowieścią.

Edmund Jakusch - tak nazywał się starszy od Mara Fischera chłopak napotkany przez niego w bibliotece – dużo wiedział o duszach pokutujących, duchach, demonach i pogańskich

bogach. Znał na pamięć legendy i baśnie germańskie, a także słowiańskie. Lubił popisywać się swoją wiedzą. W osobie Mara trafił na wyjątkowo zaangażowanego słuchacza, więc zaserwował mu taką ilość informacji, że młodszy kolega był oczarowany, ale nie był w stanie zapamiętać szczegółów. Spotkali się więc kilka razy po lekcjach w małej szkole w Bauerhufen.

Siadali w ławce w pustej klasie. Piec już wygaśł, ale i tak w szkolnym pomieszczeniu było cieplej i przytulniej niż na zewnątrz, gdzie zapadał zimowy zmrok. Nauczyciel Reinhard Mass pozwolił im korzystać ze szkolnej klasy, bo powiedzieli mu, że Edmund dokształca Mara z historii, co poniekąd było prawdą. Reinhard Mass, doświadczony długoletni nauczyciel, zawsze popierał wzajemną pomoc, a szczególnie tę, którą młodszymi uczniami świadczyli uczniowie starsi albo absolwenci tacy jak Edmund. Mar podczas tych spotkań skrupulatnie zapisywał wszystko, co mówił kolega kopiającym ołówkiem w starym zeszyt.

Kiedy Mar Fischer i Emil Bauman w mroźny styczniowy dzień dotarli do domu Fischerów, najpierw zjedli w kuchni po misce zupy ziemniaczanej, która matka Mara bez słowa postawiła przed nimi na kuchennym stole. Posileni i rozgrzani przenieśli się z kuchni do pustej i chłodnej o tej porze sypialni rodziców Mara. Mar przyniósł wypełniony notatkami zeszyt, otworzył go i zaczął czytać na głos wcześniej podkreślone przez siebie fragmenty zapisków.

- Kiedy nagle nadciąga sztorm czy gwałtowna burza ludzie mówią, że ktoś się powiesił. Najczęściej twierdzą, że powiesił się Żyd – przeczytał Mar.

- Ale Otto nie był Żydem! – zaprotestował Emil.

- Otto może i nie był Żydem, choć nigdy nic nie wiadomo, ale wtedy, gdy szalał sztorm, w listopadzie 1913 roku w Sorenbohm powiesił się tamtejszy lekarz, Żyd! – wykrzyknął Mar. – Sztorm zniszczył nie tylko naszą wieś, ale także wszystkie sąsiednie i Sorenbohm także.

- Ale słuchaj dalej – dodał i znów pochylił się nad zeszytem przesuwając zeszyt w stronę okna, bo zaczęło się ściemniać i z ledwością widać było litery.

- Królową niegodnie umarłych, a więc właśnie samobójców, jest Hölle, władczyni zimy. Zsyła ona śnieżyce, mróz i zawieruchy. To ona stoi na czele podniebnej gonitwy rozwścieczonych demonów, czyli na czele Dzikich Łowów, którym towarzyszy straszliwa burza na niebie oraz kataklizmy na ziemi. Dzikie Łowy odbywają się zimą po Bożym

Narodzeniu – Mar podniósł głowę znad zeszytu i wiele znaczącym wzrokiem patrzył na kolegę.

- Moja babka opowiadała, że dawnej to właśnie bogini Hölle przynosiła dzieciom prezenty w czasie Bożego Narodzenia – Emil znów zaprotestował, nie godząc się z budzącymi grozę opisami.

- A Edmund powiedział, że to bujda, że przerobiono Hölle na dobrą panią z pomocnikami i prezentami, żeby zatuszować jej złe oblicze i odebrać jej moc – zripostował dobrze przygotowany Mar i przeszedł do następnego fragmentu:

- Z dusz samobójców, a szczególnie wisielców, powstają szkodliwe demony. Niektóre ludy nazywają je planetnikami albo chmurnikami. Inne latawcami i latawicami. To one wywołują niszczące wichury i robią to podczas każdej pory roku. Dają się one przekupić młynarzom, którzy zdobywają ich przychylność rzucając mąkę na wiatr.

Przeczytawszy ten fragment młody Fischer znów spojrzał znacząco na przyjaciela, gdyż uważał, że zaprezentowane przez niego teksty w pełni wyjaśniają zależność sztormów, burz i wichrów spadających na wsie i miasta od powieszenia się któregoś z ich mieszkańców. Emil nie ugiął się pod spojrzeniem przyjaciela i kilka minut siedzieli w milczeniu. Ale też on pierwszy odezwał się, zmuszony uparcie wbitym w niego wzrokiem Mara do zajęcia jakiegoś stanowiska. Powiedział:

- Ale przecież pastor odprawił nabożeństwo i pochował Otta na cmentarzu przy kościele. Nie zrobiliby tego, gdyby dusza Otta zmieniła się w demona.

W głosie Emila Mar wyłapał nutkę wahania, więc natychmiast zaatakował:

- Bo pastor nie chce przyznać, że poza szatanem i diabłami istnieją także demony, upiory i inne stwory nękające ludzi i że stają się nimi dusze samobójców, topielców, gwałtownie zabitych, dzieci za wcześnie narodzonych i nieochrzczonych, młodych zmarłych w dniu ślubu i narzeczonych przed zawarciem małżeństwa.

Emil osłupiał, a Mar wykorzystując swoją nad nim przewagę stwierdził kategorycznie:

- Otto powiesił się, bo prawdopodobnie doprowadził go do obłądu alkanost. Alkanost ma ciało ptaka i głowę pięknej kobiety. Uwodzi mężczyzn pięknym śpiewem, aż wpadają w szaleństwo i zabijają się, a ich dusze zmieniają się w demony. Kto się powiesi staje się demonem burz. Zobaczysz, już niedługo będzie wielki sztorm, który zniszczy Bauerhufen.

Przez całą zimę przy każdym spotkaniu Mar i Emil powracali do tematu śmierci Otta Mauera i jej domniemanych tajemniczych konsekwencji. Mieli ku tym powrotom mocny powód, ponieważ zapowiadany przez Mara sztorm rzeczywiście rozszalał się pod koniec stycznia 1935 roku. Siła sztormu była wielka, ale wyrządzone przez sztorm zniszczenia nie tak ogromne jak w 1913 roku. Bauerhufen zostało bowiem w międzyczasie zabezpieczone przed sztormami betonową opaską i wychodzącymi w morze ostrogami. Domostwa stawiano w bezpiecznej odległości od wydm, a wydmy systematycznie obsadzano roślinnością i zabezpieczano faszyną.

Po styczniowym sztormie Emil ustąpił pod naporem faktów i zdawał się przekonany do racji przedstawionych przez Mara. Mar zdecydował się więc podzielić się z przyjacielem kolejną rewelacją. Otóż kiedy w listopadzie 1934 roku natknął się na wiszące na gałęzi dębu ciało Otta Mauera i po kilku minutach osłupienia mógł oderwać wzrok od wisielca, zauważył pod jego stopami wryty w ziemi prosty, nic mu wtedy nie mówiący, rysunek. Był to okrąg, w który wpisano krzyż. Zszokowany potwornym znaleziskiem nie zastanawiał się nad tym, kto i po co coś takiego narysował. Przemknęła mu tylko przez zdezorientowany umysł myśl, że być może tuż przed swoim desperackim postępkiem sam Otto Mauer narysował ten dziwny krzyż w przedśmiertnym porywie religijności.

Kiedy Mara przesłuchiwali policjanci z Kripo był tak zmęczony i zdenerwowany, że zupełnie zapomniał o rysunku. Rysunek prawdopodobnie mógł widzieć także przybyły na miejsce zdarzenia żandarm, ale Mar nie wiedział, czy funkcjonariusz zainteresował się rysunkiem i czy poinformował o nim śledczych. Przed przybyciem śledczych rysunek zdeptali ci, którzy jako pierwsi nadbiegli ze wsi i chcieli odciąć nieszczęsnego młodzieńca.

Mar i Emil stali na skraju bagnistej łąki okalającej wieś od strony południowej. Latem po ulewnych deszczach lubili brodzić boso po nagrzanej wodzie i z głośnym kłąśnięciem wyciągać stopy z płytkiego bagna. Teraz, w styczniu 1935 roku, łąka pokryta była nienaruszoną żadnym śladem człowieka lub zwierzęcia płachtą białego śnieżnego puchu. Wiedzieli, że pod płachtą znajdują się liczne lodowe tafle, które będą z przyjemnym traskiem pękać pod ich stopami. Popatrzyli na siebie, poprawili czapki i ruszyli w głąb łąki, niszcząc pokrywającą ją nieskazitelną biel. Znajdowali się mniej pośrodku śnieżnej pokrywy,

gdy Mar zatrzymał się, pochylił i opatuloną w grubą rękawicę dłoń narysował na śniegu znak.



- Co to? Krzyż i koło? – padło pytanie, którego Mar się spodziewał i na które miał od dawna przygotowaną odpowiedź. Teraz, gdy posiadał tajemną wiedzę zawartą w starych mitach i wierzeniach, gdy uporządkował ją swojej głowie, przypomniał sobie znaleziony rysunek i umiał wyjaśnić jego znaczenie.

- Taki rysunek zobaczyłem, gdy trafiłem na Otta. Otto wisiał dokładnie nad nim.

Mar wyprostował się i patrzył Emilowi prosto w oczy.

– Myślałem wtedy, że narysował sobie krzyż zanim się powiesił, bo chciał się przed śmiercią pomodlić. Potem zupełnie o nim zapomniałem. Ale teraz wiem, że rysunek przedstawiał krzyż solarny zwany też słonecznym kręgiem. Krzyż solarny pokazuje związek nieba i ziemi. Znano go już w starożytności, kiedy jeszcze nie było chrześcijan i chrześcijańskiego krzyża.

Rozumiesz więc, że to znak pogańskich bogów. Otto musiał to wiedzieć.

4. Wisielec drugi



Wiosna 1935 roku przyszła niespodziewanie. Już pod koniec marca słońce grzało mocno, pośnigowe wody szybko wysychały, łąki zazieleniły się a na drzewach nabrzmiewały pąki. W Sorenbohm jeszcze przed świętami wielkanocnymi, które tego roku należało świętować dość późno – niedziela wielkanocna przypadała na 21 kwietnia – zaczęto przygotowywać się na przyjazd letników.

Sorenbohm, jeszcze niedawno było typowo rybacką wsią. Po zbudowaniu kamiennie-betonowej opaski chroniącej wieś przed sztormowymi zniszczeniami i po upowszechnieniu się mody na morskie kąpiele, szybko zaczęła zmieniać się w miejscowość letniskową. Nie dorównywała wprawdzie większym od niej nadmorskim wsiom, ale jednak z roku na rok stawała się coraz bardziej eleganckim kurortem z kilkoma wygodnymi i przytulnymi pensjonatami, w których panowała bardzo lubiana przez letników rodzinna atmosfera.

Mieszkańcy Sorenbohm porzucili niebezpieczną pracę na morzu. Kilku z nich zaledwie parało się jak dawniej połowami z kutrów. I oni jednakże głównie utrzymywali się z przyjezdnych. Dostarczali świeże ryby do pensjonatów i sprzedawali je ze swoich łodzi na skromnej przystani rybackiej. Postawiono także kilka kutrów na plaży dla letników. I one były źródłem dodatkowego zarobku, bo ich właściciele oferowali wszystkim amatorom przygód morskie przejażdżki, a sezonowym wędkarzom wyprawy na połowy morskich ryb.

W Sorenbohm plaża była wyjątkowo szeroka, a rozległe tereny wydumowe, porośnięte karłowatą roślinnością, stanowiły wielką atrakcję dla mieszczuchów i ich pociech udając

afrykańską pustynię. W tej niecodziennej atmosferze stwarzanej przez otwartą przestrzeń morza, nagrany słońcem piasek, a także oryginalność nadmorskiej przyrody, dorośli tracili swą wyuczoną sztywność, a i swoim dzieciom pozwalali dzieciom na rozluźnienie dyscypliny obowiązującej w pozostałych porach roku.

Wszystkie udostępniane letnikom miejsca, aby mogły sprostać marzeniom o nadmorskim wypoczynku, wymagały uporządkowania, wyremontowania i ozdobienia po zimowym zastoju oraz uszkodzeniach wyrządzonych przez żywioły.

Wiosną 1935 roku, jak każdej wiosny w Sorenbohm, wynoszono z magazynów kosze plażowe, czyszczono je, malowano, wykładano pasiastymi siedziskami i mocowano na nich chroniące przed słońcem cieniotki zasłony. Rozwieszano na wietrze pomięte chorągiewki, które, przymocowane do długich lin, będą zdobiły i oznaczały plaże przypisane do poszczególnych pensjonatów. Malowano łodzie, słupy flagowe i drewniane przebieralnie.

Prace przygotowawcze na plaży trwały, pogoda im sprzyjała, a z kościoła dobiegał śpiew miejscowego chóru. Pastor Max Weber przygotowywał chór do wielkanocnych uroczystości. Podczas tej przedświątecznej krzątania, która zapowiadała zbliżającą się radość świąt i pracowite lato, nikt nie myślał o mogącym się zdarzyć nieszczęściu. Nikt nie spodziewał się, że słoneczny wiosenny czas zostanie naznaczony nagłą śmiercią młodej kobiety.

Jasnowłosą Emmę Ackermann, dziewiętnastoletnią, dobrze zbudowaną i zawsze wesołą dziewczynę, znali i lubili wszyscy. Lubili ją mieszkańcy Sorenbohm, gdzie od trzech lat pracowała w pensjonacie pod nazwą Haus am Meer. Lubili także mieszkańcy Bauerhofen, gdzie mieszkała z rodzicami i liczny młodszymi rodzeństwem w domu położonym na skraju wsi, tuż przy zachodnim krańcu lasu, który oddziela Bauerhofen od Sorenbohm.

Silna, pracowita i ładna dziewczyna każdego dnia, od połowy kwietnia do połowy września, poza jednym wolnym dniem w tygodniu, pokonywała pieszo leśną ścieżką trzy kilometry dzielące jej dom rodzinny od pensjonatu.

W pensjonacie wykonywała różne prace w zależności od bieżących potrzeb, a ponieważ była dobrze wychowana i szybko się uczyła, w nadchodzącym sezonie przygotowywała się do roli pokojówki i kelnerki. Dostała od właścicielki pensjonatu Lizy Rozenow nowy biały bawełniany fartuch okrywający przód i wiązany z tyłu na dużą zgrabną kokardę. Wiedziała, że będzie musiała go często prać, krochmalić i prasować, ale zamiast przejmować się

dodatkowym obowiązkiem, cieszyła się. Chciała czysto i pięknie wyglądać w nowej roli, za którą miała otrzymywać dużo wyższą zapłatę niż za prace pomocnicze.

Matka Emmy, Grethe Ackermann, pożyczyła od Elke Scharping, żony bogatego rolnika i hodowcy trzody z Bauerhufen, maszynę do szycia marki Singer i z nowego, zakupionego w Kolbergu, szarego cienkiego materiału uszyła Emmie śliczną sukienkę dobrze dopasowaną do jej zgrabnej figury.

Sukienka miała liczne zakładki, ramiona lekko wywatowane, a pod pachami wszyte poduszeczki, które wchłaniały pot. Można je było wyjmować, prać częściej niż sukienkę a w razie potrzeby wymienić. Biały sztywno wykrochmalony i dokładnie wyprasowany fartuch na szarej sukience leżał świetnie i wyglądał prześlicznie. Wygląd całości trochę psuły podniszczone skórzane czarne pantofle, które dotąd służyły matce Emmy za obuwie świąteczne. Na nowe buty dla najstarszej córki rodzina na razie nie mogła sobie pozwolić. Na szczęście buty po matce były wygodne, rozchodzone i pasowały na Emmę jak ulał. Po solidnym napastowaniu i wypolerowaniu wyglądały nieźle.

Nowy strój razem z butami Emma trzymała w pensjonacie. Sukienka, fartuch i wypastowane buty czekały na sezon w jej szafce w pokoju dla służby.

Emmę Ackermann wiszącą na drzewie rosnącym w połowie leśnej drogi między Sorenbohm i Bauerhufen znalazł w późny sobotni kwietniowy wieczór Kurt Klimke, pomocnik młynarza z Sorenbohm. Starszy, przygarbiony od dźwigania worków, spracowany mężczyzna szedł do swojej młodszej siostry mieszkającej z mężem i dziećmi w Bauerhufen. Zamierzał zostać u nich do niedzielnego popołudnia. Słońce już zaszło i powoli zaczął zapadać zmrok. Klimke, idąc leśną ścieżką, poczuł nagle dziwny niepokój. Podniósł opuszczoną z przyzwyczajenia głowę i spojrzał w lewo w głąb lasu. Kilka metrów od ścieżki zobaczył Emmę jakby unoszącą się w powietrzu. Podeszedł bliżej i nie mógł uwierzyć w to co zobaczył. Na grubej gałęzi jedynej w tej okolicy dębu, kołysało się ubrane w szarą sukienkę i biały fartuch ciało dziewczyny, którą dobrze znał i którą bardzo lubił za jej młodość, urodę i roztaczaną wokół radość.

Kurt Klimke był tak przerażony widokiem wiszącej dziewczyny, że nie przyszło mu do głowy, aby podejść do niej i sprawdzić, czy jeszcze żyje. Prawdę mówiąc nie musiał sprawdzać. Bez tego był pewny, że już nie można jej pomóc. Spanikowany zawrócił i,

zamiast na posterunek żandarmów, pobiegł do wiatrowego młyna. Jedyne co chciał zrobić, to powiadomić o nieszczęsnym odkryciu swego pracodawcę, bogatego i poważanego właściciela młyna, Paula Wincklera.

Nie pomyślał nawet o tym, że niepotrzebnie traci czas. Cóż mógł w tej sytuacji zrobić właściciel młyna? W czym pomóc? Klimke wybrał złe rozwiązanie i dłuższą drogę. Posterunek żandarmerii, na który powinien był się udać, znajdował się przy głównej ulicy Sorenbohm niedaleko kościoła, a wiatrak stał na południowych obrzeżach wsi, na otwartych na niezalesiony obszar łąkach, które wznosiły się łagodnie ku drodze łączącej Köslin z Kolbergiem.

- Panie Winckler, panie Winckler – krzyczał już z daleka Klimke, nie zważając na to, że pracodawca nie może go usłyszeć w hałasie obracających się skrzydeł wiatraka.

Winckler stał nieopodal młyna i patrzył w górę. Zastanawiał się, czy stary wiatrak wytrzyma jeszcze jedno żniwa. Było to urządzenie przestarzałe i nie sprawdzające się w czasach wszechobecnej elektryczności. Jego właściciel nie zamierzał ratować drewnianej konstrukcji. Jego dzieci kształciły się w Berlinie i z pewnością nie przejmą po nim podupadającego interesu. Wiatrak powoli stawał się bardziej atrakcją dla ludzi odwiedzających Sorenbohm niż źródłem solidnych dochodów. Nie martwiło to jednak zbytnio Paula Wincklera, który od dłuższego już czasu planował zamknięcie wiatrowego młyna, sprzedaż go i wyprowadzenie się z małżonką do Kolbergu. W Kolbergu czekało na nich zakupione niedawno przytulne mieszkanko w kamienicy stojącej przy miejskim rynku.

- Panie Winckler! – usłyszał wołanie właściciela młyna i odwrócił się.

Drogą prowadzącą od centrum wsi do młyna biegł jego długoletni pracownik Kurt Klimke, człowiek nierozgarnięty, ale porządny i wierny.

- Dlaczego on tak pędzi? - zdziwił się Winckler i ruszył w stronę biegnącego.

– Zaraz się biedak przewróci, albo straci dech – pomyślał, gdy statecznym krokiem zbliżał się do Kurta. - Przecież od dawna ma problem z płucami.

- Kurt! Diabeł cię goni! – zawołał żartobliwie, ale spoważniał, kiedy zobaczył przerażoną twarz mężczyzny.

Klimke zatrzymał się, oparł ręce o kolana i ciężko dysząc wydusił:

- Emma się powiesiła. Emma Ackermann się powiesiła. Zobaczyłem ją w lesie. Szłem do siostry.

- Co ty mówisz! – wykrzyknął zaskoczony Winckler.

Paul Winckler dobrze znał Emmę Ackermann. Znał ją lepiej niż przeciętny mieszkaniec Sorenbohm. Jego młodszy syn Thomas podkochiwał się w Emmie i nawet się z nią od dłuższego czasu prowadził.

Wincklerowie nie sprzeciwiali się młodzieńczemu związkowi. Młody mężczyzna musi przecież się wyszumieć. Lepiej więc, myśleli, aby ich najmłodszy syn wyszumiał się przy prostej dziewczynie niż przy takiej, którą należałoby traktować poważnie. Emma, sądzili Wincklerowie, powinna sobie zdawać sprawę z tego, że nie może swojej przyszłości wiązać z ich synem. O małżeństwie kształcącego się obecnie w Berlinie Thomasa z ładną, ale prostą i biedną, dziewczyną mowy być nie może.

- Powiadomiłeś żandarmów? - zapytał cicho Kurta Klimke właściciel młyna po długim milczeniu.

Klimke pokręcił przecząco głową. Winckler zostawił go na drodze, poszedł do stajni, zaprzągnął konie do bryczki, wyjechał z posesji, zabrał Kurta z drogi i zawiózł go na posterunek żandarmerii. Tam Klimke złożył chaotyczne zeznania, a z emocji i wysiłku osłabł tak bardzo, że zaraz po wizycie na posterunku Winckler zawiózł go do jego domu i oddał pod opiekę żony.

Żona Klimkego, Helga, zdziwiona nietypową uprzejmością pracodawcy, który nigdy wcześniej nie podwoził Kurta do domu, nie miała czasu na zadawanie pytań. Właściciel młyna świsnął batem nad zadami swoich gniadoszy i pośpiesznie odjechał, gdy tylko pomogła ciężko oddychającemu mężowi wysiąść z bryczki .

Paul Winckler ruszył w kierunku lasu. Bryczkę z zaprzężonymi do niej końmi musiał zostawić na podłej łące, bo ścieżka prowadząca przez las była wąska. Szybkim krokiem poszedł w stronę Bauerhufen . Chciał znaleźć się na miejscu zdarzenia przed żandarmami i sprawdzić, czy znajduje się tam coś, co mogłoby zaszkodzić Thomasowi - list pożegnalny, rzecz należąca do niego, cokolwiek. Liczył na powolność dwóch żandarmów z Sorenbohm. Będąc jeszcze na posterunku, zauważył, że nie lubili się śpieszyć. Przeglądali i uzupełniali zeznania Kurta, próbowali połączyć się z köslöńskim Kripo, dojadali rozpoczęty przed

przybyciem interesantów posiłek, rozglądali się za zdjętymi dla wygody częściami służbowej garderoby. Przeliczył się. Tuż przed miejscem znalezienia Emmy wskazanym przez Klimkego, minęli go jadący rowerami żandarmi.

- Mówił pan komuś o Emmie? – rzucili nie zatrzymując się.

- Nie – odpowiedział ostro zły i zaniepokojony.

– Kurt także nie powiedział nikomu, tylko mnie! – krzyknął w stronę oddalających się umundurowanych pleców.

Odnalezienie ciała Emmy nie było trudne, choć gdy żandarmi, a za nimi Winckler, dotarli na miejsce było już zupełnie ciemno. Białe fartuch dziewczyny zabłysł nagle wśród drzew w świetle latarek.

- Cholera! – wrzasnął jeden z żandarmów. – Nie powiedzieliśmy kryminalnym, żeby zabrali ze sobą lampy. Samochodem tu nie wjadą, więc reflektorami sobie nie poświecą.

Było jednak za późno na nadrobienie niedomówienia. Kryminalni z pewnością wyruszyli już z Köslina. Trzej mężczyźni stali bezradnie przez kilka minut, zanim jeden z żandarmów podszedł do dziewczyny i stwierdził:

- Nie żyje. Już zimna. Trzeba powiadomić jej rodziców.

- Zrobi to pan? – drugi zwrócił się do Wincklera. – My zostaniemy i poczekamy na śledczych.

Paul Winckler zaklął po cichu, ale chciał odmawiać wykonania polecenia funkcjonariusza.

- Jest ciemno. Niewiele zobaczą w świetle latarek. Zresztą co mogliby znaleźć na Thomasa. O tym, że sympatyzował z Emmą i tak się dowiedzą – myślał, uważnie stawiając w ciemności kroki na ścieżce prowadzącej do Bauerhufen.

Komisarz Hans Stratmann bardzo żałował, że w sobotnie kwietniowe popołudnie, kiedy skończył papierkową robotę w siedzibie köslńskiego Kripo, nie pojechał odwiedzić matki, przebywającej kolejny raz na leczeniu w Bad Polzin. Pojechałby służbowym samochodem, zjadł z nią dobrą kolację w ładnym architektonicznie Kurhausie Luisenbad i zabrał matkę na wieczorny spacer do parku zdrojowego. Może nawet odesłałby samochód, został na noc i spędził z matką całą niedzielę, skoro nie miał służby. Uniknąłby wówczas nieprzyjemności

zajęcia się późnym sobotnim wieczorem następnym przypadkiem samobójstwa przez powieszenie się. Co gorsza powiesiła się kobieta.

Po otrzymaniu fatalnego zawiadomienia Stratmann pojechał po Fritza Jensena i ze złośliwą satysfakcją wyciągnął go z domu dokładnie w czasie, kiedy ten zjadał obfitą kolację.

- Szefie – marudził asystent kryminalny – potrzebuję piętnastu minut. Dokończę kolację i zaraz jestem.

- Wsiadaj! – zarządził bezlitośnie komisarz. – Nie ma czasu. Jedziemy do Sorenbohm, a potem zasuwany pieszo do lasu. Kobieta się powiesiła.

Dojście do miejsca zdarzenia zajęło im około piętnastu minut. Poprowadził ich żandarm, który czekał przed budynkiem posterunku, trzymając w dłoniach po dwie zapalone naftowe lampy kolejowe. Na miejscu zastali drugiego żandarma.

Nocne niebo rozjaśniło się. W niewielkiej odległości od leśnej ścieżki bielił się strój powieszony. Dwie zorganizowane przez żandarmów lampy kolejowe i cztery latarki na płaskie baterie musiały wystarczyć do oświetlenia wiszącego ciała i okolicy. \

Komisarz Stratmann, aby zniwelować narastający w nim niepokój, skrupulatnie oglądał zwłoki, miejsce pod nimi i pobliski teren. Fritz pomagał mu z pewnym ociąganiem, jakby nie widział powodu do tracenia czasu w tak oczywistym przypadku. Na pierwszy rzut jego oka widać było, że śmierć nastąpiła przez uduszenie profesjonalnie zawiązaną na solidnym sznurze pętlą. Jednym słowem, skuteczne samobójstwo. Młode panny potrafią zawziąć się i wiele zrobić, gdy spotka je zawód miłosny.

Skończywszy przeszukanie terenu komisarz stanął przed wiszącą dziewczyną, oświetlił jej zniekształconą przez gwałtowną śmierć twarz i jak zahipnotyzowany patrzył.

- Do niedawna – pomyślał – była to jeszcze twarz świeża, młoda i piękna.

Ogarnął go głęboki smutek i zniechęcenie, ale szybko przywołał się do porządku i zaczął myśleć. Patrząc na fachowo zawiązaną pętlę, zdziwił się, że dziewczyna potrafiła tę pętlę zawiązać tak, aby szybko się zacisnęła, zablokowała tętnice szyjne i nie powodowała powolnego duszenia się. Śmierć przez uduszenie trwałaby kilka minut i była bolesna, zaś gwałtowne odcięcie dopływu krwi do mózgu powodowało prawie natychmiastową utratę świadomości. Ofiary prób samobójczych, które straciły przytomność i miały to szczęście, że

zostały odcięte zanim umarły, wspominały nawet o odczuwaniu przyjemności w początkowej fazie wieszania się.

Stratmann powoli przesunął strumień światła w górę i zauważył, że sznur został przymocowany pośrodku dość długiej gałęzi, wyrastającej prawie poziomo z pnia.

- Takie zawieszenie – pomyślał - wymagało wspięcia się na drzewo, przemieszczenia się po gałęzi na jej środek i precyzyjnego manipulowania sznurem na dużej wysokości.

- Czy młoda kobieta, wprawdzie o silnej budowie ciała, mogłaby być aż tak sprawna i mieć odwagę, aby tuż przed desperacką śmiercią precyzyjnie wykonać czynności wymagające spokoju i sporego wysiłku? – zastanawiał się.

Ubranie Emmy Ackermann wyglądało w świetle latarki na czyste i nienaruszone. Na białym fartuchu nie widać było śladów zabrudzeń, resztek mchu czy naderwań. Sukienka także leżała w doskonałym porządku na zgrabnym ciele, a czarne pantofle pozostały na stopach.

- Czyżby specjalnie przygotowywała się przed śmiercią? – zapytał sam siebie komisarz.

– Wprawdzie kobietom zależy na wyglądzie i nawet martwe chcą się dobrze prezentować, ale czy nieszczęśliwa dziewczyna, która tak bardzo zadbała o swoje śmiertelne ubranie nie pomyślała, że śmierć przez powieszenie oszpeca twarz i niweczy wszelkie inne ewentualnie dobre wrażenia? – pomyślał.

Oświecił ziemię pod stopami ofiary. Tuż pod nimi dostrzegł wyrysowany w leśnej ściółce znak. Przyjrzał się uważnie. Był to krzyż w okręgu.

- Fritz – zawołał, zwracając się do asystenta. – Podejdź tu. Co to za rysunek?

Fritz, który w tym czasie rozmawiał z żandarmami, odwrócił się i z ociąganiem ruszył w jego stronę. Przez chwilę patrzył na to, na co skierowany był teraz wąski strumień światła.

- Nie wiem szefie, co to jest. Może jakieś dzieci bawiły się tu wcześniej i rysowały sobie na ziemi – powiedział.

- Fritz – nalegał komisarz – włącz swoją latarkę i przypatrz się uważnie. Na sporym obszarze ściółka jest wyrównana, koło z krzyżem narysowane dokładnie pod stopami ofiary, a śladów, które przecież musiała zostawić ofiara przygotowując sobie stryczek, nie ma. Przecież musiała tu chodzić, wspinać się na drzewo, zejść z niego, stanąć na czymś i odepchnąć się. Gdzie jest to coś na czym stała? Znalazłeś jakiś kamień czy pień?

- Nie znalazłem – odpowiedział Fritz Jensen . – Pewnie weszła na drzewo ze sznurem, założyła sobie pętlę na szyję i skoczyła.

- Nie wierzę. Młode kobiety tak nie robią – krótko skwitował domysły Jensena Stratmann, ale nie potrafił podać żadnych przekonujących argumentów za swoją tezę.

Na wszelki wypadek odrysował znaleziony pod stopami dziewczyny znak w notesie, a potem, trochę na chybił trafił, zaczął oświetlać okoliczne zarośla oraz ścieżkę. Nocne poszukiwania na nic się jednak zdały. Niczego, co mogłoby pomóc w wyjaśnieniu śmierci Emmy Ackermann nie znaleziono. Jednakże komisarza Stratmanna wciąż nie opuszczały wątpliwości. Przeciwnie, wbrew faktom miał ich coraz więcej. Jednemu z żandarmów kazał jechać na posterunek i zatelefonować do Köslina po karawan. Drugiemu polecił zabezpieczenie miejsca zdarzenia aż do świtu, czyli pozostanie w lesie przy zwłokach i po ich zabraniu.

- Nikomu nie pozwólcie się tu kręcić tak długo, aż was nie zwolnimy – rozkazał.

Chciał koniecznie wznowić przeszukanie miejsca i okolic za dnia. Liczył także, że wyniki sekcji zwłok dadzą ważne informacje potwierdzające jego przekonanie, a raczej przeczucie, że nie ma się tu do czynienia z samobójstwem, lecz z morderstwem. Zaczął też żałować, że w poprzednim wypadku, w przypadku Otta Mauera, który zdarzył się przecież w analogicznych okolicznościach zaledwie trzy miesiące wcześniej, pozwolił rodzinie zabrać i pochować ciało bez przeprowadzenia sekcji.

Zanim rozwidniło się i nadjechał karawan przyszły do lasu trzy osoby. Byli to rodzice Emmy Ackermann i towarzyszący im mężczyzna, który okazał się właścicielem wiatrowego młyna w Sorenbohm. Nazywał się Paul Winckler. Rodzice ofiary zachowywali się spokojnie. Nie rzucili się w stronę zwłok. Stali tam, gdzie im kazano pozostać. Matka bezgłośnie płakała. Ojciec nieporuszony milczał. Potem oboje rzeczowo odpowiadali na zadawane im przez komisarza pytania. Nie ruszyli się nawet wówczas, gdy pracownicy kostnicy sprawnie zdejmowali ciało, położyli na noszach, przykryli prześcieradłem i ponieśli do samochodu. Zgodzili się na wykonanie sekcji zwłok.

5. Niebezpieczna ekscytacja



Przypadek Emmy Ackermann utwierdził Mara Fischera w przekonaniu, że śmierć przez powieszenie spowodowana jest działaniem złych mocy, a jej skutki są dotkliwe dla miejsca, z którego samobójca pochodzi. Ci, którzy odpowiednio wcześniej pobiegli do nadmorskiego lasu opowiadali, że na miejscu, gdzie umarła Emma był jakiś dziwny rysunek.

Mar nie poszedł z innymi leśną ścieżką w ów fatalny niedzielny poranek, ale doskonale wiedział, co rysunek przedstawiał. Był pewny, że chodzi o znak krzyża w okręgu. O jego znaczeniu dowiedział się od Mundka Jakuscha wszystkiego, co można było jeszcze zeń na ten temat wydobyć. Mundek stwierdził, że krzyż to jeden z najstarszych symboli ludzkości, że znano go w wielu starożytnych religiach, w których przedmiotem czci były siły przyrody. Okrąg z krzyżem nazywa się krzyżem solarnym, bo jest on znakiem słońca. Najważniejszą informacją dla Mara było jednak to, że krzyż solarny oznacza potężnego germańskiego boga Odyna. Odyn zaś w starogermańskim języku znaczy wściekły, szalony.

- Odynowi podlegają inne bóstwa – poinformował go Mundek - także bogini Hölle z wszystkimi demonami. Odyn jako wódz najwyższy bierze udział w Dzikich Łowach. Jest najważniejszym wojownikiem. Wpada w bitewny szal, w waleczne zapamiętanie i wtedy nikogo i niczego nie oszczędza. Wszystkich zabija, wszystko niszczy. Odyn w dowolnej chwili może wykorzystywać moc demonów, w tym dusz ludzi tragicznie zmarłych, a szczególnie wisielców. Sam przecież popełnił samobójstwo przez powieszenie po to, żeby przez swą pozorną śmierć zdobyć wiedzę niedostępną ludziom i bogom.

- Pod władzą Odyńa – pouczał Mar Emila po rozmowie z Mundkiem – znajduje się teraz nie tylko dusza Otta, ale także Emmy. Oboje, zadając sobie śmierć, posiadli wiedzę o podziemnych i nadziemnych krainach. Wiedzę taką zdobywa się wspinając się po korzeniach i konarach Drzewa Życia. Drzewa Życia nadal rosną w naszych lasach. Najczęściej są nimi stare dęby, które rosną samotnie w oddaleniu od innych drzewa.

- Czy nie na takich właśnie samotnych dębach powiesili się Otto i Emma? Czy nie znaleziono pod ich stopami tego samego znaku, znaku Odyńa? – triumfował Mar.

Mar Fischer nie o wszystkim mówił przyjacielowi. Miał pewną chronioną przez wszystkimi tajemnicę, której na razie nie zamierzał zdradzać nawet Emilowi Baumanowi. Tylko dla siebie chciał zachować fakt, że posiadał sznur, na którym powiesił się Otto Mauer.

Stał się posiadaczem sznura przypadkowo, nie planując wcześniej jego zdobycia. Nawet przed samym sobą trudno mu było wytłumaczyć spontaniczny i dość makabryczny postępek, za pomocą którego wszedł w jego posiadanie.

Jakieś dwa tygodnie po śmierci syna, w każdym razie jeszcze przed Bożym Narodzeniem, rodzice Otta zapakowali w papier ubranie, w którym Otto się powiesił oraz rzeczony sznur i polecieli najstarszej córce Marice – Otto był ich jedynym męskim potomkiem – spalenie paczki na plaży. Mar zobaczył na czarno ubraną dziewczynę, kiedy wspinała się pod wieczór na wysoką wydmy osłaniającą wieś od strony północno-wschodniej, z dużą paczką pod pachą. Poszedł za nią i zagadnął ją, gdy zeszła już na plażę i zbierała wyrzucone przez fale patyki. Paczka leżała pod wydmy.

- Co masz w tej paczce? – zapytał, wskazując palcem w stronę wydmy.

Siostra Otta nie odpowiedziała. Pochyliła się niżej i dalej zbierała wyszlifowane przez wodę kawałki drewna.

- Chcesz ją spalić? – zadał następne pytanie.

Dziewczyna skinęła głową, ale nie spojrzała na Mara.

- To drewno się nie zapali – pouczył ją. – Jest wilgotne, nasączone słoną wodą. Przyniosę ci z lasu żywiczne suche gałęzie – zaproponował. – Poczekaj tu. Zaraz wrócę.

Ku jego zaskoczeniu Marika wyprostowała się i skinęła głową, dając do zrozumienia, że posłusznie na niego poczeka.

Sosnowe gałązki chętnie przyjęły ogień i płonęły strzelając iskrami w pociemniałe niebo. Dziewczyna drżała z zimna i z przejęcia, kiedy wrzucała paczkę do ognia. Milczała.

- Zmarzłaś. Wracaj do domu – zaproponował. – Ja przypilnuję, żeby wszystko się dokładnie spaliło.

Kiedy milcząca Mauérówna zniknęła za wydumą, Mar wygrzebał z ogniska zawartość paczki. Dymiące i tłące się ubrania wrzucił z powrotem do ognia, a sznur zagaszył piaskiem i schował za pazuchę. Nie zaniósł sznura do domu, lecz wetknął go pod wykręcone i wystające nad ziemię korzenie karłowatej sosny, która rosła w pobliżu jego rodzinnego domu. Od tego czasu miał tę sosnę stale na oku, a niekiedy, gdy był pewny, że nikt go nie może podejrzec, wyciągał sznur i patrzył dziwnie podekscytowany.

Myśli o dawnych wierzeniach, o łączności, jaką samobójcy, a szczególnie wisielcy, mają z zaświatami, o ich działaniu w świecie widzialnym opanowały umysł Mara Fischera. Chcąc wiedzieć jak najwięcej zaczął najpierw rodziców wypytwać o powieszonych, o tych, którzy sami zadali sobie śmierć i o tych, którzy zostali powieszeni za dokonane zbrodnie. Ale rodzice szybko zaczęli unikać wszelkich tego rodzaju pytań. Bardzo się martwili sądząc, że syn przez tak długi czas nie może wyjść z szoku, jakim było dla niego znalezienie wiszącego Otta. Obawiali się, że jego natarczywe pytania o wisielców świadczą o dręczących go myślach samobójczych. Starali się więc odwracać jego uwagę od ponurego tematu i wymyślali różne zajęcia.

Mar zaczął więc na chybił trafił szukać innego źródła informacji. Zagadywał, przy nadarzających się okazjach, starszych mężczyzn i starsze kobiety. Słyszał bowiem jak po śmierci młodego Mauera wspomniano, że przed ostatnią wojną i podczas niej wyroki śmierci przez powieszenie wykonywane były publicznie, a i przypadki samobójstw zdarzały się częściej niż teraz z powodu biedy, kryzysów i walenia się starego świata. Staruszkowie jednak odpędzali go od siebie jak natrętą muchę i grozili, że powiadomią jego rodziców, czym się ich małoletni syn interesuje.

Świadkiem nagabywania przez Mara siedzącego przed domem na ławeczce starego Klausa Holza stał się pewnego dnia Theodor Berger. Przez dłuższy czas Berger przysłuchiwał się z boku nieudanym próbom wydobycia z Holza sensacyjnych informacji o wisielcach, a kiedy

zniecierpliwiony starzec machnął ręką i poszedł do domu, Berger przywołał Mara gestem dłoni. Mar stał nieruchomo i przyglądał się uważnie przywołującemu go osiemnastolatkowi. Wahał się. Bał się podejść. Podobnie jak wszyscy mieszkańcy Bauerhufen znał Theodora Bergera i podobnie jak oni rzadko z nim dobrowolnie rozmawiał. Theodor Berger był bowiem uważany za dziwaka i odludka. Ciekawość skłoniła jednak Mara Fischera do sprawdzenia, cóż takiego wioskowy odmieniec ma mu do powiedzenia.

Theodor Berger mieszkał z babką Elzą Berger oraz matką Margaritą Berger w małym biednym domku, którego skromy warzywny ogród sąsiadował z okazałą posiadłością Ruthów, właścicieli hotelu Astoria. Był nieślubnym dzieckiem. Margarita Berger od wczesnej młodości pracowała w hotelu jako posługaczka i będąc bardzo młodą dziewczyną zaszła w ciążę.

Elza Berger, babka Theodora i matka Margarity, była kobietą niezwykle kłótniwą i zaczepną. Nikt więc nie ośmiał się podważać tego co mówiła, a ona uparcie utrzymywała, że ojcem chłopca jest jeden z tych niemieckich żołnierzy, którzy podczas wojny czternastego roku zostali skierowani do pilnowania morskiej granicy, służyli do roku szesnastego, a potem poszli na front i słuch o nich zaginął.

Margarita Berger, przeciwieństwo własnej matki, osoba cicha i załęczniona, która w ogóle niewiele mówiła, w sprawie sprawcy ciąży nigdy nie zabrała głosu. Cała wieś jednak wiedziała swoje. Mówiło się, że Margarita, wówczas, czyli w 1916 roku, szesnastoletnia dziewczyna, miała potajemny romans nie z niemieckim żołnierzem, lecz z rosyjskim jeńcem. Rosyjskich żołnierzy przywożono do wsi z położonego nieopodal obozu jenieckiego, aby pracowali w polu i w gospodarstwach. Niemieccy mężczyźni poszli na wojnę. Brakowało rąk do pracy. W Bauerhufen, tak jak i w całym Cesarstwie Niemieckim, kobiety, starcy i dzieci wykonywali nawet najcięższe prace. Czarnowłosa, szczupły i wysoki Rosjanin o lekko skośnych oczach, starszy od Margarity o dobre 10 lat, pracował u Ruthów. Drobną jasnowłosa Margarita zakochała się w nim bez pamięci, ale on, dojrzały już mężczyzna, raczej nie odwzajemniał jej gorącego uczucia. Wykorzystał młodą, niedoświadczoną dziewczynę, a gdy tylko nadarzyła się okazja uciekł wraz z innym jeńcem przez morze łodzią, którą ukradł

Ruthom. Uciekinierów bezskutecznie poszukiwały na morzu samoloty patrolowe z bazy w Nest¹². Albo udało im się dotrzeć do duńskiej wyspy Bornholm, albo utonęli.

Margarita została, jak mówiono, z brzuchem i urodziła bękarta. Syn nosił nazwisko matki i babki, a na chrzcie otrzymał, nie wiadomo po kim, imię Theodor. Matka i babka wołały na niego Theo, ale ludzie we wsi, najczęściej nazywali go rusek albo kałmuk. Rusek wyrósł na przystojnego młodzieńca i twierdzono, że jest podobny do ojca. Istotnie miał kruczoczarne włosy i oczy z charakterystyczną mongolską powieką. Opinia nieślubnego dziecka i odmienny wygląd ciążyły mu z pewnością. Nie miał przyjaciół. Skończył kilka klas szkoły podstawowej, a kiedy osiągnął wiek szesnastu lat, przeszedł odpowiednią praktykę i zatrudnił się jako pomocnik latarnika w Funkenhagen¹³. Dostał tam pokój w budynku mieszkalnym zajmowanym przez dwóch latarników, a do Bauerhufen zaglądał od czasu do czasu tylko po to, aby odwiedzić babkę i matkę.

Mar Fischer czuł dziwny lęk przed młodzieńcem o tak skomplikowanym i nieakceptowanym we wsi pochodzeniu, a jego wygląd oraz praca w latarni morskiej, obiekcie trochę tajemniczym, który Mar znał jedynie z zewnątrz, sprawiały, że poza lękiem czuł także respekt. Kiedy powodowany ciekawością zbliżył się do Bergera, ten odezwał się pierwszy. Głos, ku zaskoczeniu Mara, miał miękki, niski i przyjazny.

- Interesujesz się wisielcami? – zapytał Mara bez ogródek. – Odprowadź mnie do Funkenhagen, to ci trochę opowiem. Jeśli chcesz, pokażę ci też latarnię. Obejmuję dyżur za dwie godziny. Akurat zdążymy dojść.

Było mroźne lutowe niedzielne przedpołudnie. Padał gęsty śnieg. Zbliżała się pora obiadu.

- Nie mogę iść z tobą aż tak długo – odpowiedział Mar. – Muszę być w domu na obiedzie. Odprowadzę cię za Sorenbohm i wrócę.

- Dobrze – zgodził się natychmiast Theo Berger. – Pokażę ci latarnię kiedy indziej.

Theodor Berger okazał się niezwykle gadatliwym młodzieńcem. Zaczął mówić, gdy tylko weszli na zasypaną śniegiem leśną ścieżkę, a mówiąc, brnął przez śnieg bez najmniejszego

¹² Unieście

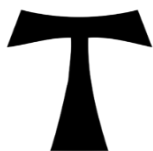
¹³ Gąski

trudu. Jego głos był teraz silny, twardy i monotony, jakby jego właściciel wyzbył się nagle wszelkich emocji. Młody Fischer z ledwością dotrzymywał mu kroku.

- Wisielec jest bardzo ważną figurą tarota – brzmiało pierwsze zdanie Bergera. – Wiesz, co to jest tarot? – zapytał, nie oglądając się na towarzysza i od razu sam sobie odpowiedział.

- Tarotem nazywa się specjalną i niesamowitą talię kart. Kupiłem taką dwa lata temu w Kolbergu za wszystkie uzbierane pieniądze. Pokażę ci, gdy przyjdiesz do mnie do latarni. Karty są bardzo piękne. Niezwykłe. Można nimi grać, ale ja tego nie robię. Mnie służą one do wróżenia. Wróżenia nauczyłem się od pewnej kobiety, której nazwiska nie mogę zdradzić. Tarot ma 78 kart. 56 kart to Małe Arkana. Oznaczają świat materialny. Pozostałe 22 karty to Wielkie Arkana, świat duchowy. Wisielec jest 12. Wielkim Arkanem. Pierwszym, a właściwie zerowym, jest Głupiec. Mógłbym ci dużo powiedzieć o wszystkich, ale czasu mi teraz nie starczy. Ale ciebie interesuje tylko Wisielec, więc o nim ci opowiem. Na karcie Wisielec jest mężczyzna ubrany w niebieską koszulę, wąskie czerwone spodnie i obuty w żółte ciżmy. Wisi głową w dół z prawą nogą przywiązaną do drzewa. Drzewo ma kształt wielkiego T. Drzewo to krzyż nazywany „tau”. Wygląda tak.

Berger zatrzymał się, pochylił i palcem na śniegu narysował:



Zaraz potem podniósł się, spojrzał uważnie na Mara, jakby sprawdzał, czy chłopak dobrze przyjrzał się rysunkowi, i ruszył przed siebie od razu podejmując przerwana przemowę:

- Wokół głowy mężczyzny narysowana jest promienista aureola, jego ręce są związane za plecami, a lewa noga skrzyżowana z prawą.

- Ale ja myślałem o normalnym wisielcu – zaoponował cicho Mar.

Długi wywód ruska – bo tak złośliwie nazwał go teraz w myślach młody Fischer – stawał się coraz bardziej niezrozumiały w miarę, jak narastało zmęczenie marszem po wysokim śniegu. Chłopak miał ochotę zawrócić, ale wstydził się przyznać do swojej słabości, bo mówiący nie okazywał żadnych oznak utrudzenia przebytą drogą. Nie usłyszał też chyba protestu Mara i szedł dalej, nie przerywając opowieści.

- W dawnych czasach – mówił – tak właśnie wyglądały szubienice, na których wieszano zbrodniarzy i na których wieszali się także sami niewinni ludzie. Dlatego Arkan Wisielca oznacza i karę i poświęcenie. Ale oznacza też otwartość na wiedzę tajemną i prawdę, bo aureola wokół głowy wiszącego to promienie słońca. Patrzę często na Wielkie Arkana. Kiedy przyglądam się Wisielcowi przestają mnie martwić wszelkie trudności. Nic mnie nie obchodzi, co myślą o mnie ludzie. Staję się silny i sam na siebie mogę nakładać trudne obowiązki. To się nazywa wchodzenie w głąb samego siebie. Jeśli wejdiesz w głąb samego siebie, nauczysz się panować nad swą fizyczną powłoką, poznasz swe prawdziwe ja i odkryjesz, że możesz swoją energią, swoimi czynami, spłacić długi swoich przodków.

Ostatniego zdania Mar już nie usłyszał, bo, zmęczony, przemarznięty i głośnie dyszący, pozostał w tyle.

- Theo! – wykrzyknął, z trudem łapiąc oddech. – Wracam. Muszę zdążyć na obiad.

Wracając do Bauerhufen myślał, że raczej nie odwiedzi Theodora Bergera w Funkenhagen, choć jego obietnica pokazania od wewnątrz latarni była bardzo kusząca.

Kilka dni po marszu z Bergerem w stronę Funkenhagen, Mar zapomniał o zmęczeniu, a zawiłości tarota zaczęły budzić w nim ciekawość.

- Koniecznie muszę dowiedzieć się więcej – myślał teraz. – Pójdę do Bergera w najbliższą niedzielę zaraz po nabożeństwie. Z Sorenbohm do latarni dojdę w godzinę. Namówię Emila. Z pewnością skusi go oglądanie latarni.

Jeszcze przed tą lutową niedzielą, w którą Mar zamierzał iść do Bergera, Emil, najwyraźniej bardzo z siebie zadowolony, przyszedł o zmroku do domu Fischerów. Zastał Mara w kuchni zajadającego dużą pajdę chleba ze smalcem. Też taką zaraz otrzymał od matki Mara, gdy tylko otrzepał w przedsionku ze śniegu buty i kurtkę, a potem, już w kuchni, zdjął grube wełniane rękawiczki. czapkę i szalik.

- Matka udziergała? – zapytała Fischerowa, oglądając wełniany bordowy komplet z misternym wzorem. – Bardzo ładne.

- Tak. Dostałem w prezencie na święta. Mam jeszcze do tego sweter – powiedział Emil z pełnymi ustami i korzystając z tego, że pani Fischer przygląda się wzorowi na szaliku, mrugnął porozumiewawczo do Mara i odchylił połę marynarki pokazując wetkniętą tam gazetę.

- Co ty wypychasz się gazetami? – wypalił Mar, ale szybko zamilkł, widząc niezadowoloną a jednocześnie tajemniczą minę przyjaciela.

Gazetą ukrywaną przez Emila okazał się egzemplarz tygodnika „Der Stürmer”. Kupowanie gazet nie leżało ani w zwyczajach, ani w możliwościach finansowych rodziny Emila, więc Mar domyślił się, że gazetę przyjaciel musiał zabrać potajemnie prawdopodobnie z holu hotelu Astoria, bo tam, w drewnianych uchwytych zamocowanych przy ogólnie dostępnych fotelach i stolikach, umieszczano świeże gazety dla gości.

Okazało się, gdy tylko przeszli do ogrzanego pokoju Mara, że przyczyną, dla której Emil ukrywał gazetę nie była kradzież. Chłopak znalazł egzemplarz we własnym domu na kupie papierów przeznaczonych na rozpałkę i zaczął przewracać strony z czystej ciekawości, bo gazeta była bogato ilustrowana. Na ostatniej stronie zobaczył tytuł „O prymitywnych zwyczajach ludów słowiańskich i Żydów”. Ilustracja przedstawiała powieszzonego człowieka.

- Nie przeczytałem, co tu piszą – powiedział Emil otwierając gazetę na ostatniej stronie. - Zabrałem ją i przybiegłem. Pomyślałem, że razem przeczytamy.

Tygodnik „Der Stürmer” był powszechnie znany, bo od dwóch lat wywieszano jego rozłożone strony w przeszklonych gablotach na najbardziej ruchliwych ulicach. Można je było przeczytać w gablocie przy domu sołtysa w Sorenbohm. Tytuł nie wszystkim musiał się podobać, ale podtytuł „Deutsches Wochenblatt zum Kampfe um die Wahrheit” wyjaśniał, że chodzi o szlachetną walkę, walkę o prawdę.

Egzemplarz, który oglądali chłopcy został wydany latem 1933 roku i najpewniej zostawiony przez letnika. Rzucające się w oczy podtytuły wydrukowane pogrubioną czcionką zapowiadały, że zawarte w artykule treści dotyczące wierzeń i zwyczajów ludzi prymitywnych będą szokujące. „Brr! Co za ohydna ciemnota!” głosił początek podtytułu. Dalej było jeszcze gorzej: „Świeczka wytopiona z trupa”.

Chłopcy drżąc z podniecenia pochylili się nad gazetą, a Mar zaczął czytać półgłosem, żeby matka go nie usłyszała:

„Ludzie prymitywni popełniają czyny niegodne cywilizowanego człowieka. Polska gazeta niestosownie zatytułowana „Dobry wieczór” donosi o makabrycznym zdarzeniu na wschodnio-południowych kresach, czyli na Ukrainie. W czasie mroźnej zimy w Czortkowie – tym razem nazwa stosowna – powiesił się niejaki Ludwik Bielecki. W kilka dni po pogrzebie zwłoki wykradziono. Czynu tego dokonali czterej znani w okolicy złodzieje, którzy dzielają wierzenia tamtejszego świata przestępczego, że świeczka wytopiona z tłuszczu samobójcy, dopóki się pali, zapewnia powodzenie podczas okradania mieszkań czy instytucji. Wiara w magiczną moc zwłok samobójcy, najczęściej wisielca, szerzy się nadal wśród plemion żydowskich i słowiańskich. Nagminnie rozkradane są fragmenty ciała powieszonego, części jego ubrania czy sznur, na którym zawisł. Te makabryczne czyny pozostają bezkarne, bo kler katolicki utrzymuje ciemnych ludzi w przeświadczeniu, że samobójstwo to ciężkie przestępstwo i grzech, za który trafia się prosto do piekła, więc beczczenie ich zwłok jest dopuszczalne. Zresztą nieszczęśliwym samobójcom, ludziom chorym, zagubionym a niejednokrotnie najzwyczajniej honorowym, urząda się tak zwany „ośli pochówek”. Są grzebani w miejscach, gdzie zakopuje się padlinę. Te haniebne obyczaje mieszkańców wschodu opisał Oskar Kolberg, etnograf niemieckiego pochodzenia. Opisywane przez niego praktyki ludów słowiańskich, wśród których żyje większość europejskiego żydostwa, przyprowadzają normalnego człowieka o gęsią skórę. Wierzą na przykład, że wisielczy sznur ma nadzwyczajną moc. Niewielki kawałek takiego powroza ma przynosić szczęście i chronić przed zimmem, a ponadto jest skuteczny w leczeniu dosłownie wszystkiego. Nadto zapewnia powodzenie. Zaszyty w chłopskim ubraniu zapewnia świetne plony, pomaga odnaleźć skradzione przedmioty, a przechowywany przez panny, zapewnia szybkie zamążpójście. Jeszcze straszniejsze jest pochodzące ze średniowiecza przekonanie, niestety, jak pokazuje przykład czortkowskich złodziei, wciąż żywe, że różne wykorzystywane fragmenty ciał wisielców pełnią rolę talizmanów i wspomagają działanie medykamentów w ciężkiej chorobie. Żydzi zaś wierzą, że powodzenie w prowadzonym przez nich wyszynku piwa i gorzałki zapewnia dodawanie do trunków sproszkowanych kości wisielców i że te same kości, odpowiednio spreparowane, zakłute i ukradkiem wrzucone do napoju, mają moc szkodenia. Samemu powieszonemu po śmierci przypisuje się natomiast cechy demoniczne, Samobójca pojawia się w znanej sobie okolicy albo w miejscu swojego zgonu ze sznurem na szyi, z językiem na wierzchu i wywróconymi oczami. Może ściągać nieszczęście na

miejsowości, w pobliżu których się powiesił. Dlatego jego zwłoki powinny być odcięte przez obcych ludzi i zakopane poza terenem miejscowości. Oto pokrętna logika ludzi prymitywnych”.

Mar poniosł głowę znad gazety, popatrzył w ciemność za oknem, a potem skręcił płomień lampy naftowej, jakby mrok miał mu pomóc w tym co zamierzał zrobić.

- Mam sznur, na którym powiesił się Otto – powiedział zduszonym głosem zabarwionym jednocześnie lękiem i satysfakcją.

3. Komplikacje



- Co też ten Stratmann wymyśla? – marudził Fritz Jensen przeszukując raz jeszcze miejsce, w którym, jak sądził, Emma Ackermann sama odebrała sobie swe młode życie.

Był głodny i niewyspany. Resztę szybko kończącej się nocy spędził w celi na posterunku w Sorenbohm. Zgodził się na ten bardzo niewygodny i bardzo krótki nocleg, żeby nad ranem nie niepokoić właścicieli któregoś z miejscowych pensjonatów. Fritz Jensen, jak na policjanta, był bowiem człowiekiem łagodnym i nie chcącym robić innym zbędnych kłopotów.

Nie był zadowolony z przydzielonego mu przez komisarza Stratmanna zadania, czyli obejrzenia w dzień lasu i sfotografowania odkrytych tam detali, mogących mieć związek ze sprawą. Denerwowało go także i to, że Stratmann wrócił sobie do Köslina służbowym samochodem i zapewne spał wygodnie we własnym łóżku. On kręcił się kilka godzin na za

wąskiej dla jego dużego ciała pryczy, ledwie zmrużył oczy, a śniadanie, którym poczęstował go żandarm było bardziej niż skromne i tylko na krótko zagłuszyło dokuczliwe ssanie w żołądku. Odczuwał je od wczorajszego wieczora z powodu niedokończenia kolacji.

Dodatkowe czynności zalecone mu przez komisarza chciał jednak wykonać szybko i dokładnie, żeby móc jak najszybciej opuścić las i Sorenbohm. Marzył o powrocie do Köslina i o zjedzeniu porządnego obiadu w restauracji Schumacher's Hotel. Hotelowa restauracja była droga - za droga jak na kieszeń asystenta kryminalnego - ale hotel znajdował się blisko dworca, co mu bardzo odpowiadało, jako że musiał wracać koleją, a, co jeszcze ważniejsze, dania tam serwowane zawsze były wyśmienite.

Poranny marsz przez wieś i las w rześkim morskim powietrzu zmniejszył uczucie zmęczenia. Po przybyciu na miejsce obudził żandarma, który na siedząco zasnął pod szubienicznym drzewem. Na szczęście zmęczony strażnik miejsca śmierci nie usiadł na wskazanym przez komisarza rysunku i Jensen mógł sfotografować dobrze teraz widoczny znak krzyża wpisanego w okrąg. Pracował wytrwale, aby z powodu jakiegoś wydumanego przez szefa zaniedbania, nie musieć wracać do nadmorskiego lasu.

- Może i racja, że nie jest to rysunek wykonany przez dzieci – myślał cykając zdjęcia. – Dziwne. Ciekawe co to jest? Jakiś symbol religijny wykonany przez denatkę?

Przyglądający się pracy Jensena żandarm, zaspany i obolały po niewygodnej nocnej pozycji, dopiero po kilku minutach odzyskał jasność umysłu i powiedział:

- Coś takiego było też przy zwłokach młodego Mauera.

- Czyli co takiego? – zajęty fotografowaniem asystent kryminalny nie zrozumiał żandarma.

- No taki sam rysunek był robiony na ziemi pod stopami Otta Mauera – wyjaśnił zapytany.

- I nic nie powiedzieliście! – zdenerwował się policjant.

- Nie wiedziałem, że to ważne. Zresztą ludzie to szybko zdeptali i zapomniałem – powiedział żandarm i szybko dodał:

- Odmeldowuję się.

Jensen skończył robienie zdjęć i zajął się zabezpieczeniem śladów. Z trudnością wdrapał się na drzewo i zdjął sznur. Nie zrzucił go, lecz zniósł na dół trzymając za koniec i włożył do papierowej torby. Następnie, krążąc wokół drzewa, spenetrował okoliczne miejsc, Zebrał i

zabezpieczył, zgodnie ze wskazówkami komisarza, wszystko co znalazł: strzęp starej gazety poniewierający się dwa metry od drzewa, porzuconą w krzakach małą brązową butelkę po Maggi Knorra z odtrąconą szyjką i leżący nieopodal na ścieżce niedopałek papierosa.

Zbliżała się godzina dziewiąta, gdy wrócił do Sorenbohm. Dalsze poszukiwania nie były już możliwe, bo na leśnej ścieżce zaczęli pojawiać się zaciekawieni i zaniepokojeni mieszkańcy obu leżących na dwóch krańcach lasu wsi. Wieść o tragicznej śmierci Emmy Ackermann już się rozniosła. Była niedziela. Ludzie mieli więcej czasu, więc zgromadzenie rosło z każdą chwilą. Jensen sprawnie wykręcił się od udzielania jakichkolwiek informacji i szybkim krokiem wrócił do wsi. Pod posterunkiem czekała na niego bryczka, którą odwieziono go na kolej w Alt Banzin¹⁴.

Komisarz Hans Stratmann miał za sobą ciężką noc. Pomimo potężnego zmęczenia spał krótko i niespokojnie, a zaraz po gwałtownym przebudzeniu napadły go męczące myśli i obrazy. Raz po raz pojawiał się w jego głowie obraz wiszącej młodej kobiety, a niechciane myśli dotyczyły głównie coraz większej liczby wątpliwości co do jej samobójstwa.

Irytował się i złościł sam na siebie, bo zdarzenie z poprzedniej nocy nie było wyjątkowe, a on nie był nuworyszem w swoim fachu i nie raz nie dwa widział gorsze sceny zbrodni. O ile oczywiście w tym dziwnym przypadku doszło do zbrodni. Przecież tę sprawę, podobnie jak poprzednią, można było łatwo zakwalifikować jako śmierć samobójczą. Młode osoby, a w szczególności młode kobiety, są zazwyczaj niestabilne emocjonalnie i byle porażka skłania je do popełniania dramatycznych czynów.

Pomimo przedkładanych sobie argumentów za porzuceniem sprawy, komisarz Stratmann postanowił dokładniej zająć się przypadkiem śmierci dziewczyny. Wiedział, że jego nadmierne zainteresowanie śmiercią Emmy Ackermann nie spodoba się jego przełożonemu, radcy kryminalnemu Georgowi Daubemu.

- Trudno – zapewniał sam siebie. – Tym razem nie ustąpię. Postawię szefa przed faktami dokonanymi. Przecież nie odwoła mojego polecenia w sprawie sekcji zwłok, nie złamię zawodowej lojalności i nie każe mi zamykać dochodzenia, które już faktycznie rozpocząłem. Dobrze, że jest niedziela i nie muszę już dziś z nim się konfrontować.

¹⁴ Będzino

Zbliżało się południe. Na śniadanie było właściwie za późno. Stratmann zrobił sobie mocną, aromatyczną kawę, pił ją z wielką przyjemnością, paląc pierwszego w tym dniu papierosa i wciąż myślał o nocnej wizycie w Sorenbohm oraz o tym, czy Fritz coś znajdzie i czy dobrze zabezpieczy ślady.

Po wypiciu kawy i wypaleniu papierosa poczuł głód. Nie miał ochoty na samotny obiad. Ogolił się starannie, wykapał, odświeżył twarz wodą kolońską i założył uszyty przez berlińskiego krawca świetnie skrojony szary wełniany garnitur w prążki - spodnie garnituru, zgodnie z najnowszą modą, miały szerokie i zakończone mankietami nogawki. W przedpokoju zdjął z półki jasnoszary kapelusz, wyszczotkował go, umieścił na głowie i z satysfakcją przejrzał się w lustrze.

Twarc miał zmęczoną, ale podobał się sobie. Lubił ubierać się sztykownie i podążać za modą. Zawsze starał się wyglądać elegancko. Przed wyjściem zarzucił na ramiona cienki wiosenny płaszcz. Dzień zapowiadał się ciepły. W lepszym już nastroju opuścił służbowe mieszkanie przy Hildebrandstrasse 21 i wolnym krokiem ruszył w stronę Marktplatz. Postanowił zjeść obiad w restauracji hotelu Schumachera, w której dotąd nie był.

Od dawna miał ochotę na białą kiełbasę ze słodką musztardą, na pieczone ziemniaki i kufel dobrego zimnego piwa. Schumacher's Hotel położony był przy głównej ulicy niedaleko dworca kolejowego. Komisarz poszedł do hotelu najkrótszą drogą. Po ciężkiej nocy nie miał ochoty na długi spacer.

Fritz Jensen z przyjemnością pochłaniał dobrze przyrządzoną pieczeń wieprzową z knedlami polanymi apetycznym gładkim pieczeniowym sosem. Wcześniej zjadł przepyszny rosół z kluseczkami z wątroby, które dobrze przyprawiono majerankiem, pieprzem i gałką muszkatołową. W planie miał jeszcze deser i wahał się czy zamówić Apfelstrudel, czy tort szwarczwaldzki. Piwa nie pił. Nie chciał zapełniać nim żołądka. Zamówił karafkę czerwonego wina mozelskiego.

Kiedy w pewnej chwili podniósł głowę znad talerza pełnego apetycznego jedzenia i leniwym spojrzeniem powiódł po przestronnej eleganckiej sali oraz siedzących w niej nielicznych osobach, napotkał wbity w siebie wzrok Hansa Stratmanna. Zaklął w duchu.

- Do diabła z nim – pomyślał. – Znów popsuje mi posiłek. Jak on mnie tu znalazł.

Komisarz uśmiechnął się widząc naburmuszoną twarz Fritza.

- Myśli, że mam dla niego robotę i że znów się nie naje – zachichotał w duchu i ruszył w stronę stolika zajmowanego przez asystenta.

- Hallo Fritz – powitał młodszego kolegę, który służbiście zerwał się z krzesła.

Stratmann podał mu rękę.

– Siadaj i spokojnie zjadaj. Tym razem ci nie przeszkodzę – powiedział uspokajająco. - Trafiłem na ciebie przypadkiem. Też przyszedłem coś zjeść. Nie będę ci przeszkadzać. Usiądę przy innym stoliku.

- Ależ nie! Zapraszam! Zapraszam! – zaprotestował grzecznie, ale wbrew sobie, Fritz i przywołał kelnera.

- Dla mnie proszę to samo – zamówił Stratmann, nie zaglądając do karty, bo wiedział, że nie ma większego znawcy dań i smakosza od Fritza Jensena.

Starali się bardzo, żeby nie rozmawiać o sprawach służbowych, ale starania na niewiele się zdały. Po kilku neutralnych zdaniach Fritz z udawanym zaangażowaniem, z własnej inicjatywy, opowiedział o swych porannych poszukiwaniach w lesie. Powiedział o sfotografowanych miejscach, o serii wykonanych fotografii znaku na ziemi i wyliczył zabezpieczone przez siebie przedmioty.

Domyślał się, że komisarz najchętniej natychmiast obejrzałby kawałek znalezionej w lesie gazety, buteleczkę po przyprawie, niedopałek papierosa oraz zdjęty z dębu sznur, które znajdowały się teraz w jego dużej teczce. Teczke Jensen zostawił w restauracyjnej szatni razem z płaszczem i kapeluszem i niczego teraz nie pragnął bardziej niż tego, aby tam pozostała wraz ze swoją zawartością.

Już sama rozmowa o poszukiwaniach w nadmorskim lesie spowodowała, że deser nie smakował mu tak, jak powinien. Nie dlatego, że apfelstrudel był źle przyrządzony, lecz dlatego, że obecność komisarza stopniowo odbierała Fritzowi Jensenowi apetyt, a wspomnienie wisielczego sznura szczególnie go zniesmaczyło. Tymczasem komisarz nie zamierzał zmienić tematu.

- Sznur wyślę do laboratorium w Berlinie – zapowiadał. – Daube będzie protestował, ale w tej sprawie nie ustąpię. Są teraz takie techniki, że można określić właściwości krwi na podstawie bardzo małej plamki jakiegokolwiek wydzieliny - krwi, spermy, śliny a nawet potu. Można znaleźć mikroskopijne włókna materiału i ustalić, skąd pochodzą.

Fritz Jensen grzebał widelczykiem w deserowym talerzyku, popijał kawę i od czasu do czasu kręcił i kiwał głową z udawanym niedowierzaniem. Od dawna bowiem interesował się nowymi technikami, czytał wydaną po niemiecku książkę włoskiego lekarza sądowego Leona Lattes o indywidualizacji krwi i śledził treści biuletynów Niemieckiego Towarzystwa Medycyny Sądowej. Informacje, których teraz słuchał nie były więc dla niego nowością. Nie chciał jednakże wdawać się w dyskusję, która przedłużałaby psujący mu apetyt wątek. Niestety w umyśle Stratmanna pojawił się jeszcze gorszy temat.

- Ciekawe – zawołał ściszym głosem komisarz – gdzie jest sznur, na którym powiesił się tamten chłopak! Wiesz! Ten Otto, jak mu tam?

- Otto Mauer – wycodził Jensen przez zaciśnięte zęby.

- Otto Mauer – powtórzył komisarz i zamilkł, bo nagle pojął, że jednak popsuł Fritzowi kolejny posiłek.

- Aha! – wykrzyknął asystent kryminalny, udając zaangażowanie. – Żandarm z Sorenbohm twierdzi, że koło z krzyżem, no ten rysunek, było także przy jego zwłokach tego Mauera.

Radca kryminalny Georg Daube niechętnie wysłuchał informacji, jakie w poniedziałkowy rano przekazał mu komisarz Hans Stratmann. Zauważając nadzwyczajne zaangażowanie podwładnego w samobójczą śmierć młodej dziewczyny, postanowił jednak nie utrudniać mu działań pod warunkiem, że sprawa Emmy Ackermann nie odciągnie komisarza i jego asystenta od innych zadań i nie przyniesie zbyt dużych kosztów Wydziałowi.

Stratmann był zadowolony z postawionych mu przez przełożonego warunków, a ponieważ w następnych dniach nie zdarzyły się żadne poważniejsze wypadki, którymi musiałby się pilnie zająć, miał czyste sumienie.

Asystent kryminalny Fritz Jensen do sprawy śmierci Emmy Ackermann odnosił się bez entuzjazmu, lecz posłusznie i bez komentarzy wykonywał polecone mu zadania. Pierwszym z nich było pilne udanie się do Bauerhufen, odszukanie sznura, na którym powiesił się Otto Mauer i dokładne rozpytanie we wsi o rodziny Maurerów, Ackermannów oraz o powiązania pomiędzy ich nieżyjącymi dziećmi. Drugim, odwiedzenie Sorenbohm i wypytywanie o Emmę Ackermann w miejscu jej pracy. Jensenowi zatem nie udało się uniknąć ponownej podróży do nadmorskich miejscowości. Ułatwieniem było to, że dostał samochód i mógł sprawnie poruszać się po terenie.

Komisarz Stratmann zajął się najpierw wysłaniem zebranych przez Fritza materiałów do Instytutu Medycyny Sądowej i Społecznej Uniwersytetu Berlińskiego. Dobrze znał pracującego tam Wiktora Müllera-Hessa, choć ten został ściągnięty z Bonn do Berlina trzy lata przed opuszczeniem przez niego stolicy. Polubili się jednak szybko – obaj zainteresowani wykorzystywaniem osiągnięć nauki w kryminalistyce – i Stratmann wiedział, że znajomy naukowiec sprawnie i w krótkim terminie prześle mu wyniki badań. Poprosił go także w rozmowie telefonicznej o ewentualne wciągnięcie badań w koszty Instytutu.

Ważne było przede wszystkim sprawdzenie sznura i niedopałka papierosa. Liczył na to, że jeśli Emma Ackermann nie powiesiła się sama, to sprawca pozostawił na sznurze ślad biologiczny, jakieś włókno, odcisk palca lub cokolwiek co najpierw potwierdzałoby jego istnienie, a następnie określało krąg osób podejrzanych. Potrzebował po prostu punktu zaczepienia. Ubranie ofiary obiecał przesłać jeszcze tego samego dnia przed wieczorem, gdy tylko zostanie odpowiednio zdjęte i zabezpieczone przez lekarza sądowego.

Po południu udał się do prosektorium szpitala w Köslinie, gdzie medyk sądowy Kurt Junge od rana miał przeprowadzać sekcję zwłok dziewczyny. Doktor Junge, suchy i, wbrew nazwisku, stary mężczyzna wszystko co robił, robił bardzo wolno i prawdopodobnie dlatego wolał martwych pacjentów od żywych, którym trzeba by pomagać z pośpiechem. W swojej pracy nie musiał się spieszyć, co dawało dobre rezultaty. Protokoły z przeprowadzonych przez niego sekcji zawsze były szczegółowe i zawierały wszystkie możliwe konkluzje dotyczące przyczyn śmierci denatów.

Zanim Stratmann wszedł do prosektorium, zatrzymał się chwilę w korytarzu, żeby oswoić się z przykrym zapachem tego ponurego miejsca. Odetchnął w ulgą, kiedy wszedł do głównego pomieszczenia, bo okazało się, że lekarz zakończył robotę, przykrył ciało prześcieradłem, zdjął gumowy fartuch i, siedząc za biurkiem, sporządzał protokół. Komisarz nie chciał ponownie patrzeć na martwą, jeszcze bardziej zmienioną po sekcji Emmę.

Lekarz, słysząc wchodzącego, nie spojrzał, aby sprawdzić kim on jest, a jedynie podniósł dłoń w geście, którym nakazywał gościowi powstrzymanie się od pytań i cierpliwe oczekiwanie.

- Denatka była w czwartym miesiącu ciąży - oświadczył spokojnie Junge, wstając od biurka po około dziesięciu minutach, w czasie których w prosektorium panowała absolutna cisza.

– Najbardziej prawdopodobną przyczyną zgonu było *strangulatio* – lekarz znów podniósł dłonie nakazując komisarzowi wysłuchanie wywodu do końca. - Wskazuje na to zastój krwi w głowie denatki, sinica twarzy i wybroczyny w oczach oraz błonach śluzowych ust i nosa. Rdzeń kręgowy nie został przerwany, co musiałoby nastąpić przy podanej w raporcie długości sznura i gwałtownym opadnięciu ciała pod własnym ciężarem. Można więc domniemywać, że gwałtownego spadku ciała nie było, co wskazuje na to, że raczej nie był to czyn samobójczy. Tym bardziej, że krew z nosa, która wypłynęła po zadzierzgnięciu, została dokładnie wytarta. Prawdopodobnie kawałkiem zadrukowanego papieru. W kącikach ust znalazłem zaczernienia charakterystyczne dla tuszu. Cięża rozwinięta prawidłowo. Dziecko to chłopiec. Reszta w protokole z sekcji.

- Wiedziałem! – miał ochotę wykrzyknąć Stratmann, ale spokój Junga skutecznie powstrzymywał wybuch emocji. - Dziękuję doktorze – powiedział spokojnie, wziął z rąk medyka protokół, poprosił o ubrania Emmy Ackermann i uścisnął Jungowi dłoń na pożegnanie.

Wiadomość o tym, że dziewczyna była w dość zaawansowanej ciąży bardzo zaskoczyła komisarza, choć nie pokazał tego po sobie. Pożałował, że zbyt wcześnie wysłał Fritza na wieś i że ten, nie wiedząc o odmiennym stanie Emmy, nie będzie zadawał świadkom pytań naprowadzających na ojca jej nienarodzonego dziecka.

Postanowił zatelefonować na posterunek żandarmerii w Sorenbohm i polecić, aby odszukali asystenta kryminalnego Jensena i powiadomili go, że powinien pozostać w Sorenbohm do dnia jutrzejszego, kiedy to komisarz osobiście przyjedzie, aby pomóc mu w przepytывaniu mieszkańców.

Komisarz Hans Stratmann chciał, aby informacja o ciąży Emmy Ackermann pozostała tajemnicą tak długo, aż on i Fritz zbiorą możliwie dużo informacji o Emmie, jej znajomościach i prowadzeniu się. Natomiast zakładane wcześniej powiązanie pomiędzy śmiercią dziewczyny a samobójstwem Ottona Mauera wydawało się teraz Stratmannowi mało prawdopodobne.

4. Dochodzenie



Czas na przepytывanie mieszkańców Bauerhufen i Sorenbohm był zbyt krótki, aby zadowolić komisarza Hansa Stratmanna. Dołączył do Fritza Jensena już we wtorek rano, bo grzecznościowo podrzucono go do Sorenbohm przypadkowo wolnym samochodem.

Miał szczęście. Podróż koleją opóźniłaby znacznie jego przyjazd na wieś. Dodatkowo kierowca samochodu, młody policjant, pochodził właśnie z Sorenbohm i po drodze chętnie odpowiadał na pytania. Wychwalał właścicieli pensjonatu Haus am Meer, Gustava Rosenowa i jego żonę Lizę jako ludzi porządných, pomocnych i szanujących swoich pracowników. Wątpił, aby powodem samobójczej śmierci Emmy mogły być przykrości, jakie spotkały ją w pracy.

- Słyszałem, że Rosenow nie wtrąca się do zarządzania pracownikami – twierdził policjant. – Robi to Rozenowa, która jest stanowcza i wymagająca, ale konkretna i sprawiedliwa. Nie faworyzuje nikogo, nie knuje. Moja matka pracowała u nich jedno lato i bardzo ich chwaliła.

- A kto w Sorenbohm ma złą opinię? – dopytywał komisarz. – Kogo tam nie lubią? Kogo się boją?

- No nie wiem? – wahał się kierujący autem policjant. – Może właściciel młyna nie jest zbyt lubiany. Nazywa się Winckler. Ludzie gadają, że łatwo się wścieka, krzyczy i wyzywa pracowników. Taki bogaty gbur. Ale niektórzy mówią o nim dobrze, że pomaga, daje datki na kościół i na szkołę.

Fritz Jensen był zaskoczony przekazana mu przez Hansa Stratmanna informacją o ciąży Emmy Ackermann. Śmierć ciężarnej dziewczyny zrobiła na nim tak duże wrażenie, że porzucił wszelkie wątpliwości co do potrzeby dokładniejszego zbadania jej przypadku.

- Przepytałem wczoraj sołtysa Bauerhufen, chłopaka, który znalazł Mauera, jego rodziców, znaczy się Fischerów, a potem Mauerów i Ackermannów. Poszedłem też do hotelu Astoria i pogadałem z Ruthową, właścicielką Astorii – relacjonował Jensen.

– Dobrą kawkę mi zrobiła, no i mają tam pyszne ciasteczka. Wie pan komisarzu, że jej mąż i syn utopili się w czasie sztormu, gdy wracali z połowu? Straszny wypadek. Pani Ruth trzyma się dzielnie i sama prowadzi interes. A jakie ma piękne obrazy o tematyce morskiej w holu i na ścianach klatki schodowej! Namalowali je studenci z Berlina, którzy przyjechali na plener do Bauerhufen ze słynnym malarzem impresjonistą Ludwigiem Dettmannem. Zna go pan komisarzu? Ja bardzo lubię impresjonistów, a Dettmann jest teraz najlepszym malarzem nazistów.

- Mów czegoś się dowiedział – zażądał poirytowany nagłym napadem gadulstwa Stratmann, który nie znał się na malarstwie i nie cierpiał nazistów.

Zaraz pożałował ostrego tonu, bo ożywiony Fritz Jensen znów zmarkotniał.

- W sumie niewiele nowego – odpowiedział asystent. – Wszyscy twierdzą, że Otto był wesołym młodzieńcem, a jako jedyny syn Mauerów – mają jeszcze trzy córki – był w rodzinie bardzo kochany przez matkę i siostry. Ojciec próbował go dyscyplinować, ale chyba się nad nim nie pastwił. Rodzina w sumie dość biedna, ale bardzo pobożna i dumna. Radzą sobie sami. Fischerowa twierdzi, że to odludki, że trzymają się na uboczu i niechętnie rozmawiają z innymi, ale sołtys powiedział, że to dobrzy spokojni ludzie i jak trzeba, to włączają się w życie wsi. W każdym razie nie robią kłopotów. Otto był chyba najbardziej z nich towarzyski.

- Miał dziewczynę? Zakochał się w jakiejś? Któraś go odrzuciła?

- Podobał się dziewczynom i umiał z nimi rozmawiać. Przecież miał trzy siostry. Ale one twierdzą, że z żadną dziewczyną brat się nie spotykał. Trzymał się kolegów.

- A czego dowiedziałeś się o Ackermannach?

- Ci są lubiani. Też skromnie żyją, ale chętnie rozmawiają. No oczywiście nie teraz. Teraz są w głębokiej żałobie. Wstydzą się i rozpaczają jednocześnie. Ale to twardzi ludzie. Nie histeryzują. Emmę tu wszyscy lubili. Bardzo ją chwala i nie wierzą w to co zrobiła.

- A o sznur pytałeś?

- Ubrania Otta i sznur spaliła jego najstarsza siostra Marika w ognisku na plaży. Nie ma po tym śladu. Powiedziała, że pomagał jej młody Fischer. Ten sam, który znalazł ciało.

- Ciekawe...- zamyślił się komisarz.

- Ja bym go jeszcze raz przepytiał – stwierdził z ożywieniem Fritz. – Jakiś taki był zdenerwowany i małowówny. A gdy pytałem o palenie ubrań i sznura, to zrobił się czerwony jak burak.

- Dobrze – zgodził się Stratmann. – Podjedziemy zaraz do szkoły w Sorenbohm, wyciągniemy go z lekcji i pogadamy bez rodziców. Trzeba gówniarza trochę przycisnąć. Potem złożymy wizytę w pensjonacie, w którym pracowała Emma i w młynie wiatrowym. To pracownik młyna ją znalazł, a właściciel powiadomił żandarmów.

- Uważaj! – pouczył swego asystenta. - Ja będę zadawał pytania, a ty obserwuj reakcje pytanych. Ich twarze i ruchy. Niech cały czas czują na sobie twój wzrok. To ich powinno drażnić i wytrącić z równowagi. Zmiękną.

Rozmowa z uczniem szkoły w Sonenbohm Marem Fischerem, chłopcem, który odkrył zwłoki Otta Mauera, nie była tym razem łagodna. W dniu odnalezienia Otta śledczy starali się nie denerwować go bardziej niż to było konieczne dla ustalenia faktów. Teraz komisarz, posługując się ostrym tonem, zasypał go gradem pytań. Młody Fischer był nieswój, czerwienił się, jękał, odwracał wzrok i najchętniej uciekłby do szkoły, żeby przerwać indagacje. Najwyraźniej czegoś się obawiał, albo coś przed policją ukrywał. Potwierdził, że widział przy Mauersze rysunek koła z krzyżem. Twierdził, że nie wie, dlaczego o rysunku nie powiedział śledczym. Potwierdził także, że pomógł siostrze Otta spalić na plaży jego ubrania i sznur. Zapytany o najbliższego przyjaciela zawahał się i powiedział, że nie ma takiego. Oni jednak wiedzieli, że kłamie. Nazwisko Emila Baumana padło z ust innych, wcześniej przepytanych. Odesłali więc rozdygotanego Mara Fischera do klasy i kazali przysłać Baumana. Fischer prawie się rozpłakał, ale wykonał polecenie.

Rozmowa z Emilem Baumanem rozczerowała komisarza. Chłopak bredził coś o germańskich bogach, wisielcach, sztormach i talizmanach, którymi ponoć bardzo interesuje się Mar Fischer od czasu śmierci Otta.

- Wskutek mocnych przeżyć w ostatnich miesiącach młodzieńców najwyraźniej poniosła fantazja – stwierdził Stratmann po odejściu Emila Baumana.

– A młody Fischer kręcił, bo chciał ukryć przed nami swoje chorobliwe zainteresowanie wisielcami - dodał.

Bardziej owocna okazała się wizyta w pensjonacie Haus am Meer. Policjanci od początku byli pod wrażeniem pięknego położenia pensjonatu tuż przy plaży, jego gustownie urządzonego wnętrza i wyczuwalnej domowej atmosfery. Miła atmosfera z pewnością była zasługą dystygowanej, ale naturalnie uprzejmej właścicielki, czyli Lizy Rosenow.

Dojrzała elegancka i nadal ładna kobieta pojawiła się w salonie niosąc na tacy trzy porcelanowe filiżanki, srebrną cukiernicę i dzbanek świeżo zaparzonej herbaty. Postawiła tacę na stoliku i bardzo swobodnie podała policjantom rękę na powitanie.

- Panowie przyszli zapewne w sprawie tragicznej śmierci Emmy – powiedziała ze szczerym smutkiem w głosie. – Nie będę jednak pomocna. Wszystko co wiem już wcześniej powiedziałam. Może to niewiarygodne, ale nie interesuję się prywatnymi sprawami moich pracowników. W ten sposób udaje mi się utrzymywać ze wszystkimi dobre, lecz tylko służbowe relacje. Mam jednak u siebie bardzo przyzwoitą kobietę, która powinna wiedzieć o Emmie więcej niż ja.

Liza Rozenow zadzwoniła dzwonkiem leżącym nieopodal stolika do herbaty. Weszła pokojówka.

- Marto! – powiedziała do niej Liza Rozenow. – Znajdź Marię i poproś, żeby do nas przyszła.

- Maria Reuschel jest u mnie przełożoną pokojówek – poinformowała policjantów pani Rozenow po wyjściu pokojówki. - To bardzo odpowiedzialna, sumienna pracownica i mądra kobieta. Nie ma własnej rodziny. Traktuje moje dziewczyny, a swoje podopieczne, jak młodsze siostry. One jej ufają. Wie o nich prawdopodobnie więcej niż rodzice. Chętnie się jej zwierniają i proszą o radę.

Około trzydziestoletnia kobieta o ostrych rysach, wysoka, szczupła, z czarnymi włosami upiętymi staromodnie na czubku głowy, nie wyglądała na skępowaną obecnością

policjantów. Uważnie słuchała pytań i formułowała krótkie konkretne odpowiedzi. Zdecydowanie stwierdziła, że nie wierzy w samobójstwo Emmy. Nie wie oczywiście, co się stało, ale wie, że Emma była w ciąży i choć dziewczyna obawiała się powiedzieć o tym rodzicom, to nie wyglądała na zrozpaczoną. Przeciwnie, Maria odniosła wrażenie, że cieszyła się, bo była pewna, że młody Winckler, jej ukochany i ojciec dziecka, otrzyma w tym stanie rzeczy zgodę na ślub.

- Czy Thomas Winckler wiedział o ciąży? Emma mu powiedziała? Przecież Thomas przebywa w Berlinie – dopytywał Stratmann dobrze znający naiwność zakochanych kobiet.

- Emma powiadomiła go listem. Wiem, bo pomogłam jej ten list napisać, a potem razem poszliśmy na pocztę i ona ten list przy mnie wysłała.

- Kiedy to było? – zainteresował się milczący dotąd Jensen.

- Jakies dwa tygodnie temu, kiedy już była zupełnie pewna swojego błogosławionego stanu – brzmiała odpowiedź.

- A kiedy przyszedł list od Thomasa? Co jej odpowiedział? – zadał kolejne pytanie komisarz.

- Tego właśnie nie wiem. Ona czekała na odpowiedź, a raczej była pewna, że Thomas przyjedzie, żeby porozmawiać z nią i ze swoimi rodzicami. Chyba jednak nie zdążył ani odpisać, ani przyjechać. Wiedziałabym o tym. Emma o wszystkim mi mówiła.

- Kto jeszcze wiedział o ciąży?

- Myślę, że nikt poza mną i Thomasem, o ile list do niego dotarł.

Komisarze, wyposażeni w wiedzę otrzymaną od Marii Reuschel, pojechali do wiatrowego młyna. Chcieli ostro zaatakować Paula Wincklera, którego syn okazał się ojcem dziecka Emmy Ackremann. Niestety właściciela nie zastali ani w młynie, ani w domu. Udał się bowiem, jak poinformowała żona Wincklera, Matylda, do Kolbergu w nieznanej jej pilnej sprawie.

- Mogą panowie na niego poczekać. Zapewne niedługo wróci – zaproponowała Matylda Winckler, kobieta niska i krępa, i zaprowadziła niechcianych gości do obszernej kuchni.

Komisarz Stratmann wykorzystał sytuację i postanowił powiedzieć młynarzowej o tym, że wkrótce miała zostać babką. Liczył na efekt zaskoczenia, który mógłby skłonić kobietę do wyjawienia nowych informacji. Nie przewidział jednak jej histerycznej reakcji. Matylda

Winckler, która wyglądała na kobietę silną i doświadczoną przez życie, dowiedziawszy się, że jej najmłodszy syn Thomas miałby być sprawcą pozamałżeńskiej ciąży, dostała gwałtownego ataku płaczu. Szlochała głośno i rozpaczliwie.

Do kuchni wkroczyła zdecydowanym krokiem starsza kobieta wyglądająca na zaufaną służącą i zaprowadziła nieszczęśliwą panią domu do sypialni, gdzie podała jej krople walerianowe i położyła do łóżka. Nie było żadnych szans na dalszą z nią rozmowę. Zakłopotani policjanci rozważali opuszczenie domu młynarza, ale ku ich zaskoczeniu podano im smakowicie wyglądające kanapki z bekonem i piwo. Nie odmówili. Paul Winckler pojawił się niebawem.

Właściciel młyna wydawał się nie mniej zaskoczony informacją o ciąży Emmy Ackermann niż jego żona, ale po chwili widocznego na jego twarzy wzburzenia odzyskał wewnętrzną równowagę i spokojnym głosem powiedział:

- Tak. Przyznaję. Wiedziałem, że Thomas i ta nieszczęsna Emma mają się ku sobie. Z pewnością jednak nikt nie zakładał, ani młodzi, ani my rodzice, że jest to coś więcej niż zwykle młodzieńcze chwilowe zauroczenie, które równie szybko przychodzi jak odchodzi. Thomas z pewnością niczego tej dziewczynie nie obiecywał. To mądry i porządny chłopak. Od roku studiuje w Berlinie. Rzadko przyjeżdża i z pewnością poznał tam dziewczyny bardziej interesujące od Emmy. Jestem pewien, że to nie on zrobił jej dzieciaka. Samotna dziewczyna, dorodna i jurna, mogła puścić się z kimś innym. Nie wytrzymała długiego rozstania i perspektywy porzucenia. Musiała wiedzieć, że do siebie nie pasują. Nie była aż taka głupia.

- A kiedy syn był ostatnio w domu? – zapytał komisarz trochę zniesmaczony sugestią starego Wincklera, że Emma zbyt swobodnie mogła się prowadzić, choć nie można było wykluczyć takich podejrzeń.

- Tak jak inni studenci przyjechał na Boże Narodzenie i wyjechał po Nowym Roku.

- Nie wiem, czy w tym czasie widział się z Emmą – właściciel młyna uprzedził następne pytanie.

– Był bardzo zajęty. Wiem, że spotykał się z kolegami z Hitlerjugend, którzy teraz są już oczywiście dorośli, więc i on i oni są w NSDAP. Zauważyłem, że Thomas ostatnio wołał towarzystwo koleżanek ze Związku Niemieckich Dziewcząt. Miał z nimi więcej tematów do rozmów niż z prostą posługaczką niewyrobioną politycznie. Samobójstwo Ackermannówny

dużo mówi o jej charakterze. Przestraszyła się nie tylko reakcji swoich rodziców i otoczenia, ale prawdopodobnie także odrzucenia przez Thomasa. Zorientowała się być może, że nie uda jej się go zrobić w tę ciążę.

- Tak, z pewnością – przytaknął komisarz, a Fritz Jensen usłyszał w jego głosie wyraźną dezaprobatę.

- Czy syn wkrótce przyjedzie z Berlina? – zabrzmiało ostatnie pytanie Stratmanna.

- Powiadomię go o tym całym zamieszaniu. Domyślam się, że policja będzie chciała z nim porozmawiać, choć ja, prawdę mówiąc, nie widzę powodu przesłuchiwania syna – oświadczył wyraźnie poirytowany Winckler.

Rozmowa z Paulem Wincklerem była ostatnią, jaką udało się przeprowadzić köslńskim policjantom kryminalnym w Sorenbohm. Obowiązki wzywały do powrotu. W sprawie Emmy Ackermann pozostawało im tylko cierpliwie czekać na wyniki badań laboratoryjnych.

Czas płynął a Stratmann i Jensen coraz częściej myśleli, że wiązanie śmierci Emmy ze śmiercią Otta nie ma solidnej podstawy, bo przecież nie można było za taką uznać znalezionych pod ich ciałami identycznych rysunków, których znaczenie nie było im znane.

Stratmann musiał poinformować swego przełożonego, radcę kryminalnego Georga Daube, o przebiegu swego na wpół oficjalnego śledztwa. Daube, od początku przeciwny gmatwaniu prostej jego zdaniem sprawy, podkreślił, że badania z pewnością nie przyniosą żadnych rewelacji i że tylko dlatego godził się na nie, że będą wykonane bez jakichkolwiek kosztów dla Kripo z Köslina. Nie przekonały go nawet sugestie doświadczonego lekarza sądowego.

- Samobójcza śmierć przez zadzierzgnięcie rzeczywiście zdarza się dość rzadko – perorował Daube po zapoznaniu się z protokołem z sekcji zwłok dziewczyny. – Ale mogło jej się udać. Przypadek albo dobre przygotowanie. Dziewczyna była zdesperowana i od dłuższego czasu prawdopodobnie kombinowała, jak się skutecznie powiesić.

Najbardziej zaskoczyło komisarza to, że Daube nie zmienił zdania nawet wtedy, gdy wreszcie nadeszły wyniki laboratoryjne z Instytutu Medycyny Sądowej i Społecznej Uniwersytetu Berlińskiego.

Doktor Wiktor Müller-Hess skrupulatnie opisał skomplikowane metody, za pomocą których odkryto na sznurze i ubraniu niewielkie ślady krwi. Ustalono, że z pewnością jest to krew ludzka. Jedna plamka, którą rozpoznano jako powstałą z kapania krwi z góry na ubranie ofiary wykazywała właściwości odmienne od pozostałych. Znajdowała się na sukience w jej górnej części i spadła prawdopodobnie pod odchylający się na piersi ofiary fartuch, bo ten był od spodu także zaplamiony. Pozostałe plamy, rozmazane, musiały powstać wskutek otarcia się niewielkiej rany o sznur i ubranie.

Po odkryciu owych śladów Müller-Hess zażądał przesłania mu próbki krwi Emmy, aby mógł określić pochodzenie odkrytych plam. W protokole dokładnie opisał, jakimi posłużył się metodami, aby oznaczyć grupę krwi rozmazanej na sznurze i ubraniu oraz tej jednej pochodzącej z kapania. Na tę ekspertyzę Stratmann otrzymał jeszcze zgodę przełożonego. Okazało się, że Emma Ackermann miała grupę krwi A i do niej prawdopodobnie należała jedna kropla krwi na sukience, a pozostałe ślady pozostawił osobnik z grupą krwi B. Największe plamy krwi ujawniono na strzędzie gazety znalezionej w pobliżu miejsca śmierci młodej kobiety i była to krew zarówno z grupy A jak i B, a zatem także mogła należeć do Emmy i nieznanego osobnika.

- Szeffie! – denerwował się Stratmann po przeczytaniu raportu z dodatkowych badań - Kurt Junge jest doskonałym fachowcem i zdecydowanie stwierdził, że ktoś wytarł krew z twarzy dziewczyny. Może wytarto jej twarz właśnie tą gazetą. Sama tego nie zrobiła. Ten kto to zrobił też zostawił na gazecie swoją krew. Zranił się podczas wieszania.

- Nie komplikujcie sprawy, komisarzu. Krew prawdopodobnie wytarł jeden z żandarmów, żeby rozpoznać ofiarę. Mógł to też zrobić ten człowiek, który ją znalazł – skwitował jego wypowiedź Daube. – Jedyne pożytki z badań i z raportu jest taki, że trzeba podszkolić się trochę w sprawie zabezpieczania śladów. Są nowe metody badań kryminalistycznych, Nowe możliwości zapewniania dowodów. Ale do laboratorium trzeba dostarczać dobrze zabezpieczone próbki. Niech pan zamyka sprawę Emmy Ackermann i przygotowuje szkolenie dla naszych policjantów. Chyba się pan czegoś nauczył w tym Berlinie.

- Nie mogę zrozumieć, czym kieruje się Daube! – gniewnie dziwił się komisarz Stratmann w rozmowie z Jensenem. – Z tego co przyszło z Berlina wprost wynika, że Emma nie popełniła samobójstwa!

Komisarz próbował jeszcze uzyskać zgodę na przeprowadzenie badań wykluczających lub potwierdzających ojcostwo młodego Wincklera, lecz zdecydowanie mu odmówiono. Przestał się więc dziwić, a w zmian nabrał przekonania, że zanim nadszedł raport z laboratorium w Berlinie radcę kryminalnego Georga Daubego odwiedził Paul Winckler, sam albo razem z synem Thomasem. Winckler musiał posłużyć się mocnymi argumentami, skoro przekonał szefa köslińskiego Kripo, że dochodzenie w sprawie śmierci Emmy powinno być zamknięte, pomimo wszelkich pojawiających się wątpliwości. Na polecenie szefa Stratmann, chcąc nie chcąc, musiał oddać wszystkie raporty dotyczące sprawy do policyjnego archiwum.

Porażka, którą poniósł długo odbierała komisarzowi humor i chęć do pracy. Czuł wściekłość, ale wiedział, że jest bezradny. Nie znał miejscowych układów, a skuteczność Wincklera wskazywała na to, że chodzi nie tylko o personalne powiązania, ale także i przede wszystkim o coraz większą zależność policyjnych karier od działaczy i gorących zwolenników rządzącej partii.

Trochę ze złości, a trochę z zemsty, przygotował trzy obszerne referaty na temat nowoczesnych technik badań kryminalistycznych. Zemsta miała polegać na zamęczaniu kolegów z köslińskiego Kripo długimi wywodami na temat nowoczesnych technik kryminalistycznych. Daube zaplanował bowiem trzy obowiązkowe dla wszystkich szkolenia, które komisarz musiał przeprowadzić.

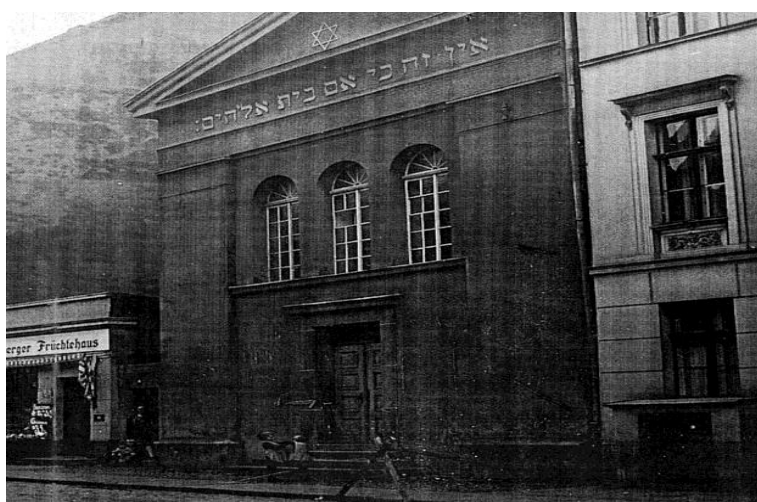
Z niejasną satysfakcją i stratą własnego czasu Stratmann przetrzymywał kolegów policjantów, w tym Daubego, na kolejnych spotkaniach. Rozwodził się szeroko nad historią serologii, twierdząc kategorycznie, że techniki zabezpieczania śladów krwi na miejscu przestępstwa i zbrodni wymagają od policjantów wiedzy o tym, jakimi metodami ślady te mogą być badane i jaka ilość potrzebna jest, aby metoda była skuteczna i wiarygodna. Zaczął od omówienia, jakimi sposobami można odróżnić krew zwierzęcą od krwi ludzkiej. Następnie szczegółowo przedstawił opracowany przez Karla Landsteinerja sposób indywidualnej identyfikacji krwi metodą aglutynacji krwinek, przeszedł do metody szkiełka nakrywkowego Leona Lattes, podkreślając, że wprawdzie pozwala ona oznaczać grupy krwi, ale ma określoną wydolność i wyniki badań mogą być podważone. Na koniec tej części wykładu szczegółowo omówił najnowszą i najbardziej niezawodną metodę ustalania grup krwi, a mianowicie metodę absorpcyjną Josepha Holzera, którą wprowadzono do kryminalistyki w 1932 roku. Uświadomił kolegom, że można określić grupę krwi na podstawie mikroskopijnych śladów i to nie tylko śladów krwi, ale wszelkich wydzielin. Zakończył

referat o serologii długim omówieniem prawidłowego zabezpieczania śladów na miejscu zdarzenia i odpowiedniego przechowywania zebranych materiałów.

Ostatnie szkolenie przeznaczył na zapoznanie kolegów ze sposobami wykorzystywania śladów pozostawionych przez różnego rodzaju zabrudzenia - takie jak kurz, ziemia, włosy, włókna czy fragmenty roślinności - i wielkim znaczeniu badań chemicznych i biologicznych w kryminalistyce.

Podczas szkoleń z satysfakcją patrzył na zaniepokojone ale też zaskoczone twarze kolegów, które świadczyły o tym, że najnowsza wiedza kryminalistyczna w ogóle nie była im znana. Miał także nadzieję, że radca kryminalny Daube, po tym co usłyszał, żałuje swej pochopnej decyzji o poniechaniu dochodzenia w sprawie śmierci Emmy Ackermann.

5. Tylko wojna



Zmiany wprowadzane przez rząd pod wodzą Adolfa Hitlera w ramach tak zwanej Wielkiej Polityki następowały szybko i były tak rewolucyjne, że wszelkie sprawy pomniejsze musiały przed nimi ustąpić. Każdy przyzwoity obywatel III Rzeszy powinien był rozumieć, że odzyskanie przez państwo niemieckie należnej mu pozycji w świecie, a przynajmniej w Europie, rząd jest zobowiązany stawiać na pierwszym miejscu.

Koniecznością stało się wystąpienie Niemiec z Ligi Narodów i złamanie haniebnego dla Niemiec Traktatu Wersalskiego, który odebrał narodowi niemieckiemu przestrzeń do życia i

rozwoju. Należną Niemcom przestrzeń do godnego życia należało wywalczyć nie negocjacjami, które prowadzono tylko dla zmylenia przeciwników, ale siłą.

Sprawne przygotowanie się do błyskawicznej wojny stało się priorytetem, a likwidacja wewnętrznych wrogów, czyli tych, którzy stanowili przeszkodę dla pomyślnego rozwoju kraju, była tylko logiczną tego konsekwencją.

Również w Kripo nastąpiła reforma, która zmieniała hierarchię ważności spraw jej przynależnych. Kiedy w 1936 roku Heinrich Himmler, nazywany prawą ręką Fűrera, został szefem policji, zniósł zależność policji kryminalnej od administracji poszczególnych landów i przyłączył ją do pruskiego Kripo, aby ostatecznie scentralizować zarządzanie służbami bezpieczeństwa Rzeszy. Najpierw powstało Biuro Policji Kryminalnej Rzeszy, a następnie Policja Kryminalna Rzeszy wraz z Tajną Policją Państwową, nazywaną w skrócie Gestapo, które stały się częścią Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. W ten sposób Kripo zostało podporządkowane podstawowym celom państwa.

Komisarz Kripo w Köslinie Hans Stratmann znalazł się w trudnym położeniu. Jego wiedza kryminalistyczna oraz doświadczenie w robocie dochodzeniowej nie stanowiły już większej wartości dla przełożonych. Teraz liczyło się przede wszystkim zaangażowanie w realizację celów wyznaczonych przez Berlin. Stratmann coraz mocniej odczuwał osaczające go ze wszystkich stron zagrożenie. Jego psychiczna forma pogorszyła się znacznie na początku 1936 roku.

4 lutego 1936 roku w Davos David Frankfurter, żydowski student medycyny i, co szczególnie nagłościono, syn rabina, zastrzelił Wilhelma Gustloffa, zasłużonego dla partii szefa zagranicznego oddziału NSDAP w Szwajcarii. Zwłoki męczennika ruchu nazistowskiego z wielkimi honorami przewieziono żałobnym pociągiem do Niemiec, a tysiące ludzi stały wzdłuż trasy przejazdu, w tym wielka liczba młodzieży z Hitlerjugend, i oddawały cześć zmarłemu. Na państwowy pogrzeb w Schwerinie, rodzinnym miasteczku Gustloffa, przybył sam Adolf Hitler otoczony najważniejszymi współpracownikami. Zaplanowało powszechne oburzenie i władze uznały za konieczne wydanie specjalnej ustawy, a mianowicie „Ustawy o ochronie niemieckiej krwi i niemieckiego honoru”.

Szef NSDAP z Kolbergu wydał okólnik skierowany nie tylko do członków partii, ale także do wszystkich mieszkańców okolicznych wsi:

„W związku z odrażającym zabójstwem szwajcarskiego członka partii NSDAP, kierownika grupy regionalnej Wilhelma Gustloffa, chciałbym zwrócić uwagę na niebezpieczeństwo ze strony Żydów. Twoim zadaniem jest wpływanie na naszych członków, aby unikali Żydów i żydowskich biznesów. Naród niemiecki okazuje pogardę zbrodniczemu czynowi, a my jako wieśniacy musimy przede wszystkim przyczynić się do odebrania Żydom podstaw ich egzystencji w Niemczech”.

Stratmann, który nie czuł się Żydem, lecz Niemcem, i któremu los Narodu Wybranego był dotąd obojętny, zatrwożył się tak, jakby antysemityzm nazistów uderzał osobiście w niego. Paradoksalnie, zamiast uciekać od wszystkiego, co miało związek z Żydami, zaczął interesować się losem Gminy Żydowskiej działającej w Kolbergu.

Wcześniej już wiedział, że Niemcy pochodzenia żydowskiego przyczynili się do rozwoju balneologii w mieście. Znany był powszechnie Zakład Kąpieli Solankowych doktora Behrenda, a inną ważną postacią w historii miasta był dr Hermann Hirschfeld, lekarz, który pod koniec XIX wieku opracował skład borowiny stosowanej teraz na całym świecie do leczenia wielu schorzeń. Hirschfeld był także lekarzem w Żydowskim Szpitalu Uzdrowiskowym i jego podporą. W szpitalu leczono kąpielami solankowymi i morskimi biednych Żydów z terenu Niemiec. Wdzięczni obywatele Kolbergu uhonorowali zasługi Hermana Hirschfelda, stawiając mu pomnik.

Stratmann, jakby wiedziony przeczuciem, że już niedługo zniknie mały świat Gminy Żydowskiej w Kolbergu, podczas kolejnych odwiedzin u matki w sanatorium, która tym razem przebywała w tym nadmorskim uzdrowisku, po raz pierwszy w życiu postanowił udać się na Baustrasse, na ulicę położoną w południowej części miasta, do której nigdy przedtem nie dotarł. W południowej części miasta mieszkali liczni Niemcy pochodzenia żydowskiego. Znajdowały się tu żydowskie sklepy i cmentarz, a przy Baustrasse, w pierzei ulicy, zbudowano przed stu laty synagogę.

Po długim marszu Stratmann stanął przed klasycystycznym budynkiem żydowskiej świątyni. Zanim wstąpił na schody prowadzące do jej głównego wejścia, spojrzał w górę. Frontową ścianę budynku zwieńczał tympanon, a na tympanonie widniała gwiazda Dawida. Pod tympanonem umieszczono napis w języku hebrajskim, którego nie potrafił przeczytać. Wspiął się po schodach, otworzył drzwi i wszedł do środka. Otworzyło się przed nim duże przestronne wnętrze świątyni. Naprzeciw, po drugiej stronie od wejścia, zobaczył drewniany podest otoczony balustradą, a za nim ozdobny jakby ołtarz.

- Miejsce przechowywania Tory – pomyślał i nagle poczuł, że ten obcy mu dotąd żydowski świat jest jedynym światem, w którym zostałby przyjęty bezwarunkowo.

Zaniepokoił się i szybko opuścił synagogę. Szedł w stronę dworca kolejowego, omijając wzrokiem puste witryny opuszczonych żydowskich sklepów.

Liczne sklepy żydowskie bankrutowały od kiedy w "Kolberger Beobachter" wydrukowano ich listę oraz sugestię, że prawdziwy Niemiec nie robi w nich zakupów.

Prawdziwy przełom w życiu komisarza Stratmanna nastąpił niedługo po odwiedzeniu synagogi. W nocy z 9 na 10 listopada 1938 roku w całej Rzeszy zaatakowano Żydów. Pretekstem do brutalnych ataków było zabójstwo sekretarza ambasady niemieckiej w Paryżu. Zabójcą znów okazał się młody Żyd. Nazywał się Herszel Grynszpan.

W Kolbergu w tę noc zdemolowano wszystkie czynne jeszcze sklepy żydowskie i zdewastowano synagogę. Z jej tympanonu zbito siekierami gwiazdę Dawida, zniszczono napis nad wejściem, wybito szyby w oknach, potłuczono dachówki, a całe wyposażenie wyrzucono na ulicę i zniszczono. Zdewastowano także i zamknięto cmentarze żydowskie, stary i nowy. Cudem ocalał Żydowski Szpital Uzdrowski, który wkrótce zamieniono na magazyn, a następnie na lazaret.

Stratmann od pewnego czasu zastanawiał się, co powinien zrobić. Praca w Kripo, jedyna na której się znał i jedyna która mu odpowiadała, wymagała teraz zaangażowania politycznego, a on nie potrafił się już na nie zdobyć. Przyczajenie się i zobojętnienie na nasilające się wypadki wrogości wobec osób nie wykazujących cech rasy aryjskiej uznał za bardzo trudne i uwłaczające, ale jedyne rozwiązanie. Poza nim pozostawała tylko emigracja.

Jedynym jego powiernikiem już od dawna była matka. Pod koniec listopada 1938 roku, zdając sobie sprawę z tego, że jego sposób bycia w pracy zaczyna się niebezpiecznie odróżniać od zachowania kolegów i może stać się powodem zainteresowania przełożonych, postanowił opowiedzieć jej o wszystkim - o problemach w pracy, dyskomforcie z powodu żydowskich korzeni i poczuciu totalnego wyobcowania. Kiedy skończył, spojrzał na skuloną w fotelu drobną postać matki, rodowitej Niemki Johanny Stratmann - postać zniekształconą postępującym artretyzmem - i powiedział:

- Mamo! Wyjedźmy. Najlepiej do Stanów Zjednoczonych. Jeszcze jest szansa, że nas tam przyjmą. Niedługo może jej już nie być. Niemcy wypowiedzą wojnę całemu światu.

Zanim skończył ostatnie zdanie wiedział, że proponuje coś, na co ta stara, wyniszczona bolesną chorobą kobieta nie jest w stanie się zgodzić. Wiedział także, że bez niej nie wyjedzie. Nie może porzucić i skazać na samotność jedynej osoby, która go potrzebowała, bezinteresownie kochała i której mógł powierzyć wszystkie swoje życiowe tajemnice.

- Głupstwa gadam – zaprzeczył natychmiast sam sobie, podszedł do matki, ucałował jej miękkie, chłodne lekko zapadnięte policzki i dodał:

- Wszystko będzie dobrze. Mam mały kryzys. To przejdzie. Niech się mama nie przejmuję.

Po tej niefortunnej spowiedzi obiecał sobie, że weźmie się w garść i poprawi swoją opinię w pracy, angażując się bez sprzeciwu we wszelkie zlecane mu zadania. Liczył na to, że wiek i choroba matki pozwolą mu uniknąć służby poza Köslinem. Niemcy już zdobyły nowe terytoria w Austrii i w Czechach, a inwazja na wschód Europy zaplanowana była na 1 września zbliżającego się 1939 roku.

- Dobrze, że Fritz nadal ze mną pracuje. On też zachowuje się powściągliwie. Woli milczeć i robić swoje. Jemu raczej mogę zaufać – pomyślał, odczuwając niewielką ulgę.

Komisarz Hans Stratmann miał powody do niepokoju. Zanim zaczęła się prawdziwa wojna – Polska jako pierwszy kraj zbrojnie sprzeciwiła się zajęciu jej ziem przez III Rzeszę – oraz wkrótce po jej wybuchu, w okolicach na zachód i wschód od Sorenbohm zdarzyły się trzy przypadki samobójstw przez powieszenie. Wszystkie były do siebie podobne. Najpierw w połowie 1937 roku w pobliżu Funkenhagen znaleziono wiszącego na samotnym dębie rosnącym około 300 metrów od latarni morskiej, siedemnastoletniego Petera Bluma z Sorenbohm, pracującego latem na łodzi rybackiej, którą wypływali na połowy amatorzy wędkowania.

W styczniu 1938 roku w nadmorskim lesie, na wysokości Kleinmöllen, powiesiła się dziesiętnastoletnia Luci Krüger, wieśniaczka z tejże miejscowości, a w styczniu 1939 roku w ten sam sposób odebrał sobie życie pięćdziesięcioletni rolnik i hodowca drobiu z Bauerhufen, Frydрых Lenz.

Lenz pojechał wozem konnym do Nest, aby dostarczyć warzywa do kantyny oficerskiej w bazie lotniczej i już stamtąd nie wrócił. Dotarł do kantyny, załatwił sprawę, opuścił bazę i zniknął.

Tego samego dnia przed zmrokiem pewien emeryt mieszkający na zachodnim skraju Grossmöllen tuż przy lesie, zaniepokojony długo stojącym przed jego domem i zaprzężonym w niespokojnego, zmarzniętego konia wozem, wyszedł z domu, nakrył konia derką wziętą z wozu i poszedł szukać woźnicy.

Śnieg wokół wozu i na ulicy był pokryty licznymi śladami butów, więc emeryt, licząc na łut szczęścia, poszedł najpierw nad morze, ale nikogo na plaży nie zobaczył. Wrócił więc na ulicę i wszedł do parku z muszlą koncertową i pomnikiem jelenia, pokręcił się tu i tam, a nikogo nie spotkawszy, skierował się do lasu. Nie przeszedł nawet stu metrów leśną drogą, gdy zobaczył starszego mężczyznę wiszącego na gałęzi rozłożystego buka. Mężczyzną tym był, jak się później okazało, Frydрых Lenz.

Wszystkimi trzema przypadkami zajmowali się, jakby z klucza, Stratmann i Jensen. Aby nie narażać się przełożonym przyjmowali za każdym razem najprostsze rozwiązanie, czyli szybko zamykali śledztwo w sprawie samobójstwa. Wszelkie komplikacje w tak oczywistych przypadkach, których ofiarami byli prości mieszkańcy okolicznych wsi, byłyby bardzo niemile widziane przez miejscowe władze Kripo i Gestapo.

- Nasi żołnierze poświęcają się – wykrzykiwał po każdym zdarzeniu Daube, który nadal dowodził Kripo w Köslinie – a słabe zdegenerowane jednostki zamiast służyć Ojczyźnie i Führerowi odbierają sobie swoje gównie warte życie! Żadnych sekcji, żadnego dochodzenia i żadnych badań! Sporządzić krótki raport i zakończyć sprawę. Przyzwoity niemiecki patriota nie mazgai się, nie targa się z byle powodu na swoje życie. Jego powinnością jest być silnym i oddać życie za Naród!

Stratmann umieszczał więc w raportach konkluzje o samobójstwach, dodając powody ich popełnienia. Fakty były takie, że powody te rzeczywiście można było znaleźć.

Osiemnastoletni Peter Blum był młodzieńcem o delikatnej psychice. Zapisał się dość późno, bo dopiero dwa lata przed śmiercią, do Hitlerjugend w Kolbergu i trafił do oddziału najstarszych chłopców. Wiadomym było, że dowódcy młodzieżówek zwyczajowo twardo traktowali słabeuszy, próbując zrobić z nich prawdziwych mężczyzn. W swoim oddziale, wśród lepiej wyszkolonych kolegów, Peter pełnił rolę kozła ofiarnego. Powód, dla którego chłopak popełnił samobójstwo wydawał się zatem prosty - zmusiła go do tego słabość charakteru, którego nie chciał wzmocnić, korzystając z dobrodziejstwa przynależności do organizacji. Dodatkowo w najbliższym czasie czekało go powołanie do Wehrmachtu, a był

przecież tchórzem. Stratmann nie wpisał tchórzostwa do raportu, ale wniosek nasuwał się sam.

Dziewiętnastoletnia Luci Krüger także nie miała silnego charakteru. Małomówna zahukana dziewczyna z Kleinmöllen, skończyła zaledwie trzy klasy szkoły podstawowej w Bauerhufem i ciężko pracowała w gospodarstwie rodziców. Była najstarsza z licznego rodzeństwa i w zasadzie zastępowała im matkę, która coraz częściej wpadała w kryzysy nerwowe. Luci nie miała czasu na zabawy w gronie rówieśników, na odpoczynek czy działalność w kobiecej organizacji. Dziewczyna najprawdopodobniej nie wytrzymała naporu obowiązków, bo po matce odziedziczyła skłonność do załamań nerwowych.

Trudniej było znaleźć wiarygodny powód samobójstwa Frydrycha Lenza z Bauerhufen. Starszy mężczyzna, dobry gospodarz, miał zaradną żonę i trójkę udanych córek, które wydał za odpowiedzialnych i dość bogatych mężczyzn, nie patrząc na ich wiek i stan cywilny, kawaler, wdowiec czy rozwodnik. Wkrótce gromadka wnucząt dopełniła obrazu rodzinnego szczęścia. Wprawdzie jesienią 1939 roku na froncie pod Warszawą zginął jednej z jego zięciów, ale wątpliwe było, aby Lenz wpadł w rozpacz z tego powodu. Córka była dobrze zabezpieczona, młoda i zdrowa.

Jedynym punktem zaczepienia był zatem pogarszający się stan fizyczny starszego mężczyzny, który dotąd zdrowy, sprawny i dziarski, nie mógł prawdopodobnie pogodzić się ze związanymi z wiekiem ograniczeniami. Żona ofiary potwierdzała, że coraz częściej zapadał na zdrowiu, narzekał na wymuszoną bezczynność i próbował lekceważyć wszelkie fizyczne niedomagania.

Stratmann miał jednak oczywiście ogromne wątpliwości co do prawdziwości treści, które umieszczali, on i jego asystent, w kolejnych raportach. Samą częstotliwość samobójstw popełnianych w ten sam sposób w tak ograniczonej przestrzeni należałoby, zgodnie z policyjną sztuką, uznać za coś podejrzanego albo przynajmniej nietypowego, a to z kolei powinno skłaniać śledczych do uważniejszego przyjrzenia się sprawie.

Komisarz z głębokim poczuciem klęski rezygnował z jakichkolwiek działań, które z pewnością podjąłby w normalnych warunkach. Z trudem także przychodziło mu pomijanie w raportach informacji, która, choć z pozoru błaha, według niego stanowiłaby ważny punkt zaczepienia ewentualnego śledztwa. W raportach jednak nie było słowa o tym, że w każdym z trzech przypadków, podobnie jak w przypadkach wcześniejszych, podłoże pod stopami ofiar zostało wyrównane, a na nim narysowano okrąg z wpisanym krzyżem. Podłoże i znak zwykle

częściowo zdeptywali ci, którzy odnajdywali ciała, zdeptywano je także podczas oględzin. Zawsze jednak zostawały jakieś fragmenty rysunku, które dostrzegali Stratmann i Jensen. Spoglądali na siebie znacząco, gdy zauważali tę dziwną zbieżność, ale milczeli.

- Wiesz – zwierzał się komisarz Hans Stratmann matce, która, uwięziona przez chorobę w domu, chętnie wysłuchiwała nowinek z pracy syna i nawet wyrobiła sobie zmysł detektywistyczny – myślę, że wszystkie te domniemane samobójstwa to morderstwa dokonywane przez jakiegoś szaleńca.

- Czasy są trudne. Trwa wojna. Ludzie nie wytrzymują. Sami chcą odejść z tego podłego świata – podpuszczała go matka, chcąc wydobyć z niego jak najwięcej informacji.

- Masz rację – odpowiadał. – Ale nie w tych przypadkach. Badałem sprawy żołnierzy, którzy się zastrzelili. Zajmowałem się trupami Żydów, którzy odebrali sobie życie, bo nie mogli znieść bankructwa lub poniżenia. Każda z tych śmierci była inna. Niektórzy zostawiali listy pożegnalne, po innych widać było wcześniej, że są w złej kondycji psychicznej. Oczywiście najbliżsi zdawali sobie z tego sprawę jak zwykle po niewczasie. Żołnierze strzelali sobie w łeb, inni truli się, a jeszcze inni wieszali. Ale w tych kilku przypadkach zadziało się coś nietypowego, a jednocześnie dziwnie podobnego. Nie wiem, dokładnie co, ale chętnie bym się dowiedział.

- Może jest tak – podpowiadała starsza kobieta – że ci wieśniacy, jeden po drugim, wzięli z siebie przykład. Zły, ale jednak przykład. Wszystko dzieje się po sąsiedzku. Ludzie dobrze się znają. Dużo rozmawiają o tragicznych zdarzeniach. Inni tego słuchają i potem, gdy im ciężko, robią to samo. Wiesz, taki syndrom serii tragicznych decyzji i działań.

- Może masz rację – zgodził się niechętnie Stratmann.

Podziwiał niegasnącą z wiekiem bystrość umysłu matki i jej wiedzę. Nie chciał zbyt ostro sprzeciwiać się jej przekonaniom, więc zamilkł i zmienił temat rozmowy. Wkrótce jednak ona sama wróciła do przerwane go tematu.

- A co ciebie szczególnie skłania do twierdzenia, że nie były to samobójstwa? – zapytała przy wieczornej herbacie z konfiturą samodzielnie zrobioną w czasie remisji choroby.

- Pewne podobieństwa a nawet identyczności, które raczej nie mogą być przypadkowe – odpowiedział i zawiesił głos, bo ogarnęły go wątpliwości, czy powinien przed snem opowiadać matce makabryczne historie.

- No mów, mów – zażądała. – Jestem bardzo ciekawa.

- Po pierwsze wszyscy powiesili się na takich samych sznurach – komisarz powstrzymał matkę ruchem dłoni, przewidując, co chce powiedzieć.

– Wiem, wiem. Taki szur kupują wszyscy rolnicy w tej okolicy, bo nie ma innego wyboru. Ale tego, że pętla pięciokrotnie została zawiązana w ten sam sposób nie da się łatwo wyjaśnić. Pierwszą śmierć od piątej dzieli aż pięć lat.

- Przecież ludzie na wsi znają się na wiązaniu różnych pętli – zaproponowała kobieta. – Krępują zwierzęta, łapią je, wiążą snopki, no i nie wiem co tam jeszcze.

- Mamo! Oni wszyscy zastosowali węzeł szubieniczy! – zaprotestował gwałtownie komisarz.

– Co prawda przy innych węzłach też robi się beczkę i pętle, ale w innych układach. Węzeł szubieniczy jest specyficzny i specyficzne jest jego prawidłowe wykonanie. Tylko on zaciska się błyskawicznie i oszczędza cierpień.

Zastanowił się chwilę i dodał:

- No może niektórzy stosują taki węzeł jako pętlę przy stawianiu jakiejś prowizorycznej budowli, jakiegoś ogrodzenia, bo łatwo zaciska się na przykład na kołku, ale ja się z tym nigdy jeszcze nie spotkałem. Najważniejsze jest jednak to, że jak dotąd rzadko który znany mi wisielec miał coś takiego na szyi. A wielu wisielców niestety widziałem. W tym ojca – powiedział zduszonym głosem.

Zamilkł, a matka zamyśliła się.

- Jednak nie da się całkowicie wykluczyć, że akurat osoby z nadmorskich wsi znały ten sposób wiązania pętli, tym bardziej, że z pewnością ludzie za każdym razem, gdy zdarzyło się jedno z tych powieszeń, pokazywali sobie sznur – powiedziała spokojnie, jakby nie słyszała słów syna o swoim mężu.

- Całkowicie wykluczyć się nie da, ale musisz wiedzieć, że pierwszy sznur, ten na którym wisiał Otto Mauer jesienią 1934 roku, spalono zaraz po jego śmierci. Cztery następne kazałem zabezpieczyć jako dowody, więc nawet rodziny ofiar, nie mówiąc już o innych mieszkańcach nadmorskich wsi, ich nie oglądały z bliska. Najważniejsze jednak jest to, że na sznurze

drugiej ofiary, Emmy Ackermann, który wysłałem do Wiktora Müllera-Hessa do berlińskiego laboratorium, odkryto ślady krwi nie pochodzące od niej. Ślady obcej krwi grupy B znajdowały się także na ubraniu dziewczyny i na porzuconym w lesie kawałku gazety. Wytarto nim krew z jej twarzy.

- Zbadano grupę krwi osoby, która znalazła dziewczynę? – zapytała Johanna Stratmann.
- Oczywiście, że nie. Dlatego przyjęto, że krew pochodziła od pomocnika młynarza albo od żandarmów. Pomocnik młynarza ją znalazł, ale stanowczo utrzymywał, że niczego nie dotykał, a nawet nie podszedł bliżej, tylko natychmiast pobiegł w stronę Sorenbohm.
- No ale po nim przyszli żandarmi – skwitowała rozmowę matka. – Wszystko raczej się zgadza, a twoje wątpliwości biorą się z przewrażliwienia. Pozbądź się ich i zapomnij o całej sprawie. Niepotrzebnie się męczysz.

Stratmann wiedział, że matka ma na względzie przede wszystkim jego psychiczny komfort, że martwi się o niego. Informowanie jej, że pod wszystkimi wisielcami wyrównano podłoże i narysowano ten sam znak, który zidentyfikował niedawno jako solarny krąg - znak powracający w wielu germańskich mitach – uznał za zbędne.

6. Koniec młodości



Przyjaźń Mara Fischera z Emilem Baumanem przetrwała próbę, jaką było ostre przesłuchanie ich obu przez policjantów z Kripo po śmierci Emmy Ackermann. Przetrwała

być może dlatego, że Emil na wszelki wypadek nie powiedział Marowi o tym, że opowiedział policjantom o fascynacji Mara mitami, wisielcami i tajemniczymi znakami. Czuł się usprawiedliwiony, bo po pierwsze więcej już ich nie przesłuchiowano, a po drugie nie zdradził najważniejszej tajemnicy Mara, a mianowicie tego, że posiada on sznur Otta Mauera.

Fascynacja Mara wisielczym tematem trwała do lata 1935 roku. Jeszcze przed końcem roku szkolnego namówił Emila na niedzielną wizytę w Funkenhagen. Skusił go perspektywą wejścia do latarni morskiej. Sam także był wejściem zainteresowany, ale chciał przede wszystkim zobaczyć tajemniczą talię kart, Wielkie Arkana, a szczególnie Arkan 12, czyli Wisielca.

Wyruszyli po niedzielnym nabożeństwie nie mając pewności, czy zastaną w latarni Theodora Bergera. Ponieważ jednak Berger nie pojawił się w sobotę w Bauerhufen, liczyli na to, że nadal pełni dyżur w latarni, albo odpoczywa.

Szli najpierw promenadą, potem ścieżką prowadzącą wzdłuż plaży, a ponieważ droga im się dłużyła, a niedzielne buty zaczęły uciskać, zdjęli je i resztę trasy przeszli boso brnąc po piachu lub brodząc w zimnej jeszcze na początku czerwca morskiej wodzie.

Szczęście im naprawdę dopisało, bo nie tylko udało im się wywołać Theo Bergera z latarni, ale ten zaprosił ich najpierw do swojego pokoju w pobliskim budynku mieszkalnym, poczęstował dobrze posłodzoną herbatą oraz chlebem grubo posmarowanym masłem.

Po nabożeństwie i po długim marszu byli szaleńczo głodni, a przecież mieli jeszcze przed sobą wspinanie się po schodach na najwyższy poziom latarni i dwugodzinny marsz powrotny do Bauerhufen. Nie pomyśleli o zabraniu ze sobą prowiantu.

Theodor pokazał im karty tarota i skupili się głównie na oglądaniu kolorowych, trochę niepokojących, obrazków i tylko jednym uchem słuchali wyjaśnień ich właściciela, który zresztą tym razem skąpo dzielił się wiedzą. Mar odrysował na podanej mu przez gospodarza przeźroczystej kartce papieru Wisielca, ale narysowany ołówkiem bezbarwny rysunek nie robił na nim większego wrażenia.

Ciekawsza od oglądania kart tarota okazała się wizyta w latarni. Zanim weszli do środka Theodor kazał im przyjrzeć się dobrze budowli z zewnątrz. Stali z zadartymi głowami i słuchali:

- Budowę latarni zaczęto w 1876 roku – powiedział młody latarnik i zapytał. – A wiecie jak dostarczano materiały do budowy?

Oczywiście nie wiedzieli, więc z satysfakcją mówił dalej:

- Zbudowano specjalny pomost wychodzący prostopadle w morze, aby mogły podpływać do niego łodzie załadowane kamieniami, ceglami i drewnem. W pierwszym etapie budowy latarni powstał kamienny fundament, który sięga 5 metrów pod ziemię i ponad 11 metrów nad ziemię. Ma kształt ośmiokąta. Każdy bok ośmiokąta ma 4 metry długości i 2 metry grubości.

Chłopcy opuścili głowy i patrzyli z podziwem na masywny fundament, ale już po chwili znów je podnieśli, aby przyjrzeć się wieży, o której właśnie zaczął opowiadać Theo.

- Ceglana wieża jest okrągła i wysoka na 40 metrów. Wygląda solidnie, ale popatrzcie na wieżę od strony zachodniej – stwierdził i przeprowadził ich na drugą stronę. – Widzicie tę jaśniejszą cegłę?

Pokiwali głowami.

- Zaledwie dwa lata temu pojawiły się na tej ścianie pęknięcia. Założono plomby zabezpieczające i położono nową cegłę.

- Wieża mogła się zawalić?- zapytali zaniepokojeni młodzieńcy.

- Zawalić to raczej nie. To solidna konstrukcja. Ale lepiej jest zapobiegać niż dopuścić do nieszczęścia – uspokoił ich przewodnik i kontynuował:

– Na szczycie wieży jest umieszczona laterna wykonana ze stali i szkła. W niej znajduje się urządzenie przesłonowe i elektryczna ogromna żarówka emitująca światło.

- Idziemy do środka! – wesoło zawołał do gapiących się w górę chłopców. – Będziecie musieli pokonać 226 stopni, żeby dotrzeć na wysokość ponad 50 metrów.

Wspinanie się po granitowych spiralnych schodach sprawiło Marowi i Emilowi wielką przyjemność. Pomimo lekkiej zadyszki byli z siebie bardzo zadowoleni. Z ciekawością obejrzelni poruszające się jak karuzela urządzenie przesłonowe, ale informacje o szczegółach technicznych puścili mimo uszu. Odpoczywając, patrzyli na rozpościerający się w dole bezkres morza. Mar myślał, jak wspaniale byłoby zobaczyć ten sam widok z samolotu, bo jego wyobraźnię zawładnęły teraz marzenia o podniebnych lotach.

Nowa fascynacja Mara Fischera miała związek z niedawnym rozpoczęciem budowy, o której dużo się mówiło, bo najpierw zaczęto wysiedlanie ludzi z małej nadmorskiej wsi położonej tuż pod Kolbergiem.

Wieś nazywała Bodenhagen¹⁵. Była dobrze skomunikowana z dwoma znanymi uzdrowiskami, z Kolbergiem i z Ostseebad Henkenhagen¹⁶, utwardzoną drogą oraz, co ważniejsze, koleją. Zatrzymujące się w Bodenhagen pociągi łączące Köslin z Kolbergiem kursowały kilka razy dziennie. We wsi szybko zamontowano oświetlenie elektryczne, więc mieszkańcy korzystali z dobrodziejstw cywilizacji i z sąsiedztwa popularnych kurortów. Przystawiali się z rolnictwa czy rybołówstwa na obsługiwanie coraz liczniejszych kuracjuszy. Zjawili się we wsi inwestorzy. Zbudowali hotele i pensjonaty. Dobrze prosperowała karczma prowadzona przez Leonharda Bonowa, a jeszcze lepiej restauracja kolejowa Waltera Gadkego. Wieś znana też była z niesamowitego znaleziska. W 1899 roku na wydmach chroniących Bodenhagen przez sztormami pewien rybak znalazł trumnę z dobrze zachowanym szkieletem kobiety. Podobno kobieta została pogrzebana jeszcze w czasach rzymskich na początku I wieku po Chrystusie.

Jednakże od wiosny 1935 roku inne rewelacyjne doniesienia zajmowały umysły mieszkańców nadmorskich miejscowości. Szerzyły się niepokojące wieści o likwidacji domów, hoteli i pensjonatów w Bodenhagen. Plotkowano, że z całej wsi zostały się tylko¹⁷ budynki stacji kolejowej. Rzeczywiście, rolnicy z Bodenhagen otrzymywali zastępcze grunty w okolicy, a właściciele nieruchomości odszkodowania.

Według oficjalnej wersji na wysoczyźnie ograniczonej od północy wydmami, a od południa słonymi rozlewiskami, miała powstać fabryka proszku do prania „Persil”. Teren objęto jednak ścisłą ochroną, więc chodziły pogłoski, że powstaje tam nowoczesny kompleks wojskowy, a na zachód od niego, tuż pod Kolbergiem, w miejscu zwanym Kolberg Stadwald, zupełnie nowe miasteczko. Do Bodenhagen zjechali inżynierowie i potężne ekipy budowlane i już w 1936 roku pod lasem miejskim pojawiły się pierwsze kilkukondygnacyjne ceglane budynki. Na początku kwietnia 1938 roku było już powszechnie wiadomo, że zbudowano nie fabrykę proszku do prania, lecz nowoczesny kompleks wojskowy, a mianowicie lotnisko oraz osiedle garnizonowe.

¹⁵ Bagicz

¹⁶ Ustronie Morskie

¹⁷ Podczele

Ojciec Mara, podobnie jak inni mężczyźni z okolicznych wsi, zatrudniony został tam przy pracach porządkowych i przynosił do domu sensacyjne informacje.

- Pracowaliśmy dziś w budynku, w którym będzie kasyno oficerskie – opowiadał jednego dnia. - Budynek ma kształt samolotu. Naprawdę! Ma dwa boczne budynki, tworzące jakby skrzydła, centralny budynek, czyli kadłub, a przeszklona weranda jest kabiną pilota. Weranda to część najbardziej eleganckiego pomieszczenia. Żebyście widzieli, jakie tam są piękne drzwi, parkiet i boazeria.! A jaki piękny kominek z żeliwną płytą, a na niej coś jakby smok.

- Może to gryf? -podpowiedział ojcu Mar.

Innego dnia stary Fischer opowiadał:

- Sprzątaliśmy wszystko poza jakimiś podziemnymi przejściami, labiryntami. Nie wiadomo dokąd prowadzą. Możliwe, że do innych budynków, a może i na lotnisko. My tam wstępu nie mamy. W ogóle ludzie gadają o różnych cudach. Najczęściej o tym, że pod ziemią jest drugie ogromne lotnisko i specjalne wyrzutnie, jakieś ka coś tam, co to będą wyrzucać samoloty, żeby skrócić pas startu.

- Może katapulty, tato – znów wtrącił się Mar, który pilnie słuchał wszystkich doniesień na temat budowy.

Mar Fischer skończył siedemnaście lat i spodziewał się powołania do wojska. Marzył, by zostać lotnikiem, asem przestworzy.

26 kwietnia 1938 roku, na rynku w Kolbergu odbyła się wielka uroczystość przejęcia lotniska przez 1 pułk bombowy Hindenburg. Mar i Emil uprosili rodziców, by mogli tam pojechać i przyjrzeć się ceremonii. Z samej ceremonii niewiele mogli zobaczyć, ale sam przemarsz wojskowych kolumn, przejazd wojskowych odkrytych samochodów z oficerami i generałami w odświętnych mundurach, zrobił na nich ogromne wrażenie.

krótce wojsko upomniało się i o nich. W 1939 roku ogłoszono mobilizację i Emil Bauman został powołany do wojsk lądowych Wehrmachtu. Przed odjazdem Mar dał mu niewielki kawałek wisielczego sznura, który miał Emila chronić. Emil jednak zginął śmiercią bohaterską gdzieś w Polsce już we wrześniu i Mar, zrozpaczony i zły, dokończył dzieła spalenia wisielczego sznura, który nie spełnił swego zadania.

Rodzicom Mara udało się wybronić syna od wojska. Wyczerpali się finansowo, ale ochronili jedynaka przed udziałem w kampanii wrześniowej. Potem, znów poświęcając dorobek życia, załatwili synowi papiery zaświadczające o jego psychicznym nie zrównoważeniu, co w ogóle eliminowało go z normalnej służby wojskowej.

Mar zbyt mocno kochał oboje rodziców, aby im się skutecznie przeciwstawić. Miotają nim sprzeczne uczucia. Z jednej strony wstydził się bumelantstwa, a z drugiej był zadowolony, że może uniknąć losu swego starszego brata, swego przyjaciela Emila i wielu kolegów, którzy stracili życie na wojnie.

Jego sytuacja zmieniła się na lepsze w połowie 1942 roku. Wcześniej, w czerwcu 1941 roku, Niemcy, według oficjalnej wersji zapobiegając inwazji sowiektów na kraje Zachodu, uderzyły na ZSRR. Zaraz potem przy Wehrmachcie na froncie wschodnim zaczęły powstawać grupy Hilfswillige złożone głównie z rosyjskich jeńców wojennych i sowieckich cywilów. Grupy zastępowały niemieckich żołnierzy w czynnościach pomocniczych – budownictwo, powożenie, rzemiosło, transport, praca w lazaretach i tym podobne. Nazywano ich hiwisami, a ich status w wojsku był niski. Jednak w połowie 1942 hiwisi formalnie należeli już do armii niemieckiej i nosili broń. Zaczęły więc powstawać bataliony złożone z niemieckich ochotników. I właśnie do takiego batalionu pomocniczego przy Luftwaffe zgłosił się w 1942 roku Mar Fischer.

Jego oddział, w którym służyli niemieccy obywatele niezdolni do służby wojskowej ze względu na wiek i stan zdrowia, został skierowany do prac pomocniczych na lotnisku pod Kolbergiem. Bycie hiwisem nie było spełnieniem marzeń Mara, ale służba na lotnisku w Bodenhagen cieszyła go. Od kiedy bowiem obejrzał film „Kampfgeschwader Lützow”, każda forma uczestniczenia w bohaterskich wyczynach niemieckich pilotów przybliżała go do ich spełnienia.

Mar Fischer ucieszył się jeszcze bardziej, gdy po przybyciu na miejsce służby zobaczył Edmunda Jakuscha, tego samego, który uczył go germańskiej mitologii. Mundeł stracił na froncie kciuk i palec wskazujący prawej ręki. Został zwolniony z piechoty i skierowany do służb pomocniczych. Trafił do Bodenhagen.

- Zobaczysz – powiedział Marowi doświadczony kolega, gdy tylko rozpoznali się i zbliżyli do siebie – nauczysz się więcej niż w regularnej służbie. Stacjonuje tu sztab pułku, a więc także eskadra sztabowa i 1 dywizjon KG Hindenburg. Często się przebazowują. Zresztą ruch na lotnisku jest niesamowity, bo chłopcy operują z różnych lotnisk, a i u nas lądują inne eskadry.

Przylatują myśliwce, eskadra rozpoznania pogody no i oczywiście bombowce, głównie Ju 86 i Ju 88.

Dopytywany o rodzaj prac, które hiwisi mogą wykonywać w bazie, Mundek zdecydowanie stwierdził, że należy zabiegać o pracę w dwóch miejscach, bo tylko w nich jest się blisko pilotów i samolotów, albo przy bazach paliwowych, albo w Flugzeugführerschule, czyli w szkole dowódców pilotów.

- Znam już tu trochę ludzi i mam dobrą opinię, więc za jakiś czas, gdy się wykażesz, pogadam z pewną miłą sekretareczką komendanta szkoły Oberstleutnanta Wilhelma von Friedeburga. Lubi mnie. Pomogłem jej przemeblować gabinet komendanta. Czasami ze mną gada, gdy spotka mnie gdzieś przy pracy.

7. Niechciana miłość



Komisarz Hans Stratmann każdą wolną chwilę spędzał w Kolbergu. Powodem były odwiedziny w sanatoriach, w których matka, będąca w coraz gorszym stanie, często przebywała na leczeniu. Z czasem jednak coraz częściej bywał tam także wtedy, gdy nie składał wizyt matce. Kilka godzin spędzonych od czasu do czasu na spacerze w uzdrowisku pozwalało mu zapomnieć o konformizmie, którego sam w sobie nie akceptował i o działaniach niezgodnych z honorem komisarza policji kryminalnej. Uspokajał się trochę i psychicznie regenerował.

W dni, kiedy nie miał służby, wsiadał na dworcu w Köslinie do pociągu i po niecałej godzinie jazdy wysiadał na stacji Kolberg. Pasażerami pociągów relacji Köslin-Kolberg byli urlopowani żołnierze, bardzo często po długich pobytach w szpitalach, odwiedzające ich rodziny, matki z dziećmi i osoby starsze. Kolberg bowiem, kiedyś ważna twierdza lądowa i morska, od dawna przestał funkcjonować jako miasto militarne i stał się kurortem, który teraz, podczas trwającej wojny, zamienił się w wielki lazaret.

Atmosfera w mieście była isticie pokojowa, można nawet powiedzieć, że beztraska. Nie było w nim nadmiaru wojennych haseł na budynkach i słupach ogłoszeniowych, a nawet flagi państwowe III Rzeszy powiewały tylko w najważniejszych miejscach – w koszarach, na gotyckim ratuszu czy na końcu mola.

Stratmann wyznaczył sobie stałą trasę spacerów. Ze stacji kolejowej szedł, nie zatrzymując się, prosto w kierunku portu. W porcie długo patrzył na statki pasażerskie przycumowane przy nabrzeżu. Gdy miał więcej czasu i nie było sztormu, podchodził do latarni morskiej i patrzył na wyjście z portu. Następnie, szedł kładką pod falochronem wschodnim na jego koniec i patrzył w dal. Uspokajał do bezkres morza, miarowy szum fal i wrzask mew. Wracał na brzeg i udawał się od w kierunku mola. Oglądał jachty w marinie, a później, niezależnie od pory roku, szedł do ogrodu różanego należącego do najbardziej reprezentacyjnego hotelu Strandschloss. Spacerował zadbanymi alejkami. Latem i jesienią rozkoszował się zapachem róż, podziwiał pieczołowicie zaaranżowane klomby i przysiadł na białych drewnianych ławkach. Patrzył z dziwnym sentymentem na matki popychające dziecięce wózki, zaglądające do wózków z troską i łagodnym uśmiechem. Wielką przyjemność sprawiał mu widok śmiejących się młodych kobiet w kwiecistych zwiewnych sukienkach, w białych skarpetkach i lekkich letnich bucikach. Podziwiał giętkość ich ciał, długie nogi i eleganckie uczesania.

Przed powrotem na stację jadł obiad w hotelowej restauracji, a kawę i deser zamawiał w parkowej kawiarni. Czasami, gdy przyjechał do Kolbergu odpowiednio wcześniej, najpierw szedł do parku, aby posłuchać porannych koncertów organizowanych w muszli koncertowej. Na plażę nigdy nie schodził. Nie lubił brnięcia po piachu, tkwienia na słońcu, moczenia się w morzu, a najbardziej nie znosił panującego na plaży tłoku i zgiełku.

Pewnego letniego dnia, przechadzając się w hotelowym ogrodzie, zatrzymał się przy okazałym klombie, na którym komponowano z kwiatów herb miasta. Prace właśnie trwały. Kilka kobiet w długich fartuchach, z włosami zakrytymi białymi chustkami, klęczało wokół klombu i sadziło kwiaty. Jedna z nich, młoda i bardzo szczupła, odwróciła się, gdy stanął

nieopodal i spojrzała na niego smutnym niewidzącym wzrokiem. Nie wiedział, dlaczego jej twarz i spojrzenie ciemnych oczu zapadły mu w pamięć. Jej obraz pojawiał się zawsze, gdy wracał do Kolbergu i szedł alejkami parku. Pojawiała się także irytująca go nadzieja, że ją ponownie zobaczy.

W deszczowy listopadowy dzień 1942 roku Stratmann udał się do Kolbergu służbowym samochodem. Tym razem miał do wykonania robotę. Sprawa, którą miał zbadać była prosta. Chodziło o konflikt małżeński, który zakończył się śmiercią żony. Pojechał sam, ponieważ Fritz Jensen leżał w łóżku silnie przeziębiony i komisarz polecił mu pozostanie w domu. Stratmann obejrzał miejsce zdarzenia zabezpieczone przez miejscową policję - zwykłe mieszczańskie mieszkanie - i przesłuchał podejrzanego mężczyznę, który natychmiast przyznał się do popełnionego w afekcie nieumyślnego zabójstwa i złożył wyczerpujące wyjaśnienia. W ferworze kłótni - a kłócił się z żoną coraz częściej, gdyż była niemożliwie marudna i czepliwa - uderzył ją pięścią w twarz, a ta upadła i uderzyła głową w kant stołu.

Oględziny zwłok i miejsca potwierdzały podawaną przez męża ofiary wersję zdarzenia. Zebrano ślady, zrobiono fotografie, sporządzono protokół z przesłuchania, a delikwenta zabrano do aresztu śledczego. Stratmann był wolny. Postanowił zostawić samochód w rynku i pieszo udać się do restauracji Strandschloss.

Był już blisko celu, gdy ją zobaczył, kobietę z parku. Wyszła z bocznej ulicy i także skierowała się w stronę hotelu. Stukała głośno drewniakami, na stopach miała grube wełniane skarpety, na sobie lichy pocerowany płaszcz. W obu dłoniach trzymała nieduże, ale najwyraźniej ciężkie paczki, bo szła z trudem, kołysała się na boki, a jej dłonie nienaturalnie zbiełały i zsiniały. Pchnięty nagłym impulsem podszedł do niej i zaproponował:

- Pomogę pani. Idę chyba w tę samą stronę. Do hotelu.

Speszyła się i przyspieszyła kroku. Spod opuszczonej głowy zawiniętej w kraciastą chustkę padły jakieś niewyraźne słowa.

- Nie jest pani Niemką? - postawił retoryczne pytanie, bo uświadomił sobie nagle, że kobieta odezwała się po polsku. - Została tu pani przywieziona do pracy?

Potwierdziła skinieniem głowy i wreszcie spojrzała na niego. Na twarzy widać było świeże jeszcze zranienia i siniaki.

- Ktoś panią bije?! – oburzył się, choć przecież dobrze wiedział, że młodzi ludzie przywożeni na roboty do Niemiec traktowani są jak niewolnicy.

Kobieta, tym razem po niemiecku, powiedziała z wyraźną prośbą w głosie:

- Proszę mnie zostawić w spokoju. Będę miała jeszcze większe kłopoty.

Zrozumiał jej obawy i bez słowa odszedł w kierunku głównego wejścia do hotelu. Ona skierowała się do wejścia dla służby.

Obiad tym razem zupełnie mu nie smakował. Z kawy i deseru zrezygnował. Moknąc w siąpiącym deszczu wrócił na rynek, wsiadł do samochodu i pojechał do Köslina. Wiedział, że widok tej kobiety, a właściwie jeszcze dziewczyny, będzie go prześladował tak długo, dopóki nie wymyśli sposobu, aby ją znów zobaczyć.

- Dziwny jakiś jesteś – stwierdziła matka, gdy wszedł do mieszkania i odmówił zjedzenia z nią podwieczorku.

- Jestem po prostu zmęczony – powiedział i poszedł do swojego pokoju, udając, że nie widzi jak matka z dezaprobata kręci głową.

Pomysł na zobaczenie dziewczyny i spokojne z nią porozmawianie przyszedł mu do głowy następnego dnia, gdy wypełniał w swoim biurze zaległe dokumenty.

- Wejdę do hotelu, pokażę legitymację i zażądam przywołania polskiej posługaczki. Nie muszę się tłumaczyć, w jakiej sprawie chcę ją przesłuchać na osobności – powziął najprostszą decyzję.

Na wizytę w hotelu wybrał niedzielę 6 grudnia. Pojechał rannym pociągiem i z przyjemnością szedł pustymi ulicami Kolbergu. Świeciło słońce, a nocny przymrozek pozostawił na drzewach i krzewach połyskującą w słońcu szadź.

W hotelu kazał recepcjoniście przywołać dyrektora. I tu natrafił na pierwszy problem, bo dyrektora nie było – niedziela – a jego zastępca nie miał pojęcia o robotnikach przymusowych zatrudnionych w hotelu Strandschloss, gdyż pracował w nim zaledwie kilka dni. Zawołano zatem kierownika działu administracyjnego i ten, po długim namyśle, przypomniał sobie, że są jacyś robotnicy przymusowi przydzieleni do głównego ogrodnika, ale on ich nie zna. Ogródnik nie pracuje w niedzielę, ale można po niego posłać.

Starszy mężczyzna, silnie zbudowany i szorstki w obejściu, zjawił się po kilkunastu minutach, kiedy komisarz Stratmann zaczynał już obawiać się, że ktoś zatelefonuje do Köslina i nieformalność jego wizyty wyjdzie na jaw. Ogrodnik, naburmuszony, poszedł po pracownicę, a komisarza zaprowadzono do pomieszczenia ochrony hotelu i zostawiono samego.

Czekał z biciem serca. Dziewczynę, lekko dygocącą, doprowadzono po dziesięciu minutach. Poznała go i w jej oczach pojawiły się strach i zdziwienie. Gdy zostali sami Startmann wyjął z kieszeni płaszcz czekoladę.

- Prezent mikołajkowy – powiedział ściszone głosem.

- Kim pan jest? Czego pan ode mnie chce? – głos jej drżał, a w oczach pojawiły się łzy.

Ponieważ nie wzięła od niego czekolady, położył prezent na stole i poprosił:

- Niech się pani uspokoi i usiądzie.

Kobieta usiadła na brzegu krzesła i patrzyła mu prosto w oczy. Znów, podobnie jak za pierwszym razem, wtedy, gdy spojrzała na niego niewidzącymi czarnymi oczami, poczuł słodki niepokój. Czuł jak jej wzrok przenika go do głębi. Nie spuszczać wzroku powiedział:

- Chcę pani pomóc. Sam nie wiem dlaczego. Pracuję w policji kryminalnej, ale proszę się nie bać. Jestem tu prywatnie. Markowałem wizytę służbową, żeby pani nie narażać.

- Teraz to dopiero będę miała kłopoty – zauważyła trzeźwo, posługując się kiepską niemiecką. – Muszę być winna, skoro przesłuchuje mnie policjant.

- Powiem, że to pomyłka – uspokoił ją. – Za dwie minuty skończymy rozmowę. Proszę tylko powiedzieć, gdzie i kiedy możemy się bezpiecznie spotkać i spokojnie porozmawiać.

Milczała i nadal patrzyła mu w oczy, a on nie spuszczał wzroku. Po chwili powiedziała:

- Mogę się wymknąć z hotelu dziś po zmroku. Tak około piątej. Ale gdzie mam przyjść? Będę miała godzinę, może półtorej. Nie mogę chodzić po mieście.

- To spotkajmy się w portowej piwiarni – zaproponował. – Nie jest tam najprzyjemniej, ale nikt na nikogo nie zwraca uwagi. Wie pani, gdzie to jest?

- Albo inaczej – dodał natychmiast – będę na panią czekał przy wejściu na molo.

Mar Fischer po kilku miesiącach pracy jako woźnica – dowoził towary do kantyny – został, zgodnie z obietnicą Edmunda Jakuscha, przydzielony do grupy wspomagającej pracowników technicznych w szkole dla dowódców pilotów. Zmieniono mu zakwaterowanie. Przeniesiono go do niewielkiego, przypominającego barak, budynku położonego niedaleko szkoły. Dostał miejsce do spania i życia w ośmioosobowej sali. Tej samej, w której już kwaterował Mundek i sześciu innych członków grupy, także Niemców.

Grupa, zróżnicowana wiekowo, była dobrze zorganizowana i solidarna, o czym Mar przekonał się już pierwszego dnia, gdy dostał zadanie przekraczające jego możliwości. Kolega, z którym pracował, kierował nim i pomagał, a wieczorem urządzono mu prawdziwe szkolenie. W krótkim czasie nauczył się sposobów działania odpowiednich do każdego z obsługiwanych samolotów. Szkoła dysponowała myśliwcami - głównie Messerschmittami Bf 109 - niewielkimi bombowcami He 111, nie lubianymi przez pilotów bombowcami Do 12 i Do 17 i transportowymi Junkersami. Poza tym posiadała samoloty typowo szkoleniowe - lekkie C.445, wielozadaniowe Fw 58 i Si 204 oraz MS-230 wykorzystywane do nauki akrobacji.

W baraku, który zajmowali hiwisi, rozmowy o samolotach, problemach technicznych czy coraz trudniejszej sytuacji na froncie wschodnim, najczęściej szybko przemieniały się w gawędzenie o jedzeniu – wyżywienie w bazie lotniczej było coraz marniejsze – i buńczuczne opowieści o miłosnych, a właściwie erotycznych, podbojach.

- Chłopie! – zaczepiali Mara Fischera starsi koledzy – za mało się starasz. Musisz zgrabnie podejść jedną z „Blitzmadchen”. „Błyskawiczne dziewczyny” są jak błyskawice. Szybkie i chętne, ale same cię nie zaczepią. Chłopie! Korzystaj z okazji! Poznasz, co to znaczy naprawdę być z kobietą!

„Błyskawicznymi dziewczynami” złośliwie nazywano wszystkie kobiety z Pomocniczej Służby Kobiet, choć naszywkę z błyskawicą nosiły jedynie te przydzielone do prac w łączności. W Luftwaffe, podobnie jak Wehrmachcie i Kriegsmarine, tworzone osobne struktury Helferinnen, ale wszędzie trzymano się zasady, aby kobiety pracowały daleko od działań frontowych. Nie dostawały także broni, aby nie uchodziły za żołnierzy w oczach wroga. Broń mogły nosić jedynie Flakwaffen-Helferinnen, członkinie działonów przeciwlotniczych.

Mar, służąc na lotnisku w Bodenhagen, istotnie miał łatwiejszy dostęp do kobiet niż w rodzinnej wsi. Nie tyle w sensie zakochiwania się i flirtowania, co nawiązywania intymnych kontaktów. Miał już ponad dwadzieścia lat i był prawiczką. Sporadyczne, niedokończone i pośpieszne przytulenia, pocałunki i dotyk, których posmakował wcześniej z Mariką Mauer, siostrą nieszczęsnego Otta, dawały tylko przedsmak prawdziwych fizycznych uniesień.

Kobiet służby pomocniczej nie było na lotnisku i w koszarach w Bodenhuten wiele, ale zmieniały się dość często. Prawie wszystkie były niezamężne. Duża część z nich była w wieku Mara, ale zdarzały się także prawdziwe stare baby tuż przed sześćdziesiątką.

Najwięcej „błyskawicznych dziewczyn” pracowało w wojskowym szpitalu, ale tych Mar prawie nigdy nie spotykał. Dwie, najładniejsze i najwyższe stopniem, bo zwracano się do nich Oberführerin, zasiadały na zmianę w sekretariacie gabinetu dowódcy szkoły. Dla hiwisów, nawet rodowitych Niemców, były to jednak za wysokie progi, a znajomość, którą chwalił się Mundek, ograniczała się do wykonywania, od czasu do czasu, cięższych prac w sekretariacie.

Sekretarki były dla nich miłe, ale trzymały odpowiedni dystans. Mogli tylko zamienić z nimi kilka słów, najczęściej o szczegółach roboty do wykonania, a potem dyskretnie podziwiać urodę i sposób bycia tych eleganckich młodych kobiet, które nawet w szarych służbowych strojach, składających się ze spódnicy, marynarki, białej koszuli i krawata, wyglądały jak boginie. Mar podkochał się beznadziejnie w jednej z nich. Tej młodszej, która miała na imię Hanna.

Mar Fischer nie miał śmiałości do kobiet. Wstydział się swej niskiej pozycji w wojsku, prostego języka i braku obycia. Wzrost miał średni, ciało umięśnione, a jego jasnoniebieskie oczy spoglądały spod niesfornej gęstej czupryny, tak wypłowiałej od słońca, że prawie białej.

Sam sobie nie podobał się, ale koledzy wmawiali mu, że jest przystojniakiem i choć żartowali, ich pochwały sprawiały mu przyjemność i dodawały pewności siebie. Nauczył się dbać o swój codzienny wygląd. Często się strzygł, gładko zaczesywał gęste włosy, codziennie golił się i czyścił robocze ubranie oraz buty. Po pracy mył się i zakładał garnitur, który, choć trochę znoszony, podkreślał jego męskość. Zakupił go okazyjnie, za namową Mundka, od handlarza starzyzną, dał do przeniebowania i dopasowania.

Hilda, a właściwie Hildegarda, kobieta nazywająca się Bodammer, zagadnęła Mara, gdy wiosną 1942 roku stał oparty o ścianę mieszkalnego budynku tuż przy wejściu i palił

papierosa. Był jeszcze w roboczym ubraniu. Podeszła do niego i swobodnym głosem zapytała:

- Co palisz? Poczęstujesz mnie? Skończyły mi się moje.

Wyciągnął ku niej dłoń z paczką Trommlerów.

- Proszę. Niech się pani częstuje.

- Niech się pani częstuje, nie się pani częstuje – powtórzyła po nim i wybuchła śmiechem.

Wzięła papierosa i przyjrzała mu się. Skrzywiła usta, dając do zrozumienia, że nie na taką markę liczyła, jednak włożyła papieros pomiędzy pomalowane czerwoną szminką wargi.

- Ogień! – rozkazała.

Mar, już trochę zdenerwowany, wyjął zapalki. Jedna po drugiej łamały się i gasły. Kobieta wyjęła mu z ręki pudełko i sprawnie przypaliła papierosa cały czas lekko chichocząc.

Zaciągnęła się głęboko papierosowym dymem i stwierdziła:

- Marne papierosy kawaler pali. No i nie ma zapalniczki.

Patrzyła na niego kpiącym wzrokiem, ale zaraz zmieniła wyraz twarzy i uśmiechnęła się do niego przyjaźnie. Wyciągnęła dłoń i zmierzwiła mu włosy.

- Ładne masz włosy, takie jasne – powiedziała ciepłym, cichym głosem, patrząc mu głęboko w oczy.

Odwróciła się na pięcie i odeszła, zanim zdołał wydusić słowo.

- Chłopie! – wrzasnęli koledzy, gdy jeszcze nieswój wrócił do sali. – Ale masz szczęście! Wpadłeś w oko Hildzie. Ona wybiera tylko młodych. Będziesz miał używanie!

Od kolegów dowiedział się, jak nazywa się ta kobieta i kim jest. Mówili jeden przez drugiego, jakby każdy z nich wszystko o niej wiedział. Śmiali się i prześcigali w obmawianiu. Nie był zachwycony ich opowieściami.

- Wiesz ile ona ma lat? Ponad trzydzieści. Wstąpiła do Służby jako ochotniczka, bo jest mężatką. Wcielane są tylko te niezamężne.

- Mąż na froncie wschodnim, a Hilda używa życia. Unika oficerów, żeby się nie wydało.

- Ma baba temperament. Wybiera sobie kochanków, wykorzystuje i odsyła do lamusa. Skorzystasz przez jakiś czas. Dobrze cię wyszkoli w miłosnym rzemiośle.
- Celuje w takich, co wyglądają na prawiczków. Pewnie nie chce złapać choroby.
- Uważaj, bo to ona może cię załatwić!
- Ale nie możesz jej odmówić! Ma rangę Haupthelferin i nosi broń. Umie rządzić. Rządzi trzema operatorkami radarów przeciwlotniczych. Podobno chodzą jak w zegarku. Ty też będziesz pod nią grzecznie chodził!

Mar Fischer obawiał się następnego bliskiego spotkania z Hildegardą Bodammer, ale trudno mu było nie myśleć o niej i kpiących, ale jednak podniecających, tekstach wygłaszanych przez kolegów. Widywał ją czasem z daleka, ale ona go nie zauważała. Była od niego starsza prawdopodobnie o jakieś dziesięć lat. Wyglądała jednak bardzo pociągająco i z pewnością nie tak wulgarnie, jak kobiety lekkich obyczajów, które widywał w Kolbergu i które nieźle zarabiały dzięki pobliskiemu lotnisku.

Hilda zachowywała się wprawdzie dość swobodnie, ale miała klasę. Nosila najczęściej kobiecy strój służbowy – spódnicę, marynarkę i koszulę oraz płaszcz, gdy było zimno, a do tego płaskie pantofle albo oficerki. Ciemne falujące włosy, zawsze starannie ułożone, przykrywała należąca do umundurowania furażerką. Wzrost miała średni, a ciało lekko, apetycznie zaokrąglone. Lubił na nią patrzeć i lubił o niej myśleć. Spotkania obawiał się, ale obawiał się także i tego, że Hilda nagle zniknie, bo przeniosą ją w inne miejsce.

Stanęli twarzą w twarz na lotniskowej drodze nieopodal szkoły mniej więcej trzy tygodnie po pierwszej rozmowie – o ile rozmowę można nazwać te kilka zdań, z których on wypowiedział jedno. Mar, zabrudzony i zmęczony, w roboczym kombinezonie, ona najwyraźniej po służbie, bo w kwiecistej sukience, żakiecie i w eleganckich jasnoszarych zamszowych czółenkach na słupku.

- Zauważyłam, że przyglądasz mi się z daleka – powiedziała, miło się uśmiechając.
- Nie wstydź się – dodała głosem spokojnym, w którym nie słyszał wyższości. – Ty też mi się podobasz. Jesteś taki młody, niewinny i nieśmiały. To naprawdę urocze. Możemy się zaprzyjaźnić, jeśli chcesz. A chcesz?

Spojrzał na nią uważniej i zauważył drobne zmarszczki wokół szarych oczu. Niespodziewanie zniknęły w nim wszelkie zahamowania i nieśmiałość. Poczuł się silny, młody i zadowolony z zainteresowania, które okazywała mu elegancka dojrzała kobieta. Ona dostrzegła zmianę w jego postawie i błysk pożądania w jego wzroku.

- Wiesz, gdzie są zakwaterowane Helferinnen? – stwierdziła bardziej niż zapytała. – Przyjdź o dziewiątej wieczorem za budynek. Nie musisz się specjalnie szykować. Zachowuj się jak zwykle.

Podawała mu rękę na pożegnanie. Ucisnął ją i odszedł. Natychmiast pożałował, że nie zachował się jak dorosły mężczyzna i nie pocałował podanej dłoni.

Nocne randki z Hildą zajęły Marowi głowę tak, że zapomniał o pięknej sekretarce Hannie i o wszystkim innym. Pracował jak zawsze, ale podczas pracy wspominał minioną noc i myślał o kolejnej. Spotykali się na ogół dwa razy w tygodniu. Mar, aby ukrócić docinki kolegów, ubrany czysto, ale swobodnie w podniszczone cywilne ubranie, zaczął wychodzić z baraku każdego wieczora tak, żeby wyjścia na randkę nie odstawały od jego codziennych zwyczajów. Na niewiele się to jednak zdało. Z początku tłumaczył się.

- Nie mogę już wytrzymać w baraku. Muszę pobyć sam i zaczerpnąć świeżego powietrza. Spacer przed snem dobrze mi robi – mówił.

- Patrzcie go! – drwili leżący na swoich pryczach towarzysze. – Powietrza mu brakuje. Chyba masz za mało roboty, skoro chce ci się spacerować. Przyznaj się! Lecisz do Hildy! Musi być niezła w te klocki, skoro dajesz radę codziennie.

Po tygodniu wychodził bez słowa i przestał przejmować się docinkami. Mundek od czasu do czasu wychodził razem z nim. Mar cieszył się z jego towarzystwa, choć niekiedy uniemożliwiała mu ono zaplanowaną wizytę u Hildy.

Z Edmundem można było szczerze porozmawiać o wszystkim, także o sytuacji politycznej. Mar dużo się od niego nauczył. Do tematu mitów nigdy nie wracali. Hilda wiedziała, dlaczego Mar nie przychodzi. Pochwalała jego rozsądek i ostrożność.

Opowieści o tym, że Hilda bezwzględnie i czysto erotycznym traktuje swoich kochanków Mar uważał teraz za nieprawdziwe i krzywdzące. Okazywała mu dużo czułości. Chętnie słuchała jego zwierzeń. Zapewniała, że seks, który namiętnie uprawiali, świadczy o łączącym

ich uczuciu. Przy niej nie czuł się młodym niedoświadczonym wieśniakiem. Nabrał pewności siebie. Uczył się od niej nie tylko spełniania erotycznych pragnień kobiety, a także zasad jej eleganckiego traktowania. Nie zadawali sobie wzajemnie zbędnych pytań. W ich związek od początku była wpisana tymczasowość i konieczność rozstania.

8. Za późno



Po lecie 1943 roku przypadki samobójstw popełnianych przez cywilów i żołnierzy nie wzbudzały w köslińskim Kripo większego zainteresowania. Niektóre żony, matki, narzeczone czy kochanki, otrzymując oficjalne zawiadomienia o bohaterskiej śmierci mężów, synów i ukochanych na Froncie Wschodnim, nie wytrzymały ciosu i odbierały sobie życie. A przecież nie mogły wiedzieć o prawdziwym okrutnym losie ich mężczyzn pod Stalingradem czy pod Kurskiem.

Ranni, okaleczeni na zawsze żołnierze, którzy przybywali do Kolbergu na rehabilitację, także nie wszyscy wytrzymywali psychicznie skazanie na kalectwo. Potem było jeszcze gorzej, bo zdarzały się samobójstwa honorowe wśród tych, którzy nie mogli znieść myśli o nie zniszczeniu się idei Wielkich Niemiec i Wielkiego Aryjskiego Człowieka.

Ze wschodu nadchodziły coraz gorsze wieści o nadciągających stamtąd sowieckich dzikich hordach. Na zachodzie w połowie 1944 roku wylądowały w Normandii sprzymierzone siły amerykańskie, brytyjskie i francuskie. Z bombardowanych dużych niemieckich miast przybywali coraz częściej na Pomorze uciekinierzy, przede wszystkim ubogie kobiety z

małymi dziećmi, których mężowie walczyli na froncie. Niektóre chroniły się u rodzin, inne szukały pracy i bezpiecznego kąta u obcych ludzi.

Dla komisarza Hansa Stratmanna czas po 1942 roku był szczęśliwy i nieszczęśliwy zarazem. W niedzielę wieczorem 6 grudnia 1942 roku bez przeszkód spotkał się z młodą Polką w portowej piwiarni. Dziewczyna miała typowo polskie imię Grażyna i równie typowo polskie i trudne do wymówienia nazwisko, Szczerbińska. Mówiła po niemiecku tylko znośnie, ale okazała się inteligentna i wykształcona.

Została zabrana na roboty z Wartheland, czyli z Wielkopolski. Mieszkała w Warthbrüken, polskim Kole, z rodzicami i młodszym bratem. Udało jej się tuż przed wojną zdać maturę i dostać na praktykę u mierniczego przysięgłego z miejskiego magistratu. Wojna położyła kres wszelkim jej planom i marzeniom. Wywieziona do Kolbergu pracowała w ogrodzie hotelu Strandschloss.

Utrzymanie wielkiego ogrodu w pełnej krasie wymagało pielęgnacji i czyszczenia od wczesnej wiosny po późną jesień. Zimą wykonywała wszystkie inne zlecone jej prace. Była najmłodsza w grupie robotnic przymusowych i stało się to przyczyną jej nieszczęścia. Główny ogrodnik, człowiek okrutny, kazał się jej obsługiwać seksualnie, a przy tym miał upodobania sadystyczne.

- Wojna, a właściwie źli i okrutni ludzie – myślał Stratmann, patrząc na dwudziestokilkuletnią kobietę ocierającą dłonią łzy z policzków - zabrała jej nie tylko szansę na dobre życie, na piękną naiwność młodości i czystą niewinną młodzieńczą miłość, ale wiarę w dobro i w ludzi. Mnie także nie wierzy. Za późno. Myśli zapewne, że będzie musiała słono zapłacić za tę moją pomoc i boi się, że wpadnie z deszczu pod rynnę.

Pomimo wątpliwości Hans Stratmann wykorzystał wszelkie swoje możliwości, aby zabrać Grażynę z hotelu. Podczas spotkania w piwiarni nie uspokajał jej i nie zapewniał o swojej bezinteresowności. Wiedział, że ciężko doświadczona dziewczyna i tak mu nie uwierzy. Poinformował ją tylko, że postara się uwolnić ją od prześladowcy i sprowadzić do siebie do Köslina, aby opiekowała się jego chorą matką.

Nie spotkali się po raz drugi, aby nie wzbudzać podejrzeń, a jej nie narażać na dodatkowe przykrości. Komisarz zaczął działać. Najpierw pojechał do Warschau do Generalnej Guberni i, korzystając z pomocy znajomego policjanta, kupił lewe polskie papiery pielęgnarskie i

załatwił ich tłumaczenie na niemiecki. Potem udał się do Warthbrüken i stamtąd wysłał papiery pocztą, załączając krótki list napisany jakoby przez jej rodziców. Rodzice informowali w liście, że udało im się przetłumaczyć dyplom pielęgniarski Grażyny i wysyłają go, aby mogła znaleźć w Niemczech pracę w zawodzie.

Kiedy Hans Stratmann wrócił do Köslina, odczekał czas jakiś, a potem poprosił Fritza Jensena o drobną przysługę, a ten chętnie się zgodził, nie zadając pytań. Przyszługa polegała na tym, że asystent kryminalny Jensen, wyposażony przez komisarza w znaczną ilość marek, przyszedł *incognito* pewnego popołudnia do restauracji hotelu Strandschloss, zamówił dobry obiad, wypił do obiadu sporo wina, a jedząc i pijąc, zagadywał obsługujących go kelnerów. Im więcej pił, tym chętniej zwierzał się im ze swoich życiowych kłopotów, czyli z trudności w kontaktach z kobietami i konieczności samodzielnego opiekowania się ciężko chorą matką. Wypytywał, czy nie znają jakieś sprytnej dziewczyny, która pomogłaby mu poradzić sobie z oboma kłopotami naraz.

- Kolega mi mówił – powiedział wreszcie lekko bełkotliwie do kelnera, wpychając mu dyskretnie do ręki banknot – że macie tu niezłe Poleczki. Taka to by mi się przydała.

Gdy już Jensen tracił nadzieję, że uda mu się coś osiągnąć, nie tracąc nadmiernie zdrowia z przejedzenia i przepicia, został poproszony na zaplecze. Stała tam młoda kobieta w bardzo skromnym odzieniu i ze spuszczoną głową. Kiedy się jej lepiej przyjrzał, przestał się dziwić szefowi, że tyle wysiłku wkłada w to, aby ją dla siebie zdobyć.

- Ta jest niezła i jest pielęgniarką. Ale szczegóły to już trzeba obgadać z głównym ogrodnikiem – poinformował Fritza kelner, puszczając do niego oczko.

Wyciągnął rękę po następny banknot i zniknął jak duch.

Dobrze opłacony ogrodnik nie stwarzał żadnych problemów, tym bardziej, iż obawiał się, że mu i tak wkrótce dziewczynę zabiorą i przydzielą do pracy w którymś z sanatoriów. Znające się na swoim fachu pielęgniarki stawały się bowiem towarem deficytowym. Traf tylko chciał, według ogrodnika, że w porę zgłosił się po nią młody grubas z kasą. Przynajmniej trochę na niej zarobił.

Wiosną 1943 roku Grażyna Szczerbińska, po załatwieniu wszelkich formalności z przeniesieniem z hotelu do Hansa Stratmanna w roli opiekunki i pielęgniarki, zamieszkała w pokoju dla służącej w mieszkaniu komisarza w Köslinie i zaczęła prowadzić dom.

Johanna Stratmann, na początku niechętna obecności obcej kobiety w prywatnym życiu jej i syna, szybko polubiła dziewczynę, która zachowywała się bardzo dyskretnie, mówiła niewiele, ale sprawnie zajmowała się zarówno pracami domowymi, jak i pomocą w jej bolesnej i zniekształcającej ciało chorobie. Równie szybko zauważyła, że Hans żywi do młodej Polki ciepłe uczucia i z pewnością nie są to uczucia ojcowskie. Johanna udawała jednak, że nie zauważa długich spojrzeń syna i nie słyszy miękko wypowiedzianych słów. Hans zmienił się bardzo. Stał się pogodny i spokojniejszy. Matka miała nadzieję, że Grażyna, młodsza od Hansa jakieś trzydzieści lat, nie zrani jego uczuć. Odetchnęła z ulgą, gdy sama niezauważona zobaczyła, jak namiętnie całują się w przedpokoju przed wyjściem Hansa do biura.

- Niech zaznają choć odrobinę szczęścia w tych paskudnych czasach. Nie wiadomo, co się z nami stanie. Na normalne życie, to już chyba za późno – pomyślała, wycofując się po cichu do swojego pokoju.

Odetchnęła z ulgą także dlatego, że nie znosiła, kiedy Hans nie wracał na noc do domu. Wiedziała, że odwiedza wtedy prostytutki w köslińskim burdelu.

Komisarz Hans Stratmann zakochał się, a jego uczucie zostało dobrze przyjęte. Nie dociekał, czy Grażyna jest z nim z miłości, czy z wdzięczności. Nie miało to przecież żadnego znaczenia. Znaczenie miało tylko to, że byli sobie nawzajem potrzebni i cieszyli się swoją bliskością. Nie chciał i nie mógł zbyt wiele żądać od młodej i całkowicie od niego zależnej kobiety. Był stary i dawno porzucił wszelkie złudzenia. Gdyby nie wojna, byłby emerytem. Wystarczało mu to, że nareszcie wracał do domu z przyjemnością i mógł zapomnieć o przykrych zdarzeniach w pracy, a każdy dzień rozpoczynać na nowo bez ciążących mu myśli. Zarzucił wyjazdy do Kolbergu.

Kiedy miał trochę więcej wolnego czasu jechali, on i Grażyna, każde osobno, wąskotorówką nad jezioro w Rosnowie, szukali odludnych miejsc, spacerowali i rozmawiali o wszystkim poza służbowymi sprawami Hansa, który unikał także tematów związanych z wojną.

- Nie chcesz mi mówić, co się dzieje w Polsce – zarzucała mu często Grażyna. – Przecież z racji twojej pracy wiesz więcej od zwykłych ludzi. Mógłbyś choć trochę mi powiedzieć.

Przecież ja nikogo poza tobą i twoją matką nie widuję. Z nikim prawie nie rozmawiam. Nawet gdybym chciała, nie miałabym komu przekazać tego, co mi powiesz.

- Przepraszam. Uwierz mi kochana, że lepiej nie rozmawiać o tej podłej wojnie - odpowiadał.
- Niewiele nam czasu zostało. Najgorsze dopiero nadchodzi. Po co mamy przeżywać to już teraz. Zło samo nas dopadnie w swoim czasie. W Polsce, tak jak wszędzie, dzieją się straszne rzeczy.

Hans Stratmann nie mógł dzielić się ani z Grażyną, ani z matką wiedzą, która posiadał. Nie dlatego, że obawiał się ich gadulstwa. Był pewny lojalności dwóch najbliższych mu kobiet. Nie chciał nakładać na wątłe już ramiona matki i nadmiernie obciążone ramiona Grażyny ciężaru, które by je przytłoczyły. Obawiał się także, że matce pęknie serce, a dziewczyna go znienawidzi. Wina za bestialstwa, których Niemcy dopuszczali się na Wschodzie, spadała przecież także na niego. Cóż z tego, że pracując w Kripo na rdzennych terenach niemieckich, nie musiał nosić munduru SS, albo że nie przyłożył osobiście ręki do masowych egzekucji, przeprowadzonych na Froncie Wschodnim przez cztery Einsatzgruppen - grupa A „czyściła” teren za Armią „Północ”, grupa B za Armią „Środek”, C za Armią „Południe” a D w Besarabii i na Krymie – skoro tropił wszelkie objawy defetyzmu, ścigał dezertów, przesłuchiwał zdrajców Rzeszy, wyłapywał Żydów, komunistów, szpiegów, dywersantów i nieprawomyślnych obywateli. Działał w zbrodniczej maszynie i nic go nie usprawiedliwiała. Ani niemieckie pochodzenie i wychowanie, ani miłość do matki, której nie mógł opuścić w chorobie, ani nienawiść do partyjnej ideologii, ani wewnętrzny sprzeciw. Wszedł w nieludzki system, którego czas wkrótce się skończy, a wtedy sprawiedliwość także jemu zostanie wymierzona. Liczył na to, że matka tego momentu nie doczeka, a Grażyna wróci do swoich zanim pozna straszna prawdę, także prawdę o nim.

- Teraz już nie mogę się wycofać. Jest na to za późno – myślał o swoim położeniu.

Niedziela 14 listopada 1943 roku zapowiadała się słoneczna, choć zimna i wietrzna. Hans i Grażyna wybrali się nad morze. Dziewczyna bardzo lubiła patrzeć na morze, szczególnie gdy było wzburzone. Zobaczyła je po raz pierwszy w Kolbergu. Wtedy jednak nie miała możliwości rozkoszować się widokiem fal, nieba i plaży. Nie miała czasu słuchać szumu morza, wiatru i krzyczących mew. Hans ulegał jej prośbom i zgadzał się na nadmorskie

spacery, ale wyłącznie w najmniej ludnych miejscach. Tym razem wybrali okolice Henkenhagen, planując przejście plażą w stronę Funkenhagen. Stratmann nie miał z tych nadmorskich okolic najlepszych wspomnień, ale starał się o nich nie myśleć.

Pojechali zakupionym przed dwoma tygodniami samochodem DKW FA, starym, ale świeżo wyremontowanym. Podróżowanie własnym samochodem stwarzało komfortowe warunki. Trzeba było zachować tylko minimalne środki ostrożności, aby nie zostać zauważonym. Grażyna nie wsiadała do samochodu pod kamienicą, w której mieszkali, lecz w pewnej odległości od niej. Musiała tylko sprawdzić, czy nikt nie patrzy. Potem jazda stawała się czystą przyjemnością, aż do powrotu, kiedy znów należało stać się niewidzialną.

- Zastanawiam się, gdzie moglibyśmy zjeść razem obiad – powiedział Hans, gdy zbliżali się do Henkenhagen. – Jest tu dość przyjemny pensjonat z restauracją, a ryzyko spotkania w nim o tej porze roku kogoś znajomego jest niewielkie. Knajpę odwiedzają raczej miejscowi i przyjezdni robotnicy. Spróbujmy. Zaparkuję przed budynkiem, wejdę do środka, rozejrzę się i zapytam, do której można zjeść obiad. Przed obiadem pospacerujemy.

Z rozpoznania sytuacji w pensjonacie „Goldener Stern” wrócił do samochodu rozpromieniony.

- Słuchaj! – oświadczył wesoło. – Mamy szczęście! Gości jest niewielu, restauracja prawie pusta. Zamówiłem obiad za dwie godziny. Co ty na to?!

- Bardzo się cieszę – odpowiedziała dziewczyna, ale w jej głosie nie słychać było radości.

- Co się stało? – dopytywał zaniepokojony. – Mam odmówić?

- Nie, nie! - zaprzeczyła gwałtownie. – Przestraszyłam się, ale już w porządku. Nigdy nie byłam w restauracji. W kawiarni na ciastku tak, ale nie w restauracji na obiedzie. Denerwuję się. Nie wiem, czy coś przełknę. Nie jestem też odpowiednio ubrana.

- Kochanie! To jest tylko skromny wiejski pensjonat. Prawie pusty. Restauracja to właściwie karczma. Zobaczysz, będziesz się dobrze czuć. Wyglądasz wspaniale, a po spacerze będziesz głodna jak wilk - Hans pochylił się i objął ją mocno.

- Ale ze mnie głupiec! - wykrzyknął po chwili, wypuszczając Grażynę z objęć. – Nie zapytałem, czy lubisz morskie ryby! Nigdy ich nie przygotowywałaś na obiady, więc pewnie nie lubisz! A ja zamówiłem na rozgrzewkę gorącą zupę rybną, na przystawkę wędzonego węgorza i kieliszek zmrożonej wódki, a filet z dorsza z białym winem jako główne danie.

Młoda kobieta zgodziła się na wszystko. Nie jadła nigdy wcześniej morskich ryb. Wyszli na pustą plażę i poszli brzegiem na wschód, pod wiatr.

- Byle dalej od Kolbergu – przyszło do głowy komisarzowi. – Za dużo ludzi, za dużo znajomych, za dużo złych wspomnień dla Grażyny.

Nie rozmawiali. Spoglądali na siebie z uśmiechem od czasu do czasu i zasłaniali oczy przed chmurami piasku podnoszonymi przez porywy wiatru. Powrót okazał się na szczęście łatwiejszy, bo mieli wiatr w plecy. Popychani wiatrem biegli, śmiejąc się właściwie bez powodu.

Restauracja w pensjonacie wypełniła się w późnej porze obiadowej głównie mężczyznami. Pili piwo, palili papierosy i głośno rozmawiali ubrani w skromne niedzielne garnitury. Płaszcze, czapki i kapelusze pozostały na ustawionych przy drzwiach wejściowych wieszakach.

Stratmann rozglądał się, szukając jakiegoś spokojnego i nie rzucającego się w oczy miejsca, a dziewczyna, trochę przestraszona, schowała się za niego. Zanim komisarz wybrał stół, podszedł do nich ober, pomógł zdjąć płaszcze i zaprowadził do mniejszej sali, gdzie siedziało tylko dwóch młodych mężczyzn. Jedli pieczeń wieprzową, popijali piwem i nie zwracali uwagi na nowych gości.

- Tu będzie Państwu wygodnie – powiedział ober z uśmiechem. – Natychmiast serwujemy gorącą rybną zupę, bo pani zmarznięta. Prawda? – zwrócił się do Grażyny.

Nie czekał na odpowiedź, lecz szybko zwrócił się do Stratmanna.

- Zamówienie pozostaje bez zmian? - zapytał, a gdy otrzymał potwierdzenie, skłonił się zgrabnie, wyprostował, odwrócił i odszedł dziarskim krokiem wytrawnego kelnera.

Dopiero teraz rozejrzeli się i przypatrzyli wnętrzu - białe ściany z niebieskimi szlaczkami, drewniane stoły nakryte białymi obrusami w niebieską kratę, proste krzesła. Prosto i schludnie. Dym papierosowy snuł się tylko wąskim pasemkiem nad stolikiem zajęтым przez młodych mężczyzn w cywilnych ubraniach. Kochankowie mogli się odprężyć i rozkoszować ciepłem pomieszczenia i wzajemną obecnością.

Zupę rybną, z dużą ilością białego mięsa i miękkich kluseczek, zaprawioną kwaśną śmietaną, zjedli z apetytem. Podano półmisek pokrojonego na kawałki wędzonego węgorza,

pieczywo i karafkę schłodzonej wódki. Hans pomógł Grażynie uporać się z grubą skórą ryby i podniósł do góry kieliszek, który wcześniej kelner nappełnił.

- Prosit! – powiedział i zaraz pożałował wypowiedzenia niemieckiego toastu.

- Na zdrowie – odpowiedziała.

- Jak ci smakuje węgorz? - zainteresował się Hans, bo kiedy sam wziął do ust kawałek ryby, uznał że jest pyszna, świeżo uwędzona, w sam raz słona i, co najważniejsze, miękka jak masło.

- Bardzo mi smakuje. Może trochę za tłusta. Nie jadłam takiej tłustej ryby – stwierdziła i sięgnęła do koszyka z pieczywem.

Roześmiał się i nalał wódkę do opróżnionych kieliszków.

- Wypij! Zaraz się rozsmakujesz. Jest doskonały. Lepszego nie znajdziesz – oznajmił z satysfakcją.

Jedząc główne danie nie spieszyli się. Byli już nasyceni i rozleniwieni wypitym alkoholem. Grażyna odmówiła picia wina. Nieprzystawiona do alkoholu czuła lekki zawrót głowy spowodowany wypitą wódką.

- Co ja tutaj robię? – pomyślała nagle, patrząc na siedzącego naprzeciw niej szczupłego, eleganckiego mężczyznę. – Boże! Bawię się z jakimś starym Niemcem, do tego policjantem, sypiam z nim, piję i jem, a moi bliscy cierpią nędzę. Nie wiem nawet, czy jeszcze żyją.

Odsuwała od siebie te natarczywe, gorzkie myśli.

- Nalej mi wina! – poprosiła nagle zdecydowanym głosem, a jej towarzysz spojrzał na nią zaniepokojony, ale spełnił prośbę.

Wypiła duszkiem cały kieliszek białego wina, splukując z przełyku rybi posmak, który nagle zaczął ją męczyć. Odstawiła pusty kieliszek i dała znak oczami, że prosi o jego ponowne nappełnienie. Znów wypiła. Tym razem małymi łykami.

- Chyba mam szczęście i trafiłam na przyzwoitego Niemca - pomyślała pijąc.

Uśmiechnęła się do swego towarzysza, jakby chciała mu wynagrodzić złe myśli.

Do sali, w której biesiadowali weszło dwóch nowych gości, młodych mężczyzn. Podeszli od razu do stolika zajmowanego przez tych już siedzących. Zamówili jedzenie. Podano im od

razu po kuflu piwa. Jeden z nowoprzybyłych zapalił papierosa i zaczął uporczywie wpatrywać się w komisarza.

- Co to za jeden? – zastanawiał się zaniepokojony Stratmann. – Nie znam go. O co mu chodzi? Czyżby rozpoznał w Grażynie robotnicę z Kolbergu?

- Poczekaj tu na mnie! – powiedział do dziewczyny ostrym tonem. – Zawołam kelnera i zaraz wracam.

Wstał i zrobił krok w stronę drzwi, ale wrócił i wyszeptał:

- Nie pij więcej. Czekaj tu na mnie i nie odzywaj się do nikogo.

Odchodząc ponownie od stolika, kątem oka zauważył, że przyglądający mu się młody człowiek także wstał i ruszył do wyjścia. Stratmann z trudem powstrzymał się od odbezpieczenia pistoletu, który zawsze nosił w kaburze pod marynarką.

- Panie komisarzu! – zwrócił się do niego cicho i grzecznie mężczyzna, gdy tylko wyszli z małej sali i weszli do większej, gwarnej i zadymionej. – Panie komisarzu! Proszę o chwilę rozmowy.

- O co chodzi? – Stratmann zatrzymał się, gotowy do natychmiastowej reakcji siłowej. – Pan mnie zna?

- Tak. Pan komisarz mnie nie poznaje, ale ja pana komisarza rozpoznałem od razu – mówił gorączkowo młody człowiek. – Nazywam się Mar Fischer. Pamięta pan? To ja byłem tym chłopakiem, który znalazł pierwszego wisielca, Otta Mauera. Wtedy, w listopadzie 1934 roku. Przesłuchiwał mnie pan dwa razy. Drugi raz po tym, jak powiesiła się Emma Ackermann. Tyle czasu minęło, a ja pana poznałem. Muszę coś panu powiedzieć. Ale nie tutaj. Może wyjdziemy na zewnątrz.

- Proszę pana – zimno i zdecydowanie odezwał się Stratmann. – Jestem tu prywatnie w towarzystwie kobiety i nie zamierzam rozmawiać z panem ani w środku, ani na zewnątrz. Jeśli wie pan coś ważnego w sprawie, która już dawno została zamknięta, zapraszam jutro do mojego biura w Köslinie. Ale obawiam się, że już jest za późno na wszelkie nowe doniesienia.

Stratmann machnął na kelnera i ruszył z powrotem do swojego stolika. Fischer siedł obok i cały czas mówił, nie zniechęcony ostrą reakcją policjanta.

- Jutro nie mogę. W ogóle nie przyjadę do Köslina, bo mnie nie wypuszczą z bazy na tak długo. A ja mam ważną wiadomość. Wiem, kto powiesił Otta, Emmę i tych wszystkich innych. Naprawdę wiem. I wiem, gdzie on teraz przebywa.

- Czy pan oszalał! – prawie wrzasnął komisarz. – Co pan wygaduje! Jeśli coś pan wie, to proszę złożyć oficjalne doniesienie! A na dziś szlus. Żegnam pana!

- Ale...- próbował jeszcze zatrzymać go młody człowiek.

Podniesiony głos komisarza usłyszeli koledzy Mara Fischera i gwałtownie wstali od stolika. Podejrzewali, że potrzebuje pomocy. Fischer powstrzymał ich ruchem ręki i dosiadł się do nich.

Grażyna była przestraszona niespodziewanym incydem, ale nie odzywała się. Stratmann szybko zapłacił rachunek, złapał ją pod ramię i skierował w stronę wyjścia. Ober podbiegł, aby podać im płaszcze i próbował dopytywać, czy smakowało im jedzenie. Nie odpowiadali, więc wzruszył ramionami i otworzył drzwi. Udobruchał go wręczony mu bez słowa suty napiwek.

Całą drogę do Köslina milczeli, każde pogrążone we własnych myślach.

- Za późno, za późno – powtarzał w myślach Stratmann. – Na wszystko jest już za późno.

9. Klęska



Opuszczanie bazy lotniczej w Bodenhagen stało się bardzo trudne. Atmosfera zrobiła się napięta już latem 1943 roku, kiedy nowym komendantem Flugzeugführerschule został zasadniczy oberstleutnant Lothar Konimerski. Nie tolerował on dłuższych nieobecności pracowników pomocniczych, więc praktycznie musieli być zawsze pod ręką, aby wykonywać wszystkie wydawane polecenia. Surowa dyscyplina obowiązywała nie tylko w obrębie szkoły, ale w całej bazie. Powodem jej systematycznego zaostrzania było przeniesienie się wojennego teatru pod dość dotąd spokojne niemieckie niebo.

Od wiosny 1942 roku trwały naloty dywanowe RAF-u i USAAF-u na niemieckie miasta. W przeciwieństwie do pierwszych bombardowań Berlina przez lotnictwo brytyjskie w sierpniu 1940 roku, które nie spowodowały większych strat, naloty dywanowe zadawały infrastrukturze Rzeszy mocne ciosy. Obrona przeciwlotnicza i niemieccy piloci musieli teraz mierzyć się ze zmasowanymi atakami ciężkich bombowców, nowoczesnych myśliwców i dobrze wyszkolonych pilotów.

Rozpoczęła się seria niszczycielskich napaści na serce Niemiec, na Berlin. Wróg chciał wykluczyć Berlin jako ośrodek przemysłowy, ale przede wszystkim jako centrum dowodzenia. Ginęli cywile. Chciano obniżyć morale narodu niemieckiego i zmusić Hitlera do kapitulacji. Do Berlina skierowano najlepsze załogi obrony przeciwlotniczej, najlepszy sprzęt, a lotnictwo zorientowano na obronę stolicy.

Do Berlina wyjechała także kochanka Mara Fischera, Hilda Bodammer. Namiętność między nim a starszą od niego kobietą powoli wygasła. Pożegnali się serdecznie, ale bez dużego żalu. Mar zdziwił się więc swoją reakcją na powtarzające się doniesienia o stratach w załogach obrony przeciwlotniczej oraz wśród cywilnych mieszkańców Berlina. Zasmucił się i zmartwił. Był nawet gotowy poprosić o przeniesienie do stolicy, aby w ten sposób dowiedzieć się czegoś o losie Hildy. Oczywiście sam pomysł był głupi i niewykonalny.

W Bodenhagen największą sensację budziły krążące po bazie opowieści pilotów z III Dywizjonu 5 Pułku Myśliwców Nocnych. Dywizjon stacjonował w bazie od sierpnia 1943 roku i brał udział w obronie Berlina i innych miast północnych i środkowych Niemiec. Od pilotów myśliwców pochodziły niepokojące informacje o amerykańskich „latających fortcach”, czyli Boeingach B-17, wyposażonych w 12 karabinów maszynowych i zabierających prawie 5 tysięcy kilogramów bomb. Niektórzy z pilotów brali udział w wielkiej bitwie powietrznej stoczonej nad Berlinem w nocy z 23 na 24 sierpnia.

- Noc była pogodna i bezksiężycowa – przekazywał Mundek kolegom z baraku świeżo zdobyte gdzieś informacje. – Wyobraźcie sobie noc, nadlatujące najpierw samoloty tropiciele wskazujące cele czerwonymi markerami, potem prawie tysiąc bombowców i eskortujące je myśliwce. Teraz wkracza nasza obrona przeciwlotnicza. Berlin ma najlepszą z najlepszych. W niebo bije kilkaset reflektorów podążających za wrogimi samolotami. Za światłem idą salwy z dział przeciwlotniczych 128 milimetrów. Setki naszych myśliwców nocnych atakuje, robiąc niesamowite akrobacje nad Berlinem.

- A słyszeliście o Hansie-Joachimie Herrmanie? – zapytał najstarszy z grupy hiwisów Johanese Stobbe, którego syn Horst latał myśliwcem Fw-190F. – Mówią na niego Hajo. Hajo zorganizował pułk myśliwców nocnych JG300, który walczy nową techniką nazywaną Wilde Sau., Dzikie Świnie Jego pułk także brał udział w bitwie o Berlin. Walczą jak szaleni, prawdziwe dzikie świnie, a nie jakieś tam Zahme Sau, oswojone, naprowadzane na cel przez naziemne radary. Oni latają lekkimi jednosilnikowymi myśliwcami. Szarżują jak rozjuszony dziki. Nie potrzebują radarów, które w bitwie nad Hamburgiem zostały unieruchomione przez zrzucone przez wroga paski staniolu. Dzikie Świnie same sobie oświetlają cel racami. Oczywiście atakują też w świetle reflektorów, ale wykorzystują do ataku nawet światło płomieni buchających z palącego się bombowca.

- Ryzykanci i szaleńcy – podsumował wypowiedź Johanesa Mundek. – Żaden doświadczony pilot nie będzie się dobrowolnie narażał na śmierć i na zniszczenie sprzętu, a już z pewnością nie będzie lekceważył ognia naszej artylerii przeciwlotniczej. Kto chciałby być trafiony przez swoich?

- Mylisz się – odpowiedział stary Stobbe. – Taktyka Haio sprawdziła się. Stracili dziesiątki bombowców. Prawda, że działają ryzykownie. Wlatują w sferę naszego ostrzału przeciwlotniczego, a nie zawsze uda im się wystrzelić flarę, gdy wlatują w światło reflektorów. Ale straty poniesione na skutek własnego ognia są wpisane w działania przeciwlotnicze. Słyszałem od syna, że unikanie walki nad polem artylerii będzie uważane za tchórzostwo.

W baraku zapanowała krępująca cisza. Z jednej strony podziwiano odwagę pilotów, z drugiej wyniszczanie ludzi dla ideałów głoszonych w III Rzeszy uważano za nadużycie władzy.

W listopadową niedzielę 1943 roku Mar i Mundek wyrwali się – nielegalnie, ale z obietnicą krycia przez kolegów – na kilka godzin do karczmy w Henkenhagen, gdzie można było dobrze i tanio zjeść, a przy tym spotkać znajomych i pogadać o czymś innym niż o wojnie. Mar nie spodziewał się jednak, że wśród gości rozpozna kogoś, o kim już prawie zapomniał, a mianowicie komisarza, który zajmował się przypadkami samobójczych śmierci w nadmorskich lasach. Uznał, że jest to zrządzenie losu, bo nareszcie nadarzyła się okazja, aby pozbyć się ciężącej mu wiedzy. Nosił ją w sobie od dwóch lat. Nie chciał dzielić się nią z kimkolwiek, a starania, aby wyrzucić ją z głowy, zapomnieć, skutkowały jedynie na czas jakiś.

Spotkanie z komisarzem Kripo, który z zaangażowaniem i fachowością, jak teraz już wiedział Mar, prowadził dochodzenie, zapowiadało definitywne pozbycie się niechcianego ciężaru. Odważył się więc i korzystając z okazji, że komisarz odszedł od stolika, przy którym siedział z jakąś młodą kobietą, wstał także i zaczepił policjanta w sąsiedniej sali, aby nie zwracać uwagi kolegów. Komisarz, wyraźnie rozeźlony zaczepką, nie chciał jednak z Marem rozmawiać. Zamiast zainteresować się sensacyjnym doniesieniem, kazał mu stawić się w Kripo w Köslinie i złożyć oficjalne zawiadomienie. Dodał jednak, że i tak jest już za późno na wznowienie śledztwa.

Mar był rozczarowany. Przed dwoma laty dowiedział się, a raczej domyślił, kto był sprawcą domniemanych samobójstw. Komisarz Kripo nie powinien zlekceważyć żadnych informacji dotyczących prowadzonych śledztw, a ten nawet go nie wysłuchał. Wyglądało na to, że nie chce wracania do sprawy, boi czegoś lub kogoś, a propozycja złożenia oficjalnego doniesienia jest jedynie unikiem z jego strony.

- Pewnie ma rację – pomyślał, gdy wrócił do stolika, uspokoił się i zajął intensywnym piciem piwa, chcąc w ten sposób uniknąć pytań ciekawskich kolegów. – Na pewne sprawy jest już za późno. Muszę zapomnieć.

Zapominanie nie było trudne, bo okoliczności sprzyjały temu, aby myśleć jedynie o wykonywanych zadaniach, a te stawały się coraz trudniejsze i zabierały dużo czasu. W szkole zaczęło się szkolenie pilotażu nietypowego samolotu, a właściwie nietypowego zestawu składającego się z myśliwca Mistel S1 lub Mistel S2 i podczepionego pod nim bombowca Ju 88 naładowanego trotylem. Prace przygotowawcze do tego niebezpiecznego eksperymentu zaczęły się na długo przedtem zanim na szkolenie przybyli piloci z 7 eskadry KG200. Ciężkiej i nowej roboty nie brakowało. Panowała ogólna nerwowość i pośpiech. Kiedy

przybyli piloci, atmosfera jeszcze bardziej zgęstniała. Na szczęście, a może raczej na nieszczęście – trudno było komukolwiek oceniać tę nietypową sytuację, która z pilotów miała uczynić samobójców – eksperyment nie powiódł się i po dwóch miesiącach nerwowej harówki został zakończony.

Ułga, jaką odczuwał Mar i jego koledzy po wstrzymaniu eksperymentu, była jedynie chwilowa, bo przecież nie chodziło już tylko o ich własną sytuację. Kończył się rok 1944, od połowy którego wojska niemieckie toczyły ciężkie walki na dwóch frontach, wschodnim i zachodnim. Front zachodni zaistniał praktycznie dopiero w czerwcu 1944 roku po wylądowaniu wrogich sprzymierzonych armii w Normandii.

Pod koniec sierpnia tegoż roku, pod presją opuszczono Paryż. We wrześniu Belgię i Holandię. Zacięte walki trwały jeszcze w Ardenach, ale losy wojny były w zasadzie przesądzone. Od wschodu nadciągała horda sowiecka, której bali się żołnierze i która wzbudzała przerażenie wśród ludności cywilnej. Coraz częściej szeptano o licznych przypadkach dezercji, którą karano rozstrzelaniem. Coraz częściej także mówiło się w głębokiej tajemnicy o taktyce spalonej ziemi stosowanej na Ukrainie przez wycofujące się wojska niemieckie.

Do bazy lotniczej w Bodenhagen na początku lutego 1945 roku przybył pułk szturmowy Schlachtgeschwader 1 i stało się jasne, że zaczęto przygotowania do ewakuacji. Najpierw ewakuowano sztab. Złym znakiem było to, że jeden z myśliwców eskortujących wpadł do kanału portowego w Kolbergu. Podobno został zestrzelony. Nie wiadano przez kogo. Przez Sowietów, czy przez swoich.

Wśród hiwisów zapanowało przygnębienie, bo był to myśliwiec pilotowany przez Horsta Strobbe. Szans na przeżycie nie miał ani pilot ani mechanik. Zniknął także członek ich grupy, ojciec Horsta, Johanes Strobbe. Podobno także zginął w tym wypadku i był jego prawdziwą przyczyną, gdyż syn zabrał go na pokład praktycznie jednoosobowego samolotu, wciskając za fotel pilota. Żałowano ich, ale z umiarem, bo uświadamiano sobie, że tych, którzy pozostali w bazie także czeka okrutny los.

Lotniska broniła okrojona w składzie bateria przeciwlotnicza „Frense” - część załogi przeniesiono do Kolbergu, skąd ewakuowano statkami ludność cywilną i wojsko – oraz grupą niszczycieli czołgów „Horst”.

Mar i koledzy, wymęczeni pracami ewakuacyjnymi, pomagali teraz wysadzać pasy startowe i budynki techniczne. Nikt już nie wierzył w skuteczną obronę. Chodziło jedynie o opóźnienie marszu Armii Czerwonej na Kolberg, do którego wycofała się w ostatniej chwili także załoga pozostała w Bodenhagen.

Wycofywano się w zupełnym chaosie. Mar miał nadzieję, że uda mu się dotrzeć do rodziców i wraz z nimi dostać się do Kolbergu. Było jednak za późno. W Bauerhufen i w całym nadmorskim pasie rządzą już Rosjanie. Mar bał się myśleć o tym, jaki los spotkał matkę i ojca. On i Mundek dotarli do Kolbergu 6 marca. Szli do Kolbergu plażą w tłumie obciążonych bagażami uciekinierów. Szalała marcowa śnieżycą.

- Za późno ogłoszono ewakuację ludności cywilnej – powtarzał w drodze Mundek. – Za późno. Zobacz te matki z małymi dziećmi. Nie dojdą do celu.

Istotnie, część uciekinierów - głównie kobiety z gromadką dzieci i starzy ludzie - osłabła. Stali wzdłuż brzegu i czekali na pomoc. Od czasu do czasu podpływały bowiem do brzegu kutry i łodzie. Tłum rzucał się do nich. Walczono o miejsca. Panika wszystkim odbierała rozsądek.

- Nie wiadomo, co gorsze – przyszło do głowy Marowi – ucieczka w popłochu, czy spokojne czekanie na sowietów we własnym domu. Przecież to też są ludzie. Oszczędzą kobiety i dzieci.

Nie chciał w tym tłumie zmokniętych, przemarzniętych i oszalałych ze strachu ludzi zobaczyć swoich rodziców.

- Trzeba było uciekać, kiedy jeszcze jeździły pociągi – perorował jakiś starszy, ledwo dyszący człowiek, zwracając się do młodej kobiety. – Teraz jesteśmy straceni. Ostatni pociąg do Stettina odjechał dwa dni temu. Dobrze, że wsadziłem do niego synową z dziećmi. Są już bezpieczni.

- Panie! – zaprotestowała około czterdziestoletnia kobieta w przemoczonym futrze. – Szwagier pracuje na kolei. Mówił, że sowieci wysadzili tory i zniszczyli lokomotywę. Ludzie z pociągu z tobołami szli plażą w stronę lotniska Kamp. Tak samo jak my!

- Ale mieli jeszcze szansę, że zabiorą ich wodnosamoloty! – bronił swego optymizmu starszy mężczyzna.

Jego optymizm był w pewnym stopniu uzasadniony, bo jak się później okazało, ewakuacja z lotniska Kamp trwała podobno jeszcze 10 marca i odbywała się we wprowadzonej przez wojsko dyscyplinie. Do samolotów wsiadano bez bagaży. Z trudem przytaszczone rzeczy składano na ogromnej stercie. Piętrzyły się na niej walizki, rowery, wózki dziecięce i towarowe, a obok sterty stały pozostawione przez rolników wozy zaprzężone w konie. Wodnosamoloty Do-24 w godzinę dolatywały do bazy lotniczej Parow położonej 7 kilometrów na zachód od Stralsundu.

Mar z Mundkiem weszli do Kolbergu 6 marca wieczorem od strony miejskiego lasu. Śnieg nadal padał. Niebo rozświecłały łuny pożarów i wystrzeliwane przez rosyjską artylerię pociski. Milczący tłum zmierzał w stronę portu. Z ulic dochodzących z lewej dołączały grupy mieszkańców i uciekinierów z sąsiednich wsi. Mar szukał wzrokiem znajomych twarzy, ale zapadły ciemności, w których słychać było jedynie monotonny szum tysięcy nóg i rozrywające się w centrum miasta pociski. W ciemności dotarli do portu, gdzie oświetlenie także było ograniczone.

Usiedli w pierwszym lepszym miejscu, gdzie to było możliwe i, zasypiając i budząc się gwałtownie, przetrwali do rana. Śnieżyca ustała, a niestopniały przez noc śnieg przykrywał litościwie rozrzucone wszędzie ludzkie szczątki. Tłum, depcząc po nich i nie zważając na ostrzał artyleryjski, rzucił się do łodzi desantowej, która podpłynęła do nabrzeża o świcie, aby przewieźć ludzi do oczekujących na pełnym morzu statków. Pierwszeństwo miały kobiety z dziećmi.

- Wycofajmy się z tłumy – zaproponował Mundek. – Wydostańmy się na plażę na zachód od portu. Może zdobędziemy jakąś łódź, albo ktoś nas zabierze. Tu nie mamy szans.

Udało się. Przeczekali na plaży cały dzień i następną noc. 8 marca znów rozszalała się śnieżyca. Nad samym ranem, gdy jeszcze morze było spokojne, zabrała ich łódź wiosłowa, w której siedzieli dwaj młodzi mężczyźni. Wyglądali na przebranych w cywilne ciuchy żołnierzy. Mar i Mundek zdali sobie sprawę z tego, że i oni mogą być wzięci za dezertów. Ale nikt nikogo o nic nie pytał. Dopłynęli do statku i zostali zdjęci z łodzi w ostatniej chwili. Rozszalał się sztorm.

Dostali się na statek „Winrich von Kniprode”, który przyplął do Kolbergu z uciekinierami z Danzigu. Wraz z kilkoma tysiącami szczęśliwców, którym udało się wejść na pokład, Mar i Mundek czekali w metalowym wnętrzu ładowni na ustanie sztormu i wypłynięcie.

- Miasto płonie – donosili ci, którym udało wydostać się na pokład z metalowej zatłoczonej puszki. – Rosjanie już tam są.

„Winrich von Kniprode”, dawniej francuski statek pasażerski, wypłynął z portu w Kolbergu 9 marca i po godzinie rejsu stanął. Zabrakło węgla. Pasażerowie, którym już zaświtała nadzieja na uratowanie życia w większości wpadli w apatię. Mar i Mundek uciekli z ładowni na pokład. W ładowni smród stał się nie do zniesienia, bo większość z uciekinierów dostała morskiej choroby. Młodzi mężczyźni, nie wierząc już w możliwość ratunku, chcieli zginąć na pokładzie. Woleli wdychać przed śmiercią morskie powietrze przypominające im dobre czasy w rodzinnych nadmorskich wsiach.

- Nie mamy żadnych szans. Jesteśmy celem łatwiejszym niż „Wilhelm Gustloff” czy „Steuben” – stwierdził stoicko Mar, gdy skryli się za szalupą ratunkową na prawej burcie dolnego pokładu.

Usiedli. Obserwowali niebo i morze. Nad ich głowami buczały sowieckie samoloty szturmowe i bombowce lecące na Kolberg i Swinemuende, a w oddali widać było okręty sowieckiej marynarki.

- Jestem piekielnie głodny – oświadczył nagle Mundek, ale zaraz zamilkł.

- No tak – pomyślał Mar. – Śmierć na głodniaka jest trudniejsza. Przecież nawet skazańcy dostają ostatni posiłek.

Usłyszeli ciche kroki na pokładzie - to nie mógł być nikt z załogi – i usłyszeli szept.

- Mogę do was dołączyć? Nie chcę zdychać sam.

Mar wychylił się i ku swemu zdziwieniu zobaczył Theodora Bergera, który stał przy szalupie dygocząc z zimna. Mar osłupiał. Przecież to właśnie Theodora Bergera podejrzewał o straszne zbrodnie, o wieszanie ludzi w imię jakichś niesamowitych bredni wyprowadzanych z kart tarota. Zrozumiał sens owych bredni i ich wpływ na mordercze zachowania Bergera dopiero po tym, kiedy zobaczył go pewnego dnia 1941 roku w nadmorskim lesie pomiędzy Bauerhufen i Sorenbohm.

Berger ostrym narzędziem wycinał jakiś znak na pniu tego samego drzewa, na którym znaleziono wiszącą Emmę Ackermann. Mar zszedł ze ścieżki i ukrył się w zaroślach. Kiedy tamten skończył swoje dzieło i odszedł na bezpieczną odległość, zbliżył się do drzewa śmiejąc się w duchu, ponieważ sądził, że znajdzie na nim wyryte serce z dwoma inicjałami.

Zakochani chłopcy często wycinali na korze drzew swe miłosne wyznania, których często nie mieli odwagi wypowiedzieć przy dziewczynie. Ale na drzewie nie było ani serca, ani inicjałów, lecz krzyż wpisany w okrąg i szubienica w kształcie wielkiej litery T.

Wtedy Mar Fischer przypomniał sobie, z jaką pasją, znawstwem i zacięciem Berger mówił o 12. Wielkim Arkanie, Wisielcu. Jak podkreślał, że Wisielec to kara i ofiara, która wzmacnia tego, kto go kontempluje, pozwalając mu także na uwolnienie się od win popełnionych przez przodków. I wtedy zrozumiał sens morderczych działań Bergera. Teo mścił się za winę i krzywdę matki, za jej związek z Rosjaninem, za to, że on, niechciany owoc tego związku, musiał dźwigać piętno obcego. A więc Berger, jak każdy morderca, wrócił na miejsce zbrodni i znów napawał się zemstą, wycinając tajne znaki na drzewie.

Po tym odkryciu Mar odczuwał wielką potrzebę podzielenia się straszną wiedzą z kimś, kto mógłby wymierzyć mordercy sprawiedliwość. Nie udało się, a teraz morderca, wychudzony i obdarty, stał przed nim i prosił o przywilej wspólnej śmierci.

- Włóż tu do nas – Mar usłyszał za plecami głos Mundka, który, zaciekawiony jego długim milczeniem, także wyjrzał zza szalupy.

– Masz coś do jedzenia? – zapytał Mundek Bergera z wyraźną nadzieją w głosie, gdy tylko ten wszedł za szalupę i usiadł.

- Mam paczkę sucharów - odpowiedział Teo. – Trzymałem na czarną godzinę, ale ona teraz nadeszła.

Siedzieli w milczeniu i gryźli suchary. Mar, nadal oszołomiony, miał w głowie mętlik i nie mógł ani pozbierać myśli, ani zareagować. Jedyne co sobie uświadamiał to to, że przyjemnie jest trzymać długo w ustach kawałek suchara, czekać aż rozmięknie, da się pogryźć i połknąć.

Czas mijał. Zapadła noc i nic się nie wydarzyło. Śmierć nie nadeszła. Ich statek wydawał się niewidzialny dla wroga. Wleźli pod szalupę i przytuleni do siebie dotrwali do świtu.

- Leżę przytulony do mordercy i nic strasznego nie czuję, właściwie czuję tylko ciepło – myślał leniwie Mar, leżąc między Teo a Mundkiem. – Zresztą co za różnica w takiej lub innej śmierci. Otto i Emma byli młodzi, kiedy umierali, ale przynajmniej nie musieli tak jak my przeżywać koszmaru wojny. My też jesteśmy młodzi. Nasza młodość została bezpowrotnie zniszczona i splugawiona i zakończy się straszną śmiercią w lodowatym morzu.

O świcie, zmarznięci i zdziwieni, że jednak jeszcze żyją, postanowili zejść do śmierdzącej ładowni, aby ogrzać się w panującej tam duchocie. Sucharki były ich ostatnim posiłkiem. Cienką zupę wydzielano teraz już tylko dzieciom. Mijał trzeci dzień postoju na pełnym morzu.

Trzej młodzi mężczyźni, pomimo przejmującego zimna, najchętniej przebywali na pokładzie. Do ładowni wracali tylko po to, aby się ogrzać i przespać. Zobojętnienie na śmierć przeszło w irytację. Irytujące było bowiem to, że trzeba na śmierć zbyt długo czekać w zimnie i głodzie.

- Gdybym był w lesie, to bym się powiesił. Chyba to lepsze niż śmierć głodowa, utonięcie czy rozszarpanie pociskiem – rzekł ponuro Mar patrząc Bergerowi prowokująco prosto w oczy.

- Podobno śmierć przez powieszenie na właściwie zrobionej pętli nie boli, a nawet może na chwilę przed utratą przytomności sprawić przyjemność – odpowiedział Teo, nie odwracając wzroku.

- To dlaczego jeszcze się nie powiesiłeś? – zaczepnie zapytał Mar.

- Przestańcie! – krzyknął Mundeck.

Zamilkli i usłyszeli hałas silnika. Do „Winricha von Kniprode” zbliżała się jednostka, mniejsza od ich statku, ale, co należało uznać za prawdziwy cud, pod banderą Krigsmarine. Wypłynęła im na ratunek z portu Swinemünde. Zabrała na pokład tylko tych, którzy zdołali przejść na nią w ciągu dziesięciu minut. Mar, Mundeck i Teo byli wśród tych, którym ten czas wystarczył. Wysiedli w Swinemünde, a po kilku dniach dopłynął tam także „Winrich von Kniprode”, któremu innym jednostkom udało się dostarczyć węgiel i żywność.

W Swinemünde Teodor Berger zniknął tak samo niepostrzeżenie jak się wcześniej pojawił. Edmund Jakusch postanowił zostać w jeszcze niemieckim mieście, a Mar Fischer dołączył do uciekinierów i przedostał się w głąb Niemiec.

10. Powrót



Przyjeżdżając do Polski z darami z Niemiec Mar Fischer po raz pierwszy w życiu zobaczył Köslin, noszący teraz nazwę Koszalin. Nie mógł więc powiedzieć, że nie poznaje tego miasta, choć z pewnością nie przypominało ono miasta przedwojennego. Köslin, mówiono podczas męczącej drogi z Zachodnich Niemiec przez Niemcy Wschodnie do Polski, został prawie całkowicie zniszczony podczas działań wojennych.

Dary przywieźli do klasztoru franciszkanów. Klasztor oraz prowadzony przez zakonników kościół zbudowano w ostatnich latach. Były to budowle obszerne i praktyczne, ale wykonane według skromnych i oszczędnych projektów architektonicznych.

- Niewiele zostało z dawnego Koszalina – opowiadał niemieckim gościom przy kolacji zakonnik mówiący po niemiecku. – Rosjanie spalili miasto podczas tak zwanego wyzwania, a i później zniszczyli starą zabudowę, bo kręcili film propagandowy o zdobyciu Köslina po ciężkich walkach, których podobno tu nie było. Ale czterdzieści procent dawnego miasta przestało istnieć. W tym ładny stary dworzec i ratusz. Teraz mamy zabudowę głównie z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Nie jest ona zbyt piękna. Ale polecam czternastowieczną katedrę. Przetrwała wszystkie klęski i zachowała dawną formę.

Następnego dnia Mar odwiedził katedrę, przeszedł się główną ulicą miasta i wrócił do klasztoru szeroką arterią komunikacyjną, która prowadziła obok klockowatego dworca kolejowego. Miasto nie podobało mu się i nie budziło w nim żadnych dobrych wspomnień. Zastanawiał się natomiast, gdzie mieściła się przed wojną siedziba Policji Kryminalnej i Gestapo, do której nigdy nie dotarł. Nie zdobył się jednak na odwagę, aby zapytać o to

niemieckojęzycznego polskiego franciszkanina, któremu obie nazwy nie mogły dobrze się kojarzyć.

- Ciekawe, do stało się z komisarzem, który zajmował się wisielcami – myślał, idąc w stronę dworca kolejowego. – No cóż, Kripo ewakuowało się odpowiednio wcześniej, więc pewnie przeżył, wyjechał do Niemiec razem ze swoją młodą kochanką, która go zapewne wkrótce opuściła, i umarł spokojnie w domowych pieleszach albo w domu opieki.

Z placu przed dworcem odjeżdżał autobus miejski numer jeden, który kursował z Koszalina do Mielna i Unieścia. Fischer miał jeszcze dwa dni do zaplanowanego powrotu do Niemiec, a ponieważ nie mieszał się do tajemniczych spotkań, które po rozpakowaniu ciężarówki z darami odbywali jego bardziej doświadczeni w pomocowej robocie koledzy, mógł je wykorzystać w dowolny sposób.

Postanowił dojechać autobusem miejskim do Mielna, dawnego Grossmölen - w którym podobnie jak w Koszalinie nigdy przedtem nie był – a potem przejść lasem i plażą do Bauerhufen, czyli do Chłopów i do Sorenbohm, dziś nazywającego się Sarbinowo. W Sarbinowie miał czekać na niego umówiony przez uczynnego franciszkanina ksiądz z Łękna i zaprowadzić go do zaprzyjaźnionej rodziny na nocleg.

Mar zabrał ze sobą ciężki plecak wypełniony deficytowymi w Polsce produktami, aby je ofiarować pomocnym mu osobom, i ruszył w drogę.

Mar Fischer spędził w Mielnie zaledwie godzinę. Wysiadł w centrum, poszedł główną ulicą przed siebie, doszedł do jeziora, zawrócił i po kilkunastu minutach dotarł do zakrętu, od którego odchodziła w prawo droga prowadząca nad morze i z którego widać było skraj nadmorskiego lasu.

Pomyślał, że na początku ulicy powinien trafić na leśną ścieżkę, którą dojdzie do Mielenka, Chłopów i wreszcie do Sarbinowa. Serce biło mu mocniej, gdy wszedł na ścieżkę i po dwudziestu minutach marszu minął widoczne w pewnym oddaleniu zabudowania Mielenka. Zbliżał się szybko do miejsca swego urodzenia, dzieciństwa i wczesnej młodości, do Chłopów. Do głowy zaczęły mu napływać dziwne myśli. Był tak wzruszony, że nie bronił się przed nimi.

- Może we wsi zobaczysz rodziców. Dobrze przyglądaj się bardzo starym ludziom – mówiło coś w nim.

Albo:

- Wszystko będzie jak dawniej. Czas tu się zatrzymał. Wejdź najpierw do Astorii i kup kilka ciastek, a potem przejdź przez wieś i pozdrów znajomych. Zamień z każdym kilka słów i powoli dojdź do waszego obejścia. Zapukaj w okno od strony ulicy i poczekaj, aż uchyli się zasłonka i przez okno wyjrzy matka, rozpozna cię i z płaczem radości pobiegnie otworzyć ci drzwi.

Fischer wiedział, że nic podobnego nie może się zdarzyć, a jednocześnie liczył na cud powrotu do przeszłości.

Przed wejściem do wsi zatrzymał się pod starym dębem, zdjął plecak, rzucił na trawę i, uwolniony od ciężaru, obszedł drzewo dookoła, przyglądając się uważnie pniu. Szukał znanych sobie znaków. Znaków nie było. Nie wiedział dlaczego w ogóle przyszło mu do głowy, że Theodor Berger wyrył okrąg z krzyżem oraz literę Tau nie tylko na drzewie Emmy, ale także na dębie, na którym pół wieku temu zakończył życie Otto Mauer.

Od ujrzenia pierwszych zabudowań wsi zrozumiał, że powrót do przeszłości byłby możliwy jedynie we śnie. Budynek hotelu Astoria zszarzał i całkowicie stracił dawny blask. Ogród z alejkami, gazonami i altanką zniknął, a w jego miejsce pojawiły się betonowe płyty.

Podszedł do budynku. „Ośrodek Wczasowy FWP” głosił napis na metalowej tablicy. Fischer przez kilka minut stał przed dawnym hotelem wzbudzając ciekawość kilku osób krzątających się na terenie Ośrodka. Powoli dochodził do siebie, a kiedy oprzytomniał, ruszył drogą przez wieś. Znane mu chałupy o konstrukcji szachulcowej przetrwały. Rozpoznał siedzibę sołtysa, budynek szkoły, zaglądał do obejść, zatrzymał się dłużej przed rodzinnym domem, ale odszedł zasmucony, bo przygnębił go widok powszechnego zaniedbania. Czas nie zatrzymał się, ale parł naprzód i cierpliwie niszczył to, czego nie chroniła przed nim mozolna ludzka praca.

- Kto jest winny? – zastanawiał się - Ludzie czy ustrój?

- Prawdopodobnie i ludzie i ustrój – odpowiedział sam sobie.

Dotarł do ronda na końcu wsi, gdzie asfaltowa droga skręcała w lewo, prowadząc do szosy łączącej Sarbinowo z Mielnem, a droga przez wieś przechodziła w leśny dukt, idący wzdłuż morskiego brzegu do Sarbinowa. Był to ten sam dukt, którym dzieci z Bauerhufen chodziły do wyższych klas do szkoły w Sorenbohm, którym w niedzielę szło się na nabożeństwa i którym Emma Ackermann zdążyła do pracy w ów feralny dzień wiosną 1935 roku.

Po lewej stronie ronda Mar Fischer zobaczył przystanek autobusowy z podniszczoną wiatą i ławeczką, a po prawej sklep spożywczy. Na ławeczce siedział zabrudzony osobnik w średnim wieku. Miał na sobie kufajkę i walonki. Patrzył przez rondo na drzwi sklepu. Te otworzyły się i wyszedł z nich starszy, ale dobrze ubrany mężczyzna. Przyciskał do piersi dwie butelki piwa i zmierzał przez rondo prosto do siedzącego na ławeczce osobnika.

Fischer wszedł najpierw do sklepu, kupił butelkę wody mineralnej, pokazując ją bez słowa ekspedientce palcem, a następnie, odprowadzony zaciekawionym spojrzeniem kobiety, która rozpoznała w nim cudzoziemca, poszedł w stronę przystanku autobusowego.

- Dzień dobry – zwrócił się po polsku do siedzących na ławce mężczyzn i gestem dał im do zrozumienia, że potrzebuje pomocy, aby zdjąć z butelki kapsel.

Młodszy z mężczyzn zerwał się i sprawnie otworzył butelkę, wykorzystując krawędź betonowego śmietnika.

- Bitte – powiedział z uśmiechem, podając ją Fischerowi.

Starszy popijał swoje piwo i zdawał się nie zwracać uwagi na nieproszonego gościa.

- Od dawna pan tu mieszka? – Mar zwrócił się właśnie do niego, a pytanie zadał po niemiecku, bo miał dziwną pewność, że mężczyzna zna ten język.

Nie mylił się. Starszy człowiek spojrzał na niego uważnie, uśmiechnął się, pokazując zadziwiająco zdrowe i pełne uzębienie, i powiedział:

- Od zawsze.

- To mieszkał pan w Chłopach jeszcze przed wojną? – Mar zadał następne pytanie z nieukrywanym podnieceniem i nadzieją w głosie.

- Tak. Poznaję ciebie. Jesteś Mar Fischer, jeśli się nie mylę – stwierdził spokojnie tamten. – Masz takie same gęste włosy jak dawniej, ale posiwiłeś.

- Trochę mi się jednak przeredziły – odpowiedział bezwiednie Mar, całkowicie zaskoczony rozpoznaniem.

Drugi z mężczyzn uważnie słuchał wymiany zdań, ale z jego twarzy można było wyczytać, iż niewiele z niej rozumie. Jego znajomość niemieckiego najwyraźniej ograniczała się do kilku typowych słów: „tak”, „nie”, „proszę”, „stać” i „ręce do góry”.

- Mundek! – zawołał zniecierpliwiony – Co to za szwab! O co pyta? Zabłądził?

- Edmund Jakusch!? – wykrzyknął jeszcze bardziej zaskoczony Fischer.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, że mężczyzna trzyma butelkę piwa w lewej dłoni, a prawą schował w kieszeni.

- Teraz to nazywam się Edmund Jakusz – odpowiedział tamten, nie zwracając uwagi na zadającego pytania kolegę.

Mar Fischer nie uchwycił różnicy w nazwisku Mundka. Brzmiało tak samo. Stał osłupiały i milczał, przyglądając się staremu uważnie. Z jego oczu biło niedowierzanie, bo nie znajdował w tym człowieku podobieństw do Mundka, którego tak dobrze znał przed wielu laty.

- Co się tak gapisz!? – domniemany Edmund Jakusch, wyraźnie rozeźlony, ociężale wstał z ławeczki, wyprostował się z trudem i rozkazującym tonem rzucił w stronę Mara:

- Kup cztery piwa. Pójdziemy do mnie. Trzeba pogadać o starych czasach.

Wyjął z kieszeni prawą rękę, podał bez słowa wyjaśnienia swojemu towarzyszowi. Dłoń pozbawiona była kciuka i palca wskazującego.

Edmund Jakusch vel Jakusz mieszkał w dawnym pensjonacie położonym tuż za Chłopami przy leśnym dukcie wiodącym do Sarbinowa. Budynek miał trzykondygnacyjną murowaną część centralną oraz dwukondygnacyjne boczne skrzydła z drewnianymi galerijkami. Zamieszkiwały go liczne rodziny, na co wskazywały sznury z suszącymi się ubraniami oraz ustawione na podwórzu liczne szopki. Zza otwartych okien dochodziły odgłosy głośnych rozmów, pokrzykiwań i kłótni.

- Wolna sobota – wyjaśnił Edmund Marowi. – Ludzie nie mają co robić, to piją i kłócą się. Trudno wytrzymać duże zagęszczenie. Zagęszczenie wyzwala agresję. Niektórzy lokatorzy jeszcze nie wytrzeźwieli po świętach.

- Moje wejście jest na tyłach – powiedział, idąc wąskim przejściem za budynek.

- Pożytek z tego taki, że nikt inny z mojego wejścia nie korzysta. Mam święty spokój – uśmiechnął się do swojego gościa.

Mar Fischer, który jeszcze nie ochłonął z mocnego wrażenia, jakie na nim zrobiło to nieoczekiwane i bardzo dziwne spotkanie po latach, zdał sobie sprawę z tego, że Edmund Jakusch zachowuje się tak, jakby te lata ich nie dzieliły. Nie widać po nim było ani zdziwienia, ani zaskoczenia, ani niechęci, ani radości.

Pomieszczenie, do którego weszli trudno było nazwać mieszkaniem. Był to duży i ciemny o tej porze dnia pokój z dwoma oknami. Jedno wychodziło na zachód, a drugie, umieszczone blisko drzwi wejściowych prowadzących bezpośrednio na zewnątrz, na północ. Przez oba widziało się nadmorski las. W pokoju panował zadziwiający porządek.

Edmund wskazał Marowi krzesło przy stojącym na środku pomieszczenia stole nakrytym ładnym czystym obrusem w kolorową kratę, a sam podszedł do wnęki, w której zamontowano elektryczną dwupalnikową kuchenkę, półki na naczynia, mały przykryty ceratą kuchenny stolik i kran ze zlewem.

- Zrobię nam mocnej herbaty – powiedział, nie odwracając się do gościa. – Przyda nam się bardziej niż piwo.

Mar Fischer rozglądał się po praktycznie urządzonym pokoju, czystym, bez śladów bałaganu i zaniedbań: łóżko przykryte bordową kapą, nad łóżkiem barwny kilim z pejzażem przedstawiającym zalesiony brzeg jeziora i pijące wodę stadko jeleni, przeszklony kredens z zdekompletowaną porcelanową zastawą, zdobiona trzydrzwiowa szafa z dużym lustrem w drzwiach środkowych, zgrabny okrągły stół na jednej grubej rzeźbionej nodze, a przy nim cztery wyściełane wytartym zielonym aksamitem krzesła. Wszystkie te drewniane solidne meble musiały pochodzić z przedwojennych czasów i należeć do dawnych mieszkańców Pomorza. Na jednym z krzeseł Fischer usiadł i zaczął uważnie przyglądać się gospodarzowi.

- Chyba mieszka z kobietą. Mężczyzna rzadko dba o porządek – pomyślał.

Wciąż czuł się oszołomiony nieoczekiwanym spotkaniem, odmienionym wyglądem Edmunda oraz wysuniętą przez niego propozycją rozmowy w cztery oczy. Nie znajdował więc w sobie siły na zadawanie jakichkolwiek pytań.

- Ale łóżko ma pojedyncze. A więc, jednak mieszka sam – stwierdził, gdy kolejny raz rozejrzał się po pokoju.

Znów przyglądał się odwróconemu do niego plecami dawnemu koledze. Ten wyjął z kuchennej szafki dwie szklanki, osadził je w metalowych uchwytach i wsypał do każdej po czubatej łyżeczce herbaty, którą wydobył z metalowego pudełka. Nadal stojąc tyłem do gościa, czekał na zagotowanie się wody w postawionym na płycie kuchenki czajniku.

Kiedy wreszcie odwrócił się, czując zapewne na sobie wzrok Mara, nie robił już wrażenia człowieka przytłoczonego wiekiem. Stał wyprostowany z podniesioną głową i parzył na

Fischera spokojnym wzrokiem, takim samym, jakim kiedyś patrzył młody Edmund Jakusch. Zdumiewająca była ta nagła przemiana. Wywołała w Fischerze lekki niepokój.

- Jak się tu znalazłeś po wojnie? - zapytał, aby przerwać krępującą ciszę i zagłuszyć w sobie zaniepokojenie.

- Ze Swinemünde przedzierałem się na wschód pod prąd frontu. Zajęło mi to ponad miesiąc. Ukrywałem się po drodze u dobrych ludzi – odpowiedział gospodarz, stawiając na stole dwie szklanki z parującą herbata.

– Zamieszanie było straszne. Ludność niemiecka miała już odcięte drogi ucieczki, a polscy cywile zaczęli zajmować teren. Żadnej władzy, samowolka straszna. Napady, grabieże, głód i bezprawie. Prawdziwa dżungla. Tylko silniejsi przetrwali – kontynuował wypowiedź, siadając przy stole.

- A ty byłeś wśród nich, tych silnych? – ni to zapytał, ni stwierdził Fischer, odzyskując powoli spokój.

- Tak, byłem silny – twardo stwierdził Jakusch.

Wstał i odszedł w stronę kredensu.

Wyjął kryształową cukiernicę ze srebrną ozdobną łyżeczką, wrócił do stołu i usiadł.

- Słodzisz? – zapytał. – U nas, to znaczy w Polsce, cukier od dawna kupuje się na kartki. Zresztą wszystko kupuje się na kartki. Pewnie o tym wiesz, skoro tu jesteś. Przyjechałeś z darami?

Fischer skinął głową i podniósł się. Chciał wyjąć z plecaka, który zostawił przy drzwiach, jakiś produkt. Nie pamiętał już, co tam mu włożono. Jakusch zatrzymał go ruchem ręki.

- Siadaj – poprosił. – Niczego mi nie potrzeba. Dasz innym. Dokąd zmierzasz? Domyślam się, że do Sarbinowa.

Gość znów potwierdził skinieniem głowy i na powrót zajął miejsce przy stole.

- Byłem silny – gospodarz podjął porzucony przed chwilą watek. – Ale nie byłem sam. Było wielu silnych honorowych ludzi wśród cywilów, żołnierzy Wehrmachtu i żołnierzy SS. Dołączały do nas młode kobiety. Nie mieliśmy już nic do stracenia, a nienawiść do Rosjan, którzy tu rządili przez kilka miesięcy aż kipiała. Najwięcej nienawiści było w kobietach, bo odebrano im cnotę, kobiecą cześć, honor, dom i najbliższych.

Jakusch zamilkł, popatrzył na gościa znad szklanki z herbatą i zapytał:

- Wiesz, co to jest wilczy hak?

Fischer nie odpowiadał.

- A więc nie wiesz – stwierdził gospodarz. – Nie byłeś członkiem Werwolfu. No tak. Nie należałeś do naszej wiejskiej komórki. Nie brałeś także udziału w szkoleniach sabotażu, które odbywały się w Bodenhagen. Wiesz, miałem wtedy nadzieję, że należysz jednak do Werwolfu, do jakiej innej niż ja komórki. Ale nie. Ty byłeś zwykłym dekownikiem. Dlatego stąd uciekłeś. Ja zostałem. Mieliliśmy ważne zadania do wykonania. Próbowaliśmy walczyć o naszą własność. Podtrzymywaliśmy na duchu tych, którzy tu zostali. Dawaliśmy im nadzieję, że znów będą u siebie. Wielu zostało i próbowało sobie radzić zanim zaczęto wysiedlenia. Robiliśmy co w naszej mocy, aby siać postrach wśród wrogów i uniemożliwiać im zagnieżdżanie się nie na swoim terenie. Ale ostatecznie zostaliśmy sami. Zdradzili nas tchórzliwi politycy.

Wzrok Jakuscha stał się surowy, a w głosie wybrzmiewała nieukrywana pogarda. Fischer zdał sobie sprawę z tego, że ta pogarda obejmuje także jego.

- Nie wiedziałem, że należysz do struktur sabotażu – powiedział wolno i, aby zmienić temat rozmowy oraz nastawienie gospodarza, zapytał:

- Ale dlaczego ostatecznie nie wyjechałeś? Dlaczego nie zostałeś wysiedlony razem z innymi?

Odpowiedź, którą usłyszał zadziwiłaby go jeszcze bardziej, gdyby jego zadziwienie wcześniej już nie sięgnęło zenitu. Czuł, że znów z ledwością utrzymuje zdolność do w miarę trzeźwego myślenia. Odpowiedź brzmiała:

- Zostałem, bo miałem tu robotę do wykonania. Przerobiłem się na Polaka, bo od dzieciństwa dobrze mówię po polsku. Moja babka była Polką. Wychowywała mnie do szóstego roku życia.

- Miałeś robotę do wykonania? Jaką robotę? – zapytał Fischer, czując coraz większe otępienie. – Zostałeś niemieckim szpiegiem?

- Nie twoja sprawa – ostro i krótko odpowiedział dawny kolega.

Długo milczeli, nie patrząc jeden na drugiego. Popijali herbatę, aby zająć czymś ręce i trochę złagodzić napiętą atmosferę.

- A tobie jak się w życiu udało? Masz rodzinę? – pierwszy odezwał się Edmund łagodnym głosem. – Pracujesz?

Mar Fischer chętnie zgodził się na tę oczywistą propozycję rozejmu i pokrótce opowiedział historię swojego życia. Gospodarz słuchał, kiwał głową, ale wyglądało na to, że myślami jest gdzieś daleko.

- A ty ułożyłeś sobie życie? – zapytał Mar, choć nie spodziewał się usłyszeć wyczerpującej opowieści o powojennym życiu Jakuscha.

Nie pomylił się, bo ten tylko stwierdził:

- Jakoś się układało. Raz lepiej, raz gorzej.

- Czy wiesz, co stało się z moimi rodzicami? – Mar odważył się wreszcie zadać najważniejsze dla niego pytanie. – Szukałem ich długie lata przez Czerwony Krzyż. Bezskutecznie.

Bał się odpowiedzi. Nie chciał usłyszeć, że cierpieli, że zostali zastrzeleni, a ich ciała pozostawiono bez pochówku na pastwę zwierząt i ludzi.

- Kiedy dotarłem do Bauerhufen twoich rodziców już tu nie było. Mojej rodziny zresztą także nie było. Podobno wraz z innymi, którzy nie chcieli uciekać przed frontem, chowali się po piwnicach. Jeszcze na początku kwietnia ktoś ich widział. Byli zmęczeni, głodni i wystraszeni. Tak jak wszyscy. Potem gdzieś zniknęli – brzmiała sucha odpowiedź.

- A więc już nigdy nie dowiem się, co ich spotkało – pomyślał Mar, otrząsnął się trochę z otępienia i, odzyskawszy pewność siebie, zadał niewygodne pytanie:

- Nie uważasz, że nas Niemców spotkała zasłużona kara za wojenne zbrodnie, że nie możemy żalić się na los, który spotkał nas i naszych bliskich? Sami sobie ten los zgotowaliśmy.

Edmund pokiwał głową, ale nie wypowiedział ani jednego słowa.

- Muszę już iść. Czekają na mnie w Sarbinowie – Fischer wstał i wyciągnął dłoń do gospodarza.

- O, to masz tam znajomych – zdziwił się Jakusz. – Nowych czy dawnych?

- Czeka na mnie ksiądz katolicki. Nie znam go. Ma mi załatwić nocleg. Poprosił go o to jeden z zakonników z Koszalina. Przywieźliśmy dary do klasztoru franciszkanów w Koszalinie. Przenocuję w Sarbinowie, a jutro pojadę do Kołobrzegu. Chcę zobaczyć to miasto, którego cudem udało nam się wyjechać.

Uścisnęli sobie dłonie. Fischer podniósł plecak z podłogi, wrzucił na plecy i wyszedł.

- Dziwne spotkanie. Mogło być radosne, a było smutne i przygnębiające. Żadnej serdeczności, żadnych wspomnień, żadnego porozumienia jak dawniej – myślał z goryczą i rozczarowaniem, ruszając leśną ścieżką w stronę Sarbinowa.

11. Dotyk przeszłości



Mar Fischer przebył odległość dzielącą Chłopy od Sarbinowa ze spuszczoną głową. Patrzył pod nogi i szedł szybko. Nie rozglądał się i nie szukał miejsc, które mógłby jeszcze rozpoznać po tylu latach. Nie chciał nawet zobaczyć drzewa, na którym wisiała Emma Ackermann. Wspomnienia wydarzeń z wczesnej młodości, a już szczególnie te związane z samobójczymi bądź nie samobójczymi powieszeniami, z jego ówczesną fascynacją mitami, wisielcami czy tarotem, zupełnie go teraz opuściły. Na ich miejsce pojawiły się wspomnienia dotyczące pobytu w bazie lotniczej w Bodenhagen, czyli według polskiego nazewnictwa w Bagiczu. Dawny obraz Edmunda Jakuscha, najlepszego kolegi z tamtego okresu, właściwie przyjaciela, młodego, pogodnego, odczytanego i pomocnego człowieka, zupełnie nie pasował do wyglądu starego Edmunda Jakusza, niby Polaka, niby Niemca, człowieka posępnego, a nawet złowrogiego.

- Co musi się stać, aby dokonała się tak niesamowita zmiana? – rozmyślał Fischer. – Co złego spotkało Jakuscha, albo co złego musiał zrobić Jakusch, aby stać się Jakuszem dziwakiem i samotnikiem? Czy człowiek może aż tak zostać przemielony przez życie, że tylko miazga

zostaje z tego, kim był wcześniej? No cóż. Minęło prawie czterdzieści lat. Żyliśmy w innych światach. Nic nas już nie łączy. Nie liczy się już nawet wspólna przeszłość.

Idąc główną ulicą Sarbinowa Fischer popatrzył dłużej jedynie na budynek dawnej szkoły. Miał już dość niefortunnego powrotu do przeszłości. Zmierzał prosto do kościoła, a kiedy do niego dotarł na widok smukłej wieży i neogotyckiej bryły, tak znajomy i prawie niezmieniony, przystanął i wreszcie poczuł w sercu odrobinę ciepła. Odwrócił się i spojrzał na morze. Było tak samo blisko kościoła jak przed laty, tak samo uspokajająco i niewzruszenie szumiało.

Wzruszył się jeszcze bardziej, gdy wszedł do wnętrza kościoła. Wróciły dobre wspomnienia. Usiadł w ostatniej ławce i jak przed laty chłonał grę światła w głównej nawie. Promieniste smugi padające z witrażowych okien – raczej nowych, bo Fischer takich witraży nie pamiętał – krzyżowały się i przenikały. Rozświeślały nawę drgającym żywym światłem, wydobywając wciąż nowe fragmenty drewnianych, dwupoziomowych ozdobnych empor obejmujących nawę z dwóch stron. Spojrzał w górę i zobaczył znajome mosiężne kandelabry, a gdy odwrócił się za siebie, zobaczył równie znajomy widok prospektu organowego.

- Pomimo wszystko coś jednak pozostało z tamtych dawno minionych lat – pomyślał z ulgą. – Ludzie bardzo się zmieniają. Rzeczy są trwalsze.

- Czy pan Fischer? – zapytał męski głos po niemiecku, zanim Mar zdążył oderwać wzrok od organów i odwrócić się.

- Tak, Mar Fischer – odpowiedział natychmiast i spojrzał na mówiącego.

Przy ławce sąsiadującej z tą, którą zajmował Mar stał starszy, skromnie ale starannie ubrany mężczyzna i uśmiechał się przyjaźnie. Sylwetkę miał lekko zaokrągloną, wzrost średni, a na głowie krótko ostrzyżone zupełnie siwe włosy. Marnej jakości granatowy garnitur leżał na nim dobrze, niebieska koszula była pieczołowicie wyprasowana, a znoszone buty dobrze wyczyszczone i wypastowane. Fischer wstał, wyciągnął do mężczyzny dłoń i powiedział:

- Zapewne mam przyjemność z proboszczem. Przepraszam za spóźnienie.

- Nie jestem księdzem – zaprzeczył tamten i wyjaśnił:

– Ksiądz proboszcz przebywa na stałe w Łęknicy, a do Sarbinowa przyjeżdża z mszą. Ja nazywam się Zygfryd Wolny i jestem tu kościelnym. Ksiądz poprosił, abym pana ugościł i przenocował. Żona już na nas czeka z kolacją. Z proboszczem może pan spotkać się jutro po

mszy świętej o godzinie dwunastej, to znaczy msza zaczyna się o dwunastej, trwa godzinę, więc około pierwszej po południu będzie możliwość porozmawiania z księdzem.

- Przepraszam – stropił się Fischer, zadziwiony nienaganną niemczyzną starszego pana. – Rano chciałbym pojechać do Kołobrzegu. Bardzo mi na tym zależy. Proszę przeprosić księdza w moim imieniu i podziękować za uprzejmość.

- Oczywiście, oczywiście – odpowiedział kościelny. – Ksiądz wspominał, że potrzebny będzie transport do Kołobrzegu. W niedzielę pekaesy jeżdżą bardzo rzadko, ale mój syn ma samochód, więc zawiezie pana do Kołobrzegu zaraz po śniadaniu. Stamtąd do Koszalina jeżdżą pociągi, więc wróci pan bez kłopotu.

Wyszli przed kościół. Starszy mężczyzna, Zygfryd Wolny, jak zapamiętał Fischer, dokładnie zamknął drzwi świątyni i schował ogromne metalowe klucze do kieszeni marynarki. Zeszli kilkoma schodami na ulicę i poszli w głąb miejscowości pustą i cichą główną ulicą stopniowo oddalającą się od morza. Skręcili w boczną ulicę w lewo i po krótkim marszu zatrzymali się przed dobrze utrzymaną posesją.

Posesję otaczało metalowe, pomalowane na zielono ogrodzenie, w którym obok zamykanej na skobel furtki była brama wjazdowa zabezpieczona dużą kłódką. Na posesji stał jednopiętrowy dom o kształcie prostopadłościanu o równo rozmieszczonych dwóch poziomach okien. Od strony ulicy można było podziwiać dobrze utrzymany niewielki ogród, niebieszczący się teraz dywanem szafirków i wonnych fiołków. Błękit tych niskich wiosennych kwiatów pięknie kontrastował z jaskrawą żółcią kwitnących krzaków forsycji. Do drzwi wejściowych od strony wybrukowanego podwórza prowadziły betonowe schody. W głębi posesji widać było także betonowy budynek garażu, przed którym zaparkowano mały czerwony samochód, Fiat 126 p.

- Żona i ja mieszkamy na parterze, a syn z rodziną na piętrze – poinformował kościelny, otwierając furtkę i wpuszczając gościa na posesję.

– Zapraszam do środka – przynaglił starszy pan, gdy zauważył, że gość uważnie przygląda się pojazdowi.

- Niepotrzebnie gapiłem się na samochód. Mały to mały – wyrzucał sobie w myślach Fischer.
– Prawie wszyscy tu takimi jeżdżą. Tak jak we Wschodnich Niemczech trabantami.

- Żona nie mówi po niemiecku. Pochodzi z centralnej Polski – zakomunikował Wolny i otworzył drzwi wejściowe.

- Ale za to pan świetnie mówi po niemiecku – rzucił Fischer, wchodząc do środka.
- Całą wojnę, jako młody chłopak, pracowałem u Niemca – powiedział spokojnie mężczyzna i dodał:
- Tak się u nas mówi „pracowałem u Niemca”, czyli byłem w czasie okupacji zabrany z Polski z rodzinnego domu i wywieziony do Niemiec na roboty przymusowe.

Fischer ze zrozumieniem pokiwał głową, ale nie wiedział co powiedzieć na ten wyraźny przytyk gospodarza.

Przeszli wąskim korytarzem do wnętrza domu i weszli do dużego pokoju, którego okna wychodziły na ogród. Za dnia pokój musiał być bardzo jasny, bo słońce zaglądało do niego od rana do późnego popołudnia. Teraz panowała w nim przyjemna dla oka poświata. Na środku stał duży połyskujący lakierem stół, a przy nim sześć czerwono wyściełanych krzesłami. Pod jedną ze ścian postawiono także czerwoną wersalkę, a przy niej niski stół i dwa wybite czerwonym materiałem fotele. Na przeciwnej ścianie stał duży meblowy lśniący segment z telewizorem pośrodku. Jeden bok segmentu tworzyły przeszkolone półki, na których stały ozdobnie rżnięte kryształowe patery, wazon i misy, a drugi drewniane półki wypakowane licznymi książkami oraz szafka zabezpieczona drzwiczkami.

- Skromnie, czysto i praktycznie – pomyślał Fischer.

Zatrzymał się przy drzwiach pokoju i zdjął zabłocone buty. Gospodarz szybko wyniósł je do przedpokoju, a kiedy wrócił, tuż za nim weszła starsza szczupła kobieta z tacą. Fischer patrzył na nią z ciekawością, której powodu sam nie znał. Podobała mu się jej niewątpliwie ładna kiedyś twarz, siwe włosy upięte w zgrabny koczek z tyłu głowy, długa szyja, wyprostowana drobna sylwetka i szara sukienka z białym koronkowym kołnierzykiem, do której nie pasowały jej domowe kapcie. Kobieta skinęła mu głową, ale na niego nie spojrzała. Zdawała się skupiona na rozstawianiu na stole talerzy, sztuców, półmiska z wędlinami, maselniczki i koszyka z cienko pokrojonymi kromkami chleba.

Zajęta przygotowaniem stołu, poczuła jednak na sobie wzrok gościa, więc odwróciła głowę i uśmiechnęła się do niego. Uśmiech Fischer uznał za wymuszony i raczej nieszczer.

- Przeszkadzam – pomyślał z przykrością – i przysparzam kłopotu.

Jakoś dziwnie ona do niego nie pasuje – przyszło mu po chwili do głowy.

Miał na myśli kościelnego i jego żonę, ale ta myśl szybko uleciała.

Aby choć trochę zrekompensować kłopot, jaki sprawił gospodarzom domu sięgnął do plecaka i zaczął wyjmować przyniesione produkty. Postanowił, że wszystkie odda tej właśnie rodzinie. Starannie ustawiał na małym stoliku opakowania kawy, kakao, konserwy mięsne i tabliczki czekolady.

- Tylko tyle przyniosłem – tłumaczył się, ale błysk radości, który zobaczył w oczach gospodyni sprawił mu dużą satysfakcję i uciszył skrępowanie skromnością podarunku.

Niewiele mówili podczas kolacji. Małżonkowie zamienili ze sobą kilka zdań po polsku a Fischer pochwalił smaczny posiłek, trochę słowami, trochę gestami. Potem wskazano mu, gdzie znajduje się łazienka, a kiedy wrócił do pokoju, wersalka była posłana do spania a gospodarze zniknęli.

Położył się spać wcześnie, spał niespokojnie, budził się często. Jeszcze było ciemno, gdy ocknął się na dobre i pomimo usiłowań, już nie zasnął. Nie chciał obudzić domowników. Leżał patrząc w sufit i chaotycznie rozmyślając o tym, co mu się wczoraj przytrafiło. W pokoju powoli rozjaśniało się, a w pewnej chwili rozbłysło w nim słoneczne światło zapowiadające nowy dzień.

Wstał, gdy tylko usłyszał ruch w przedpokoju. Kiedy wyszedł, przedpokój był już pusty. Cichutko skorzystał z łazienki i przez otwarte drzwi zajrzał do kuchni. Przygotowane specjalnie dla niego śniadanie stało na kuchennym stole. Gospodyni gdzieś zniknęła.

Fischer bez apetytu jadł przygotowane dla niego kanapki, pił dobrze posłodzoną herbatę ze szklanki w metalowym uchwycie i marzył o mocnej porannej kawie. Przez kuchenne okno widział krzątającego się koło samochodu szczupłego mężczyznę w średnim wieku. Obok mężczyzny stał kościelny. Ubrany był tak samo jak w dniu poprzednim, ale jego zachowanie nie było takie samo. Był wzburzony. Gwałtownie gestykulował, potrzasał głową i coś głośno mówił po polsku. Młodszy mężczyzna nie odzywał się.

- To pewnie syn - domyślił się Fischer. – Trochę nerwowo.

Żałował, że nie mógł zrozumieć słów kościelnego. Miał wielką ochotę podziękować za gościnę i jak najszybciej opuścić dom państwa Wolnych i ich syna.

Zygfryd Wolny przestał mówić i poszedł w stronę wejścia do domu. Syn został przy samochodzie, ale także szybko zniknął Fischerowi z pola widzenia. Po zastanawiająco długim czasie Wolny wszedł do kuchni spokojny i uśmiechnięty. Wymienili między sobą kilka

grzecznościowych zdań, a potem Fischer zadał pytanie, którego być może nie powinien był zadawać, ale od zadania którego nie mógł się jednak powstrzymać:

- Gdzie pan pracował w czasie wojny?

- Pracowałem w dużym hotelu w Kolbergu, w Kołobrzegu. Nie ma już tego hotelu i w ogóle niewiele zostało z dawnego miasta. Smutna historia. Spotkałem po wojnie Grażynę, bo tak ma na imię moja żona, i zostaliśmy na Pomorzu pomimo złych wspomnień. Ale oboje nie mieliśmy do kogo i do czego wracać. Zamieszkaliśmy na tak zwanych Ziemiach Odzyskanych. Najpierw w Karlinie, bo tam było dużo Polaków a mało Niemców, a potem, po wysiedleniach, w Sarbinowie. Aha, ja odwiozę pana do Kołobrzegu. Tak będzie lepiej. Syn nie mówi po niemiecku. Trochę się krępuje – zakończył podawane pośpiesznie informacje Zygfryd Wolny poprawiając nerwowo krawat.

- A nie będzie pan potrzebny księdzu?

Fischer starał się bardzo być uprzejmym i więcej nie sprawiać gospodarzom żadnych kłopotów.

- Jest jeszcze wcześniej – odpowiedział Wolny. - Zdam wrócić i przygotować kościół do mszy świętej. Nawet gdybym nie wrócił, to nic się nie stanie. Syn wie, co trzeba zrobić. Zastępuje mnie od czasu do czasu.

Obaj mężczyźni w pośpiechu ubrali okrycia wierzchnie, wyszli na zewnątrz i wsiedli do samochodu. Wolny zasiadł za kierownicą, a Fischer obok, na siedzeniu pasażera. Wnętrze Fiata było ciasne. Kierowca i pasażer dotykali się łokciami. Jechali w milczeniu. Minęli kościół i wyjechali z Sarbinowa drogą prowadzącą do Będzina. Milczeli. Wolny prowadził samochód pewnie, ale powoli. Fiat dzielnie pokonywał wyboje, podskakując od czasu do czasu. Kościelny wyglądał na zamyślonego i zmartwionego.

- Czy coś się stało? – odważył się wreszcie zapytać Mar Fischer. – Widzę, że jest pan markotny. Przepraszam, że się w ogóle wtrącam – dodał szybko.

- Chyba muszę coś panu powiedzieć – odezwał się dziwnie głuchym głosem Wolny i zatrzymał samochód.

Znajdowali się mniej więcej w połowie drogi z Sarbinowa do Kołobrzegu. Wcześniej minęli oddalone od szosy Gąski i teraz zbliżali się do Ustronia Morskiego. Ruch na drodze był niewielki. Przejeżdżały głównie wojskowe samochody z nietypowymi oznaczeniami.

- To Rosjanie – poinformował kościelny. – Mają dużą bazę lotniczą w Bagiczu i koszary, a właściwie całe miasteczko, w Podczelu. To tereny całkowicie zamknięte, eksterytorialne.

Mówiąc te słowa Wolny odwrócił się od kierownicy w stronę pasażera i z gorzkim uśmiechem dodał:

- Gdyby ktoś niepożądany usłyszał to, co teraz mówię do Niemca z kapitalistycznych wrogich Niemiec, zostałbym oskarżony o szpiegostwo. Ale po co ja to mówię. Przecież pan to doskonale wie. Wie pan także o bazie lotniczej, teraz rosyjskiej, ale wcześniej niemieckiej. Pan w niej pracował podczas wojny.

Mar Fischer oniemiał. Mógł się spodziewać różnych zdarzeń podczas tego zaskakującego go pod każdym względem powrotu do kraju dzieciństwa i młodości, ale nie tego, że po tylu latach będzie raz za razem rozpoznawany i to w dodatku przez zupełnie nieznane mu osoby. Popatrzył uważnie na starszego mężczyznę i usiłował znaleźć coś znajomego w jego twarzy. Odwrócił się do okna, gdy tylko napotkał twardy wzrok Wolnego.

- To nie może być przypadek – myślał milcząc i uparczywie patrząc przez boczną szybę samochodu na nadmorski płaskowyż porośnięty wysokimi ostrymi trawami. – W Chłopach rozpoznał mnie Jakusch,, a teraz ten człowiek. Co tu się dzieje?

- Kim pan jest? – odezwał się ostrożnie, odwracając głowę od bocznego okna, ale patrząc nie na kierowcę, lecz przez przednią szybę na asfaltową powierzchnię drogi.

- Wiem, zaskoczyłem pana – powiedział spokojnie kościelny. – Ma pan powód do niepokoju, ale to nie to, o czym pan myśli. Nie jestem ze służby bezpieczeństwa, ani z nimi nie współpracuję.

- To skąd pan tyle o mnie wie?

- Od księdza proboszcza. A on od znajomego franciszkanina z Koszalina. Przecież rozmawiali o panu przez telefon.

- Tak. Nie pomyślałem o tym – uspokoił się trochę Fischer, choć nadal czuł się niepewnie.

- Ale jest coś jeszcze – powiedział Wolny.

Pochylił się nad kierownicą, jakby to, co chciał powiedzieć przygniatało go do ziemi, jakby szukał odpowiednich słów i nie mógł ich znaleźć. Po minucie napięcia, które narastało w

ciasnym wnętrzu samochodu, a które z powodu zaledwie kilkucentymetrowej odległości dzielącej kierowcę od pasażera było fizycznie wyczuwalne, powiedział:

– Moja żona poskładała informacje, które przekazał ksiądz z tym, co ona sama pamięta z czasów wojny. Twierdzi, że widziała pana pod koniec wojny z takim jednym, co teraz mieszka w Chłopach i, jak żona twierdzi, tylko udaje Polaka. Moja żona wiele przeżyła podczas wojny i zaraz po jej zakończeniu. Mówi, że ten z Chłopów skrzywdził wiele osób. Myślę, że skrzywdził także ją. Ale ona nie chce wracać do koszmarnych wspomnień i ja to szanuję. O nic nie pytam. Dziś w nocy jednak w ogóle nie spała. Najpierw dygotała, a potem, gdy zapytałem ją, co się stało, wybuchła płaczem. Gdy się trochę uspokoiła, powiedziała mi o panu i tym człowieku z Sarbinowa.

- Domyślam się o kim pan mówi – powiedział Fischer drżącym głosem. – Widziałem się wczoraj z kolegą, który tak jak ja mieszkał w Bauerhufen przed wojną, a w czasie wojny pracował w Bodenhagen. Ale to spotkanie nie było zaplanowane. To był zadziwiający przypadek. Od końca wojny nie miałem z nim kontaktu i nawet nie wiedziałem, że został w Polsce i mieszka w Chłopach. Nie wiem, czy mówimy o tej samej osobie. Edmund Jakusch, a teraz Edmund Jakusz, bo to właśnie jego wczoraj spotkałem, nie ma dwóch palców prawej dłoni. O nim mówiła pana żona?

- Tak – odpowiedział jednym słowem Wolny.

Spojrzał na Fischera i dodał:

- Może i panu wierzę. Ale żona bardzo się boi tego człowieka. Wpadła w panikę, gdy pana rozpoznała jako jego znajomego. Miałem jeszcze nadzieję, że coś jej się przywidziało, że się pomyliła. Nie wiem, co teraz mam jej powiedzieć. Przecież nie będę kłamać.

Siedzieli w milczeniu, obaj zakłopotani i wzburzeni słowami, które padły. Potem Wolny włączył silnik i ruszyli. Minęli Ustronie Morskie, Sianożęty, a potem groźnie wyglądające mury okalające Bagicz i Podczele.

Podczas jazdy Mar Fischer intensywnie myślał o tym, co mógłby zrobić, aby uspokoić żonę kościelnego. Czuł także potrzebę usprawiedliwienia się, wyjaśnienia swoich związków z Jakuschem. Jednocześnie jednak bardzo obawiał się tego, co mógłby o Jakuschu usłyszeć od Wolnych. Zdawało mu się bowiem, że czyny dawnego kolegi także i jego jako Niemca obciążały. Przemógł się jednak i powiedział:

- Nie wiem jak mógłbym pomóc panu i pana żonie. Mogę zrezygnować z wizyty w Kołobrzegu. Wrócimy i porozmawiamy w obecności pańskiej żony. Odpowiem na każde pytanie. Postaram się wyjaśnić wszystko, co tylko da się wyjaśnić. Będzie pan tłumaczem?

- Żona nie potrzebuje tłumacza. Dobrze zna niemiecki, ale nie chce mówić tym językiem. Ma głęboki uraz. Dziękuję za dobre chęci, ale dobrze znam Grażynę i jestem pewny, że nie będzie chciała z panem rozmawiać. Nawet ze mną nie mówi o tamtych czasach. I niech tak zostanie – padła zdecydowana odpowiedź.

Wjeżdżali właśnie do Kołobrzegu.

Rozdział drugi

1. Pamięć



Grażyna Wolny przeleżała w łóżku całą niedzielę. Zygfryd wrócił z Kołobrzegu po dwóch godzinach i znalazł ją tak, jak ją zostawił. Wyszedł z sypialni bez słowa. Nie namawiał do pozbierania się i pójścia do kościoła. Wiedział, że żona nie jest w stanie podnieść się, a rady typu „nie myśl już o tym”, „weź się w garść”, jedynie pogłębiają męczącą ją psychiczną zapaść.

Byli razem prawie czterdzieści lat, ale Zygfryd nie potrafił odczytywać jej uczuć. Rozpoznawał jednak te momenty, w których potrzebowała samotności i czasu, aby uspokoić się, odzyskać psychiczną równowagę i znów zabrać się do swoich zwykłych zajęć.

A Grażyna Wolny od dawna wpadała w stany, w których ogarniał ją paraliżujący lęk i nie pozwalał normalnie funkcjonować. Ogarniał całe jej ciało. Odczuwała wewnętrzne drżenie i niepokojące łomotanie serca. Lęk władał jej umysłem, odbierał zdolność logicznego myślenia oraz chęć do życia. Relanium, które przepisał lekarz, skutkowało otępieniem i sennością.

Grażyna zapadała po nim w niespokojny sen, a potem nagle budziła się, dygocąc na całym ciele.

Chaotyczne sny, w których mieszały się zdarzenia, czasy i ludzie, to co możliwe z tym co niemożliwe, dręczyły ją często. Nocami pojawiały się sceny z tego okresu jej życia, o którym chciałaby raz na zawsze zapomnieć. Na jawie zapominanie udawało się nieźle, bo bardzo pilnowała tego, aby zawsze myśleć o rzeczach praktycznych i zajmować się bieżącymi sprawami. Sny rządziły się jednak swoimi prawami. Za nic miały codzienne pilne obowiązki, którymi należało się zająć natychmiast po przebudzeniu. Wkradały się w zakamarki pamięci i wydobywały z nich niechciane wspomnienia. Najgorsze sny miewała wówczas, gdy w codzienną rutynę wkraczała przeszłość. Miała sześćdziesiąt pięć lat i już nie łudziła się nadzieją, że z czasem przyjdzie zapomnienie. Przeszłość zawsze wracała, świeża, wyraźna i coraz bardziej bolesna.

Przeszłość, która wtargnęła do jej spokojnego domu 17 kwietnia 1983 roku zwała Grażynę Wolny z nóg i już nie tylko sny musiała przetrzymać, lecz gwałtowną reakcję całego organizmu. Połknięcie sporej dawki relanium było w tej sytuacji jedyną pomocą. Można było mieć nadzieję, że po dobie czy dwóch zagłuszania lęku farmaceutyką powróci stan względnej równowagi.

Wstrząs wywołało zdarzenie, którego Grażyna w ogóle się nie spodziewała i którego nie mogła przewidzieć. W osobie gościa z Niemiec rozpoznała człowieka widzianego raz w życiu przed czterdziestoma laty. Jej samej trudno było uwierzyć, że coś takiego w ogóle jest możliwe. Ale stało się. Nie potrzebowała potwierdzenia, o które zapewne postarał się Zygfryd w rozmowie z gościem podczas jazdy do Kołobrzegu. Przecież tylko z tego powodu zastąpił ich syna Macieja za kierownicą Fiata. Jeszcze podczas kolacji gesty Mara Fischera, Niemca z Bremy, który przyjechał do Koszalina z darami i postanowił odwiedzić rodzinne strony, zdały się jej znajome. Nie potrafiła jednak powiązać jego osoby z żadnym czasem i z żadną sytuacją.

- Kogoś mi przypomina, ale kogo? – pytała siebie samą zdezorientowana.

Przed kolacją Fischer podarował im wszystko, co przyniósł w plecaku. Nie wstydziła się przyjmowania pomocy i okazywania radości. Wielokrotnie w swoim życiu musiała korzystać z pomocy innych ludzi. Doceniała to, pielęgnowała w sobie pamięć o tych, którzy jej pomogli i nieustannie była im wdzięczna. Tylko tyle było w zasięgu jej możliwości. Bez skrupowania więc i tym razem przyjęła te w gruncie rzeczy symboliczne dary. Widząc zakłopotanie gościa

skromnością podarunku, podeszła do niego, podała mu rękę ze słowami podziękowania i z uśmiechem spojrzała mu w twarz. Wtedy właśnie uderzyło ją jego podobieństwo do kogoś, kogo nie potrafiła zidentyfikować.

To pierwsze uderzenie nie wywołało w niej ataku paniki. Atak dopadł ją dopiero w nocy, kiedy po nagłym przebudzeniu z całą jasnością pojawiła się w jej głowie scena sprzed kilkudziesięciu lat.

Jej opiekun i wybawca, komisarz Hans Stratmann, wchodzi do sali restauracyjnej, gdzie przed chwilą skończyli jeść obfity obiad, z młodym mężczyzną. Wymiana zdań między komisarzem a mężczyzną jest gwałtowna i gwałtowne są ich gesty. Od sąsiedniego stolika wstają koledzy mężczyzny. Jeden z nich zbliża się do dyskutujących, ale zostaje powstrzymany ruchem ręki. Wraca do stolika poprawiając opadłą na czoło grzywkę. Jego dłoń przesuwają po mocnych prostych włosach kilkakrotnie. Dłoń nie ma kciuka i palca wskazującego. Atmosfera nadal jest nieprzyjemna, ale cała grupa ponownie zajmuje swoje miejsca, a ona i Startmann, zdenerwowani wychodzą.

Rozpoznanie w gościu mężczyzny, który przyszedł do restauracji w towarzystwie tego bez palców, a potem prowadził ostrą rozmowę z komisarzem, było drugim uderzeniem. To ono zwaliło ją z nóg. Niemożliwe stało się możliwe. Rozpoznała człowieka, którego widziała przed czterdziestu laty jeden jedyny raz. Nie miała żadnych wątpliwości, że ich gość, starszy człowiek o łagodnym wyglądzie, w tamtych okrutnych czasach działał razem z tym, którego ona uważała za potwora.

Edmunda Jakuscha, ku swemu przerażeniu, Grażyna Wolny spotkała pod koniec lat sześćdziesiątych w sklepie przemysłowym w Sarbinowie. Poznała go natychmiast i, zaskoczona, a jeszcze bardziej przestraszona i osłupiała, tępo patrzyła na jego plecy. Poczuli na sobie jej wzrok, odwrócił się od sklepowej lady, spojrzał na nią i, nie dając po sobie poznać czy ją poznał czy nie, spokojnie dokończył zakupy. Wyszła wtedy ze sklepu i prawie biegnąc wróciła do pustego domu.

- Coś się stało! Znam cię! – krzyczał do niej Zygfryd, gdy wrócił z pracy. – Powiedz, co się stało!

- Zobaczyłam w sklepie Edmunda Jakuscha! – wyznała z trudem powstrzymując wybuch paniki.

- Niemożliwe! Co ty mówisz! Jakusch już dawno wyjechał! Przywidziało ci się!

- Widziałam go! Poznałam go! To był on! Nie widziałam jego dłoni, ale jestem pewna, że to był on!

- Grażynko, uspokój się. Strach ma wielkie oczy. To nie mógł być on – łagodnie przekonywał ją Zygfryd.

Bardzo chciałaby wierzyć mężowi, ale wiedziała, że tylko próbuje ją uspokoić.

- Znajdź go – poprosiła. - Może z nim porozmawiaj.

Miała nadzieję, że w wiejskiej społeczności nadmorskich miejscowości znalezienie mężczyzny bez kciuka i palca wskazującego prawej ręki nie będzie trudne. Wiedziała też, że Zygfryd z łatwością pozna Jakuscha. Nie myliła się.

- Jakusch teraz nazywa się Jakusz, i od roku mieszka w Chłopach – poinformował ją mąż po kilku dniach. – Wcześniej pracował w Funduszu Wczasów Pracowniczych jako techniczny. Chyba w Kołobrzegu. Nie ma żony. Wszyscy dobrze o nim mówią, że rzetelny, uczciwy, pracowity, uprzejmy, pomocny. Nie rozmawiałem z nim. Nie chciałem się mu pokazywać. Bo co to może zmienić.

Zygfryd Wolny patrzył na żonę uważnie. Zdawało mu się, że tę niemiłą wiadomość przyjęła ze spokojem. Obawiał się jednak, że jej spokój zwiastuje rychłe załamanie nerwowe, więc zaproponował:

- Wyjędźmy stąd.

- Przecież wiesz, że jest to niemożliwe – usłyszał w odpowiedzi. – Nie martw się. Poradzę sobie. On mnie chyba nie poznał, więc i ja postaram się go ignorować. Zresztą będę go unikać.

Zygfryd poczuł ulgę, bo właśnie zaczęło im się lepiej powodzić.

Syn Maciej, dwudziestoczteroletni mężczyzna, usamodzielniał się, choć nadal mieszkali razem w niewielkim komunalnym mieszkaniu. Maciej miał ładną, dobrą i pracowitą dziewczynę, nieźle płatną pracę i zamierzał założyć rodzinę. Wspólnie, on i syn, zaczęli więc budowę domu, w którym wszyscy mogliby zamieszkać. Kombinowali jak się tylko dało bez popadnięcia w konflikt z prawem. Załatwiali „na lewo” materiały. Cały wolny czas spędzali na budowie. Do zawieszenia wiechy zostało im kilka miesięcy. Prace wykończeniowe mogły

potrwać jeszcze z rok, ale utrata tego, co już zrobili byłaby dla nich wszystkich życiową katastrofą.

- On się zmienił. Ludzie go szanują – pocieszał Zygfryd Grażynę.

- Można by pozbyć się Jakuscha, donosząc na niego na milicję – powiedział do żony innym razem.

Grażyna jednak ostro zaprotestowała.

- Dobrze wiesz – stwierdziła – czym to się skończy. To będzie dla nas koniec wszystkiego. Nie wiadomo, kim on teraz jest – zastanawiała się głośno. – Dlaczego nikt się nie interesuje jego przeszłością? Dlaczego został w Polsce? Wiedziałeś o tym?

- Ależ skąd! – wykrzyknął Zygfryd gwałtownie i z przekonaniem.

Na szczęście Jakuscha, a teraz Jakusza, w Sarbinowie widziało się rzadko, a Wolni nigdy razem nie bywali w Chłopach. Z czasem wspomnienie jego niebezpiecznie bliskiej obecności zbladło. Maciej ożenił się, dom wykończyli i wreszcie zamieszkali na swoim.

Kiedy po wizycie Mara Fischera Grażyna dźwignęła się wreszcie z łóżka, gdy opuścił ją paraliżujący lęk, próbowała uporządkować myśli i powziąć decyzję, co zrobić z wciąż powracającą do niej przeszłością. Stwierdziła, że zastanawianie się nad tym, dlaczego Mar Fischer pojawił się w ich domu, dlaczego – co sam potwierdził – spotkał się z Jakuschem oraz czy coś jej grozi ze strony Jakuscha i Fischera,, nie miało teraz sensu. Może Fischer powiedział Zygfrydowi prawdę. Przyjechał do Koszalina z darami, odwiedził miejsca swojego dzieciństwa i swojej młodości, przypadkiem natknął się na Jakuscha i przypadkowo skierowano go do nich na nocleg.

W przypadkowość spotkania z Jakuschem trudno było Grażynie Wolny uwierzyć, ale Zygfryd Wolny dał się do tej wersji wydarzenia Fischerowi przekonać. Mąż Grażyny był także pewny, że nie ma nic dziwnego w tym, że Niemiec spał u nich w domu. Wyjaśnienie było proste. Fischer przywiózł dary do franciszkanów. Chciał odwiedzić stare kąty, więc franciszkanie zwrócili się do proboszcza Łękna, któremu podlegało także Sarbinowo, aby zapewnił mu nocleg, a proboszcz z kolei poprosił o pomoc kościelnego.

Grażyna Wolny starała się bardzo przyjąć proponowaną przez męża wersję wydarzeń. W jej głowie pojawiły się niestety inne niepokojące myśli. Wróciły wspomnienia sprzed czterdziestu lat.

- O czym młody Mar Fischer rozmawiał w restauracji z Hansem Stratmannem? Dlaczego rozmowa przebiegała tak burzliwie, że aż koledzy Fischera chcieli mu pomóc? Dlaczego Stratmann był tak poruszony rozmową, że milczał w drodze powrotnej do Koszalina, a potem stracił humor na kilka dni? – zastanawiała się coraz częściej.

Pamiętała, że komisarz po powrocie zamknął się z matką w pokoju i długo rozmawiali. Nie poczuła się wtedy dotknięta odsunięciem jej od ich tajemnic. W ogóle nie utożsamiała się z ich problemami i nie chciała uczestniczyć w ich życiu. Byli dla niej ludźmi obcymi, ludźmi z innego świata, do którego została brutalnie wrzucona i z którego najchętniej wyrwałaby się jak najprędzej. Ale jej własny świat już nie istniał.

Rodzice żyli jeszcze, gdy Stratmann pod koniec 1942 roku wyrwał ją z rąk ogrodnika, lubieżnika i sadysty, który odebrał jej kobiecą cześć, zbrukał jej ciało i duszę, przez którego stała się wewnętrznie martwa. Później długo nie miała od nich żadnych wieści, bo też nie szukała z nimi kontaktu. Jak mogłaby spojrzeć w twarz ojcu, dla którego cielesna czystość niezamężnej kobiety była koniecznym warunkiem żywienia do niej szacunku? Jak mogłaby ucałować matkę ustami, które podawała niemieckim oprawcom? Jak ona, kochanka niemieckiego policjanta, mogłaby przytulić brata, który z pewnością zaangażował się w podziemną walkę z okupantem? Nie mogłaby bliskim niczego wyjaśnić, a oni nigdy nie mogliby jej zrozumieć.

Dziesięć lat po wojnie, gdy z czasem rany trochę się zabiłiły, dzięki temu, że ułożyła sobie życie z Zygfydem Wolnym, napisała list i wysłała na adres rodzinnego domu. List wrócił, więc razem z Zygfydem pojechali do Koła i odszukali na miejskim cmentarzu grób rodziców. Po bracie ślad zaginął.

- Może i lepiej – myślała wtedy. – Razem z moim przedwojennym światem zginie także mój świat wojenny. Pozostanie jedynie to, co jest teraz.

Nadzieja na wyrzucenie z pamięci przeszłości i na życie jedynie teraźniejszością okazała się oczywiście płonna. Przeszłość wracała do niej w snach i w rzeczywistości w najmniej oczekiwanych momentach.

2. Śmierć nie wybiera



- Nie gniewaj się na mnie za to, że zamknąłem się z matką wczoraj wieczorem na tak długo – poprosił Grażynę Hans Stratmann następnego dnia po ich powrocie z wycieczki nad morze. – Uwierz mi, że nie rozmawialiśmy ani o tobie, ani w ogóle o sprawach prywatnych. Chodziło o sprawy zawodowe, w które nie chcę ciebie wciągać. Musiałem i chciałem powiedzieć matce o wczorajszym spotkaniu z tym młodym człowiekiem. Wiesz, o kim mówię, prawda? Matka dużo wie o mojej pracy, a szczególnie interesuje się pewnymi dramatycznymi wydarzeniami, morderstwami, w sprawie których wielokrotnie zamykano śledztwo. Ja wiem, że zamykano niesłusznie. Wiem, że sprawca ciągle jest na wolności i że mogą być następne ofiary. Chłopak, który tak gwałtownie domagał się rozmowy ze mną też ma jakąś wiedzę o sprawcy i prawdopodobnie chciał mi koniecznie powiedzieć, kim on jest. Ale obawiam się, że chłopak się myli, a przy tym nie wie, w co sam mógłby się wpakować, gdybym z nim porozmawiał, gdyby mi powiedział, kogo podejrzewa. Dlatego odmówiłem.

Grażyna słuchała komisarza z ciekawością, ale nie dopytywała o szczegóły.

- To nie są moje problemy – myślała. – Cóż znaczą w czasach masowego zabijania pojedyncze śmierci. I to śmierci Niemców. Na cóż szukać jednego mordercy, gdy wokół

mnożą się sami mordercy i żyją sobie spokojnie, bez wyrzutów sumienia, a nawet chełpią się swymi czynami.

Stratmann zdawał się podążać za tokiem jej myślenia, bo powiedział:

- Nic się już nie da zrobić. Na wszystko jest już za późno. Teraz trzeba myśleć o sobie. Trzeba robić wszystko, żeby doczekać końca wojny, żeby przeżyć. Tamte śmierci utonęły w powszechnej zagładzie.

Dokładnie 1 stycznia 1945 roku Grażyna doświadczyła tego, że nie każda śmierć znika w masie innych śmierci. Tego dnia późnym wieczorem do drzwi köslińskiego mieszkania Johanny i Hansa Stratmannów zadzwonił asystent kryminalny Fritz Jensen, najbliższy współpracownik komisarza. Otworzyła mu Grażyna.

- Dobry wieczór – powiedział grzecznie Jensen, ale w głosie i postawie nie było typowej dla niego żywotności. - Chciałbym rozmawiać z panią Johanną Stratmann.

Grażyna instynktownie wyczuwała, że Fritz, którego zdążyła dobrze poznać i który z pewnością domyślał się zażyłości między nią a Stratmannem, przyniósł złą wiadomość. Komisarz wyszedł około południa i dotąd nie wrócił.

Wieczór sylwestrowy spędzili we troje – matka komisarza, ona i on. Matka położyła się zaraz po północy, a oni sporo pili aż do trzeciej nad ranem, prawie ze sobą nie rozmawiając. Po późnym śniadaniu, które także odbyło się w ciszy, Hans wyszedł, żeby się przewietrzyć. Grażyna zajęła się porządkami.

- Czy zechce mi pan powiedzieć co się stało? – zapytała Jensena. – Starsza pani jest bardzo słaba, a domyślam się, że nie przynosi pan dobrych wieści.

- Niestety nie mam dobrych wieści – potwierdził jej przecucia Jensen. – Ale chyba powinienem przekazać je pani Stratmann.

- Grażyno! – dobiegł ich głos starszej pani odpoczywającej w swoim pokoju. – Czy to Hans wrócił?

- Nie – odpowiedziała. – To nie Hans, to Fritz Jensen. Zaraz do pani przyjdę.

Jensen, uspokojony poufałością, o jakiej świadczyła wymiana zdań pomiędzy kobietami, przystał na propozycję Grażyny, żeby najpierw jej przekazać złą wiadomość.

- Przykro mi bardzo, ale Hans Stratmann nie żyje – powiedział. – Wolałem przyjść sam z tą informacją, żeby nie zrobił tego jakiś przypadkowy funkcjonariusz. Ludzie zobojętnieli teraz na śmierć i nie liczą się z cudzymi uczuciami. Chciałem także osobiście wyjaśnić okoliczności śmierci komisarza i odpowiedzieć na ewentualne pytania.

Grażyna, choć spodziewała się najgorszego, zachwiała się, zbladła i musiała oprzeć się o ścianę, żeby nie upaść. Potrzebowała kilku minut, aby się trochę uspokoić.

- Pójdę teraz do starszej pani i sama jej powiem o śmierci jej syna. Tak będzie lepiej. Kiedy uda mi się ją trochę uspokoić, poproszę pana i wtedy powie pan co się dokładnie stało – oznajmiła monotonnym cichym głosem, w którym dominował smutek. – Proszę wejść do salonu i tam zaczekać. Trochę to potrwa – dodała.

Zawołała Fritza Jensena do pokoju Johanny Stratmann po piętnastu minutach. Kiedy wszedł, zastał starszą panią siedzącą w fotelu. Nie płakała. Nie patrzyła na wchodzącego. Wzrok skierowany miała na przedstawiający górski pejzaż obraz wiszący na przeciwległej ścianie. Podeszedł do niej, wziął jej dłoń i pocałował, a ona tylko pokiwała głową.

- Proszę powiedzieć, jak zginął mój syn – poprosiła.

- Komisarz popełnił samobójstwo – Jensen z trudem wypowiedział te słowa.

- Powiesił się? – cichym bezbarwnym głosem bardziej stwierdziła niż zapytała Johanna Stratmann.

- Tak – potwierdził. – Znaleziono go kilka godzin temu w parku.

- Jak jego ojciec, jak jego ojciec – cichutko powtarzała starsza pani. – Wiedziałam, że kiedyś to zrobi.

Grażyna, która milcząc stała obok fotela, podała Johannie Stratmann szklankę wody i białą tabletkę.

- Położę panią do łóżka – powiedziała. – Zaśnie pani. Później porozmawiamy.

Grażyna i Jensen przeszli do salonu i usiedli przy masywnym stole przykrytym koronkowym obrusem.

- Zrobię panu herbatę – zaproponowała Grażyna.

- Nie trzeba. Muszę pani coś jeszcze powiedzieć – zaproponował Jensen i zamilkł, jakby szukał w głowie odpowiednich słów.

- Słucham – ponagliła go, czując jak krew odpływa jej z głowy.
- Zaraz zemdleję – pomyślała i powtórzyła:
- Słucham.
- Myślę, że komisarz nie popełnił samobójstwa, lecz został zamordowany, to znaczy powieszony – wykrztusił Jensen.
- Co pan opowiada! – obruszyła się. – Nawet jego matka twierdzi, że zrobił to samo co wcześniej zrobił jego ojciec.
- Może jednak napijemy się herbatki – stwierdził asystent kryminalny. – Trochę czasu zajmie mi opowiedzenie wszystkiego z czym naprawdę przyszedłem.

Przerwa w oczekującej Jensena trudnej rozmowie pozwoliła mu na zebranie i uporządkowanie myśli. Ponieważ służąca u Stratmannów kobieta, prawdopodobnie kochanka Stratmanna, długo nie wracała, opanowała go jakaś bezpodstawne i bezsensowne przekonanie, że kobieta przygotowuje dla niego poczęstunek. Był przecież Nowy Rok i choć czas nie sprzyjał świętowaniu, coś musiało zostać z sylwestrowego stołu.

Napięcie zawsze wywoływało u niego ssanie w żołądku. Rozczarował się więc, gdy na stole postawiono tylko dzbanek z herbatą, cukiernicę i dwie filiżanki. Aby zrekompensować sobie brak poczęstunku wsypał do nalanej mu herbaty trzy łyżeczki cukru, zamieszał i dopiero wówczas spojrzał w twarz kobiety. Była bardzo blada i przebijał przez nią strach. Widział takie twarze podczas służby i teraz zawstydził się swoich myśli o jedzeniu.

Jensen starał się mówić tylko o najważniejszych rzeczach, ale i tak opowiedzenie o licznych wątpliwych samobójstwach przez powieszenie, powtarzających się w nadmorskich lasach od lat trzydziestych, o dziwnych między nimi podobieństwach, o osobistym zaangażowaniu się Stratmanna w prowadzone śledztwa oraz o jego podejrzeniach, zajęło mu kilkadziesiąt minut. Kiedy skończył, wrócił do przypadku komisarza i powiedział:

- Komisarza znaleziono co prawda w parku w Köslinie, więc na trochę innym niż zazwyczaj terytorium, ale wisiał w tymże parku na drzewie nazywanym Hexenbaum, Drzewem Czarownic. To olbrzymie stare drzewo - klon czy jawor, nie znam się na drzewach - na którym dawniej wieszano kobiety podejrzewane o czary. Pętla była identycznie zawiązana jak w tamtych przypadkach. W ogóle wszystko wyglądało tak jak w tamtych przypadkach. Nawet

rysunek na ziemi był taki sam. Przedstawiał krzyż równoramienny wpisany w okrąg. Nazywa się taki znak kręgiem solarnym.

Na początku Grażyna słuchała Jensena nieuważnie. Miała bowiem o czym myśleć. Informacja o śmierci Stratmanna wywołała w niej mieszane i skrajnie różne uczucia. Były wśród nich smutek, zaskoczenie i żal, ale także satysfakcja, poczucie uwolnienia i ulga. Wszystkie jednak przykrywał ogromny niepokój wywołany podejrzeniem, że jest w ciąży. Dziwnie się czuła od dwóch tygodni, nie dostała miesiączki, a przed chwilą, gdy robiła w kuchni herbatę ogarnęły ją takie mdłości, że biegiem ruszyła do łazienki.

Oslabiona i skrajnie przestraszona z niecierpliwością czekała, aż asystent Stratmanna skończy swą makabryczną opowieść. Z czasem jednak zaciekawiła ją tajemnicza powtarzalność tragicznych zdarzeń, a kiedy Jensen stwierdził, że te same ślady pozostawiono w przypadku Stratmanna, poczuła wyrzuty sumienia, bo ogarnęła ją niespodziewana pewność, że śmierć komisarza ma związek ze spotkaniem młodego człowieka w gospodzie w Henkenhagen, a przecież to dla niej Hans wymyślił ten nieszczęsny wypadek nad morze. A teraz jeszcze okazało się, że nosi w łonie jego dziecko, a on nie zdążył się o tym dowiedzieć.

- Co będzie, to będzie – pomyślała. – Nie wiadomo, czy dożyję do końca wojny. Nie wiadomo, czy dziecku uda się w ogóle przyjść na ten podły świat. Oby przynajmniej śmierć jego ojca została wyjaśniona. Nie chcę myśleć o Hansie jako samobójcy. On nie zostawiłby na pastwę losu schorowanej matki i mnie chyba także nie.

Grażyna, od początku opowieści Jensena milcząca, pochylona nad stołem, z niewidzącym wzrokiem utkwionym w stojącą przed nią filiżankę, podniosła głowę i niespodziewanie silnym głosem odezwała się, pierwszy raz wypowiadając imię Stratmanna przy osobie postronnej:

- Pan mi to wszystko mówi, bo zamierza wyjaśnić śmierć Hansa. Prawda?

Jensen tylko pokiwał twierdząco głową.

- W takim razie powiem panu, co wydarzyło się całkiem niedawno w Henkenhagen. Ale mam pytanie. Czy chce pan żebym przekazała to wszystko, o czym mi pan powiedział, matce Hansa?

- Nie wiem – zawahał się policjant. – Proszę, niech pani zdecyduje co dla niej lepsze, przekonanie, że syn poszedł w ślady ojca i ją opuścił, czy świadomość, że został zamordowany przez nieznanego sprawcę, bo, jak sądzę, wpadł na jego trop.

Fritz Jensen poczuł w tym momencie tak wielki głód – wywołany nadzwyczajnym napięciem nerwowym – że ośmielił się i poprosił:

- Czy może mi pani zrobić kanapeczkę, albo dwie. Jestem bardzo głodny.

Obudzona po kilku godzinach ciężkiego snu Johanna Stratmann z pozornym spokojem wysłuchiwała tego, co postanowiła przekazać jej Grażyna. A ta uznała, że matce Hansa należy się prawda. Także ta, że prawdopodobnie zostanie babcią, że ona, Grażyna spodziewa się dziecka i jest to dziecko jej syna.

- Ja już dziecka nie zobaczę – powiedziała starsza pani. – Ratuj siebie, nawet gdybyś musiała mnie zostawić. Podaj mi pudełko ozdobione masa perłową. Jest w szufladzie toaletki.

Wyjęła z podanego jej pudełka całą schowaną w nim biżuterię i podała Grażynie.

- A tu masz kluczyk do sejfów – dodała, sięgając pod poduszkę. - Znajdziesz w nim pistolet Hansa, dokumenty i pieniądze. Broń i pieniądze zabierz, a dokumenty spal. Wszystko dobrze schowaj. Najlepiej zaszyj w różnych sztukach ubrania.

Grażyna milczała. Wiedziała, że protestowanie i zapewnianie, że obie sobie poradzą byłoby obrazą dla inteligencji Johanny Stratmann.

- Dziękuję i zapewniam, że zostanę z panią tak długo, jak tylko będzie to możliwe – zapewniła jedynie.

- Niedługo to potrwa – zakończyła rozmowę starsza pani i opadła na poduszki.

Grażyna Szczerbińska, starając się zachować psychiczną równowagę, czekała na rozwój wydarzeń, co do których było wiadome, że niczego dobrego nie mogą ze sobą przynieść. Objawy, które odczuwała, potwierdzały jej podejrzenia co do ciąży. Obliczyła, że powinna urodzić pod koniec lata. Gdzie wtedy będzie i w jakich warunkach, nie mogła przewidzieć. Johanna Stratmann gasła z każdym dniem. Pod koniec stycznia umarła. Grażyna nie wiedziała, czy ze zmartwienia, czy po połknięciu nadmiernej ilości tabletek nasennych, i nie chciała tego wiedzieć.

O pomoc w godnym pochowaniu matki obok syna poprosiła Fritza Jensena. On także zapewnił jej względne bezpieczeństwo, zamieszkując z nią w mieszkaniu Stratmannów, z

którego niechybnie zostałyby wyrzucona. Nie liczyła się już z tym, co o niej pomyślą ludzie. Zbliżał się front. Nadchodziła Armia Czerwona. Jedni cywile uciekali, inni pilnowali swego majątku. Grażyna nie miała odwagi wyjechać z Köslina. Nie chciała dołączyć do ludności niemieckiej i nie mogła wrócić do swoich.

Fritz Jensen jeszcze w styczniu, przed śmiercią Johanny Stratmann, pojechał do Henkenhagen i dowiedział się, że mężczyźni, o których opowiadała kochanka komisarza Grażyna Szczerbińska pracują w służbie pomocniczej w bazie lotniczej w Bodenhagen.

Odnalazł młodego człowieka – Grażyna możliwie precyzyjnie opisała jego wygląd – i przepytał go, nie informując o śmierci Stratmanna, Podał się natomiast, zgodnie z prawdą, za współpracownika komisarza. Nie było to zresztą konieczne, bo Mar Fischer - tak nazywał się ów mężczyzna – poznał go natychmiast.

Z pośpiechem i nerwowością Fischer wyjawiał Jensenowi, że o dokonywanie zbrodni od pewnego czasu podejrzewa niejakiego Theodora Bergera, który przed wojną pracował jako pomocnik latarnika w Funkenhagen, a którego zobaczył wycinającego na drzewie, na którym wisiała druga z ofiar, Emma Ackermann, znak solarny i literę T. Ten sam Theodor Berger, nieślubne dziecko skromnej niemieckiej wieśniaczki i rosyjskiego jeńca, fascynował się – twierdził Fischer – tarotem, wisielcami i nadzwyczajną duchową siłą, jaką daje kontemplowanie wisielca.

- Panie komisarzu – powiedział Fischer odchodząc, bo koledzy wołali go do pracy – Berger mścił się za swoje krzywdy i za krzywdy wyrządzone swojej matce.

- Komisarzu, komisarzu – powtarzał w myślach Jensen. – Czy ja w ogóle kiedykolwiek zostanę komisarzem.

Określenie aktualnego miejsca pobytu Theodora Bergera okazało się niemożliwe. Był na froncie wschodnim, a potem zniknął. Albo został złapany przez Rosjan i gnił w niewoli, albo zginął i nikt nie znalazł jego ciała, albo zdezerterował i ukrywał się nie wiadomo gdzie.

- Dopadnę drania, jeśli tylko przeżyjemy wojnę, ja i on – obiecał sobie i Grażynie Fritz Jensen.

Jensen w połowie lutego został oddelegowany do obrony twierdzy Kolberg. Od czasu do czasu podjeżdżał pociągiem, albo jakąś okazją, do Köslina i, zjadając z wielkim apetytem przyrządzone przez Grażynę skromne potrawy – w miastach jedzenia brakowało – opowiadał co się dzieje.

- Z Kolbergu i z okolic ucieka kto tylko może – relacjonował. – Oficjalnie nie ogłoszono jeszcze ewakuacji ludności cywilnej, ale to błąd. Front jest coraz bliżej. Nie obronimy miasta.

- Co pani zamierza zrobić? – dopytywał. – W miastach będzie najgorzej. Mordy, gwałty i rabunki. Niech pani ucieka gdzieś na wieś. Na wsi będzie trochę bezpieczniej. Dam pani adres właścicielki pensjonatu Haus am Meer w Sorenbohm. Powoła się pani na mnie i na Stratmanna. Właścicielka pensjonatu, Liza Rozenow, to dobra kobieta. Z pewnością pani pomoże. I radzę wyjechać z Köslina do Sorenbohm jak najszybciej.

Grażyna Szczerbińska posłuchała rady Jensena. Zasyłała kosztowności i pieniądze w różnych częściach garderoby. W lutym trzymał jeszcze siarczysty mróz i mogła włożyć na siebie kilka warstw ubrań, a na nie ciepły płaszcz z wywatowanymi ramionami, do których, po wyjęciu watoliny także wpakowała zwitki pieniędzy i kilka złotych monet. Płaszcz był obszerny, podbity futrem, ale na tyle podniszczony, że nie powinien budzić niczyjego pożądanja. Wyjęła go z szafy Stratmanna i, po przymierzeniu, z ulgą stwierdziła, że nie jest przesadnie na nią za duży.

- No tak – pomyślała. – Hans nie był przecież potężnym mężczyzną.

Pod płaszczem zmieściła się jeszcze szmaciana torba z najpotrzebniejszymi rzeczami i z jedzeniem. Pistolet włożyła do kieszeni płaszcza. Tak przygotowana, bez jakiegokolwiek bagażu w ręce, wyruszyła na dworzec.

Dworzec był zatłoczony a pociągi zabierające cywilów jeździły poza rozkładem jazdy. Do Sorenbohm dotarła dnia następnego po południu, z trudem idąc po śniegu z dworca w Alt Banzin. Odnalezienie pensjonatu nie było zbyt trudne, choć nikogo nie pytała o drogę. Ludzie, których mijała opuszczali głowy i przyspieszali kroku. Ona także nie chciała z nikim rozmawiać.

Pensjonat Haus am Meer wyglądał na opuszczony. Drzwi i okiennice zamknięte, wokół żywego ducha. Ale powietrze nad kominem drżało, a od czasu do czasu unosiła się nad nim smuga dymu.

Zastukała nieśmiało, a potem przekreśliła dzwonek umieszczony na drzwiach. Cisza za drzwiami trwała tak długo, że straciła nadzieję, że ktokolwiek jej otworzy, a nie miała pojęcia dokąd mogłaby się udać.

- Chyba pójde do kościoła – przyszło jej do głowy, bo z przejścia po Sorenbohm zapamiętała tylko widok falującego morza, zaśnieżonej plaży i wysokiej kościelnej wieży.

Nagle usłyszała ciche kroki, a potem także cichym kobiecym głosem zadane pytanie:

- Kto tam?

- Ja od komisarza Hansa Stratmanna i Fritza Jensena – odpowiedziała równie cicho.

Zgrzytnął zamek i drzwi uchyliły się na tyle, że Grażyna zobaczyła elegancko uczesaną i pachnącą dobrymi perfumami kobietę w wieku około pięćdziesięciu lat. Kobieta stała przed nią opatulona wełnianą chustą i patrzyła pytającym wzrokiem.

- Dostałam pani adres od asystenta kryminalnego Fritza Jensena. Powiedział, że udzieli mi pani schronienia – wydukała zakłopotana Grażyna, zdając sobie sprawę ze swego nietypowego wyglądu oraz równie nietypowej prośby.

Jej zaczerwienioną od wysiłku i zimna twarz pokrywała warstwa topniejącego śniegu. Jej opuszczona ze zmęczenia głowa była owinięta ośnieżoną wełnianą chustą, a obszerny płaszcz zniekształcał jej sylwetkę. Dyszała, z ust ulatywały kłęby pary.

- Pani nie jest Niemką – stwierdziła spokojnie kobieta. – Żydówka?

- Nie, nie – nazbyt gwałtownie zaprzeczyła Grażyna. – Jestem Polką. Pracowałam jako służąca u komisarza Stratmanna. Stratmann nie żyje, jego matka także. Nie mam gdzie się podziać - głos jej załamał się nagle pod wpływem nadmiaru przeżyć ostatnich tygodni.

- Ja nazywam się Liza Rozenow – powiedziała kobieta i wpuściła Grażynę do środka. – Proszę się rozebrać i usiąść przy kominku. Musi się pani rozgrzać. Przygotuję coś do jedzenia.

Niespodziewanie dla siebie samej po skromnym, ale rozgrzewającym posiłku, który obie kobiety zjadły w milczeniu, spoglądając jedynie od czasu do czasu na siebie, Grażyna postanowiła opowiedzieć Lizie Rozenow swoją historię od początku do końca, czyli wyznać także, że nosi pod sercem dziecko komisarza Hansa Stratmanna.

Tak długo żyła nie swoim życiem i tak długo o sobie nie mówiła, że osobiste doświadczenia zaległy w niej jak warstwa ciężkiego ciemnego mułu. Ten muł podchodził jej teraz do gardła i dusił ją tak mocno, że traciła rozsądek, ostrożność i zdolność maskowania się, które aż dotąd pozwalały jej przetrwać.

Sposobność do zwierzeń nadarzyła się, gdy pani Rozenow dorzuciła drewno do kominka, zgasiła światło i ruchem ręki zaprosiła przybyłą, aby zajęła miejsce w jednym z dwóch stojących przy kominku foteli. Wysłuchiwała przerywanej łkaniem historii nie okazując zniecierpliwienia i nie wyrażając współczucia. Słuchała, patrząc w płonący ogień, jakby nawet przez spojrzenia nie chciała okazywać swoich uczuć. Zareagowała dopiero wtedy, gdy Grażyna powiedziała jej o podejrzeniu Fritza Jensena, że komisarz Stratmann został zamordowany przez tego samego człowieka, który prawdopodobnie powiesił przed wojną kilka osób z okolic Sorenbohm.

- Pamiętam wszystko doskonale – odezwała się wreszcie Liza Rozenow poprawiając się w fotelu. – Zginęła także jedna z moich pracownic. Miała na imię Emma. Dobra, pracowita i porządna dziewczyna, choć mówiono, że była w ciąży.

- Przepraszam – zorientowała się po niewczasie, że uwaga o ciąży i porządności mogła urazić jej gościa.

Wstała i dołożyła do kominka duży kawał drewna. Przez chwilę patrzyła na rozpiezchające się w kominie iskry i coraz większe płomienie łakomie oblizujące nowo dostarczone im bierwiono. Potem odwróciła się i spojrzała na młodą kobietę.

Kobieta, w której postaci wyraźnie widziała zniechęcenie i zmęczenie, siedziała nieruchomo ze spuszczoną głową. Nie zareagowała na słowa przeprosin, więc Liza Rozenow podeszła do niej, położyła jej rękę na głowie i uspokajająco pogładziła po wciąż jeszcze wilgotnych włosach.

- Przepraszam – powiedziała raz jeszcze ciepło i prosząco, a potem znów usiadła i kontynuowała:

- Mówiono, że Emma była w ciąży i że ojcem jej dziecka był Thomas Winckler, syn Paula Wincklera, właściciela młyna wiatrowego w Sorenbohm,. Wincklerów policja podobno przesłuchiwała dokładniej niż innych, ale okazali się niewinni. Starzy Wincklerowie wyprowadzili się do Kolbergu. Thomas jest w SS. Nie wiem, czy jeszcze żyje.

- Jensen mi o tym nie powiedział – zareagowała tym razem Grażyna. – O ciąży i o Thomasie. On rozmawiał niedawno z jakimś młodym mieszkańcem Bauerhufen, który pracuje teraz w bazie lotniczej pod Kolbergiem. Ten mężczyzna zaczął wcześniej Stratmanna, bo chciał mu powiedzieć kogo podejrzewa o zbrodnię. Stratmann go nie wysłuchał. Ten człowiek powiedział Jensenowi, że mordercą może być jakiś dawny pracownik pobliskiej latarni morskiej.

- Pracownik latarni morskiej? – zastanawiała się Liza Rozenow. – No to chyba podejrzewał takiego młodego chłopaka, pomocnika latarnika. Jak on się nazywa?

- Przypomniałam sobie! – powiedziała po chwili namysłu. – Nazywał się Theodor Berger. Chłopak mieszkał z matką i babką w Bauerhufen. Nie miał łatwo. Był nieślubnym dzieckiem – Liza Rozenow znów z niepokojem spojrzała na Grażynę Szczerbińską, ale nie zauważyła oznak urazy na twarzy młodej kobiety.

- Był nieślubnym dzieckiem – powtórzyła – a jego domniemany ojciec to rosyjski jeńiec wojenny, który uwiódł jego matkę, a następnie uciekł. Trudno mi uwierzyć, że Theodor Berger mógł wieszać ludzi. Ale kto wie, co siedzi w człowieku. Zwyczajni ludzie okazują się bestiami.

3. Udręka



Pod koniec września 1945 roku Grażyna Szczerbińska urodziła zdrowego syna. Poród, długi i wyczerpujący, odebrała niemiecka akuszerka, którą w pośpiechu sprowadziła z Karlina Liza

Rozenow, korzystając z pomocy sąsiada posiadającego konia i bryczkę. Dwa dni po urodzeniu matka, jeszcze leżąc w połogu, ochrzciła dziecko z wody, choć życiu jej syna nie nie zagrażało. Grażyna uparła się jednak że woli chrzest z wody niż chrzest w innym wyznaniu niż katolickie, a żadnego katolickiego księdza w pobliżu nie było. Mały otrzymał imię Stanisław.

Czasy były niepewne. Pensjonat Haus am Meer znajdował się teraz na ziemiach należących do Polski, administracja też nominalnie była polska, ale większa część wiejskiej ludności pozostawała niemiecka. Pomimo administracyjnego zamieszania i braku pewności co do dnia jutrzejszego obie kobiety, Niemka i Polka, uznały jednak, że najgorsze mają już za sobą, bo przetrwały trwogę przed nadciągającą Armią Czerwoną i jej przejście. Cóż więc gorszego mogło jej jeszcze spotkać?

Front przeszedł gwałtownie i niszczycielsko, ale wkrótce oddalił się na zachód i po czasie armagedonu można było trochę odetchnąć. Pensjonat oczywiście nie działał normalnie, ale kobiety nadal w nim zamieszkiwały, udzielając wciąż zmieniającym się podróżnym i uciekinierom noclegów za drobną opłatą. Radziły sobie wyzbywając się dyskretnie, w obawie przed rabunkiem, skrzętnie skrywanych kosztowności, uprawiając warzywa i hodując drób. Liza, niepewna co ją może spotkać od Polaków, starała się być prawie niewidoczna. Pozostawała w domu, a Grażyna, gdy tylko podniosła się z połogu, załatwiała sprawy na zewnątrz. Grażyna była wdzięczna Lizie nie tylko za udzielenie schronienia. Miała wobec niej dług nie do spłacenia za to, że Liza w marcu, uchroniła ją przed napastliwością sowieckich żołnierzy.

- Jesteś w ciąży – powtarzała wtedy uporczywie. – Chroń siebie i dziecko.

Ukryła ją w najdalszym kącie piwnicy i, jak później powiedziała, obsłużyła w każdym względzie sowieckich oficerów, którzy przez kilka nocy kwaterowali w pensjonacie. Dokładnie nie było wiadomo, na czym obsługa polegała, ale Grażyna nie dopytywała. Liza zaś powiedziała tylko:

- Miałam szczęście. Jestem stara a trafili się w miarę porządni ludzie.

Rosjanie nie zabili Lizy, bo oddała im sporą część swojej biżuterii, otwierała przed nimi wszystkie skrytki i ze spokojem patrzyła jak zabierają wszystko, co ma jakąkolwiek wartość.

- Udało się – powiedziała tylko do Grażyny, gdy ta pierwszy raz wyszła z piwnicy wycieńczona, blada i brudna. – Najgorsze minęło.

Liza myliła się. Najgorsze czekało je w niedalekiej przyszłości w pierwszej połowie 1946 roku. Pewnej styczniowej nocy obudziły się słysząc ciche pukanie do drzwi. Od początku chłódów spały w salonie, który jako jedyny mogły dogrzać. Na jednym łóżku spała Grażyna z niemowlęciem, na drugim Liza. Postanowiły przyczać się i nie otwierać, ale dziecko obudziło się także i zaczęło płakać. Natychmiast rozległo się walenie w okno salonu. Uznały, że lepiej będzie, gdy to Grażyna otworzy niespodziewanym i niepożądanym o tej porze gościom, najpewniej polskim przedstawicielom władzy. Gdy młoda matka uchyliła drzwi i zapytała cicho po polsku „kto tam?”, od razu dostała cios w twarz, zachwiała się i upadła na podłogę. Dwaj po cywilnemu ubrani mężczyźni wtargnęli do środka i, przekraczając leżącą Grażynę, jakby była kłodą drewna na ich drodze, poszli prosto do salonu, skąd dobiegał płacz dziecka i uspokajający je głos Lizy.

- Panowie, o co chodzi? – usłyszała wypowiedziane po niemiecku słowa Lizy Grażyna, dźwigając się z trudem z podłogi.

- Dlaczego ta polska szmata gada po polsku w niemieckim domu? Dlaczego śpisz razem z nią i niańczysz jej bachora? – wrzasnął, także po niemiecku, jeden z mężczyzn ubrany w skórzaną lotniczą kurtkę podbitą futrem.

Był wysoki, dobrze zbudowany, choć już niemłody. Wyglądał na około 40 lat. Jego twarz, blada i pociągła, wyrażała nienawiść i zaciętość, które widoczne były w jego spojrzeniu. Drugi, w podobnym wieku, trzymał się z tyłu i milczał. Był drobniejszy, a jego twarz niewiele wyrażała. Zasłaniał ją podniesionym futrzanym kołnierzem grubego tweedowego płaszcza.

Liza stała przy kominku z dzieckiem w objęciach i, zaskoczona widokiem uzbrojonych niemieckich cywilów, nie mogła wydusić z siebie słowa. Grażyna weszła do salonu i zbliżała się do niej, aby zabrać Stasia, ale zanim zbliżyła się do kominka, została znów obalona na ziemię. Tym razem silnym kopnięciem.

- Rozbieraj się polska kurwo! – wrzasnął ten ubrany w skórzaną lotniczą kurtkę bez dystynkcji.

Spojrzenie Grażyny powędrowało na ułamek sekundy w stronę łóżka, gdzie po poduszka trzymała pistolet Stratmannów. Ani ona, ani obarczona niemowlęciem Liza nie miały żadnej szansy, aby wydobyć broń. Rozebrała się więc posłusznie, aby nie drażnić napastników.

Wziął ją ten agresywny, nie zważając na Lizę i coraz głośniej płaczące dziecko. Młodszy patrzył na krępującą scenę beznamiętnie. Trzymał na celowniku Lizę, która odwróciła się do ściany, chroniąc siebie i dziecko przed widokiem gwałtu.

Po wszystkim zażądali nagrzania wody do kąpieli i przygotowania jedzenia, więc Liza oddała Grażynie synka, a sama zajęła się spełnieniem żądań. Napastnicy rozsiedli się w fotelach. Grażyna, zeszywniała i zobojętniała, ubrała się i uspokoiła płaczące dziecko. Cały czas czuła na sobie wzrok niższego z mężczyzn i wycelowaną lufę pistoletu.

- Będziemy do was wpadać. Nikomu ani słowa, bo zginiecie – oświadczyli, wychodząc zanim zaczęło świtać.

- Znam jednego z nich i on także mnie zna – powiedziała Liza, gdy tylko zamknęła za nimi drzwi i wróciła do salonu. – Przygotuję ci kąpiel – dodała, widząc jak Grażyna bezradnie siedzi przy synku, którego nakarmiła i uśpiła.

- Znam jednego z nich. On też z pewnością mnie zna – powtórzyła Liza, kiedy Grażyna znów pojawiła się w salonie owinięta w płaszcz kąpielowy. – Mieszkał chyba w Bauerhufen. Nazywa się Jakusch, czy jakoś tak. Niewiele się zmienił od czasów młodości. Widywałam go w Sorenbohm. Chodził tu do szkoły i do kościoła. Zestarzał się i stwardniał, bo pamiętam go jako dość miłego młodzieńca, a teraz to brutal i bandyta. Zauważyłam, że stracił dwa palce prawej dłoni.

Grażyna położyła się koło niemowlęcia i nie odzywała się, więc Liza zamilkła. Próbowaly zasnąć, a przynajmniej trochę odpocząć.

Nocne najścia zdarzały się nieregularnie przez długie cztery miesiące. Wprowadziły Grażynę w stan nieustannego strachu. Straciła pokarm. Kupowała dla dziecka mleko kozie u sąsiadów. Gdyby nie obowiązki przy Stasiu, załamałaby się nerwowo. Coraz częściej mówiła o beznadziejności swojego życia i o tym, że chętnie odeszłaby z tego świata.

- Tylko Staś powstrzymuje mnie przed samobójstwem – powiedziała do Lizy pewnego dnia. – Ale nie wiem, czy Staś potrzebuje takiej matki jak ja. Zrobili ze mnie niemiecką kurwę. Jestem tylko wywłoką, którą bierze kto chce i kiedy chce.

- Zamilknij – rozkazała jej ostro Liza. – Nie jesteś ani kurwą, ani wywłoką, a każde dziecko potrzebuje własnej kochającej matki. Będiesz taką matką dla Stasia. Już jesteś.

Pod koniec zimy, jeszcze zanim nadeszły wiosenne roztopy, Liza przyniosła do domu wiadomość, która, miała nadzieję, mogła wlać trochę otuchy w serce zrozpaczonej młodej kobiety.

- Będą wysiedlać Niemców – oznajmiła z wyraźną radością w głosie. – Pojedziecie ze mną. Tutaj długo jeszcze nie będzie spokoju. Pod München odnajdę moją rodzinę. Pomogą nam się urządzić. Tutaj nie mam już nikogo bliższego od ciebie i Stasia. Wojna zniszczyła wszystko. O pensjonacie i całym dotychczasowym życiu trzeba zapomnieć.

- Nie wytrzymam wśród Niemców – brutalnie przerwała wywód Lizy Grażyna. - Nie chcę już mówić po niemiecku i nie chcę słuchać niemieckiej mowy. Wszystko co niemieckie, poza tobą Lizo, budzi we mnie strach i odrazę.

- To przejdzie, to przejdzie z czasem – próbowała uspokajać Grażynę Liza zmartwiona gwałtownością jej reakcji. – Zapomnisz. Przyzwyczaisz się.

Grażyna zamilkła.

- Ona nie zdaje sobie sprawy z tego, co się ze mną dzieje. Jaką mam w sobie nienawiść do jej rodaków i pogardę do siebie samej – myślała. – Kim zostanie mój syn? Niemcem? Kimś kogo będę kochać i nienawidzić jednocześnie? Nie zniosę tego! Okłamałam ją. Ona także budzi we mnie strach i odrazę. Z pewnością była lojalną obywatelką III Rzeszy. Przyjmowała niemieckich żołnierzy pod swój dach i życzyła im zwycięstwa. Podnosiła rękę na powitanie i wołała „Heil Hitler”.

Liza Rozenow zaczęła przygotowania do wyjazdu. Nie miała wątpliwości, że wyjadą wszyscy troje. Nikt nie mógł żyć normalnie na ziemi niczyjej, gdzie panowało bezprawie i prowizorka, gdzie siali przestępcy i gwałt żołnierze-bandyci, a kradzież i przemoc dyktowały warunki porządnym ludziom.

- Przecież gdy tylko sytuacja się wyklaruje, gdy skończy się powojenne zamieszanie – przekonywała, zauważając objawy apatii u swej podopiecznej – będziesz mogła wrócić do Polski.

Grażyna kiwała potwierdzająco głową, ale wewnątrz czuła pustkę. Czuła się jak sponiewierane zwierzę w klatce, z której wydostanie się nigdy nie będzie już możliwe, a jeśli nawet byłoby możliwe, to nie pozwoli na nie brak sił.

Sprawy potoczyły się jednak inaczej, niż planowała Liza i czuła Grażyna. Pod koniec kwietnia nastąpiła kolejna wizyta niechcianych i brutalnych gości. Tym razem jednak wizyta przebiegła inaczej niż wizyty wcześniejsze, podczas których niemieccy mężczyźni zaspokajali swoje najprymitywniejsze potrzeby i odchodzili strasząc śmiercią w przypadku doniesienia na nich do polskich władz. Po pierwszej napaści kobiety ustaliły, że będą milczeć i że nie będą atakować. Słabo posługiwały się bronią. Nie miały szans pokonać dwóch sprawnych w strzelaniu byłych żołnierzy. Tym razem jednak gorzko żałowały, że poddały się bez oporu. Jakusch przyłożył Lizie pistolet do głowy i powiedział:

- Idziesz z nami. A ty – zwrócił się do Grażyny – siedź tu ze swoim bękartem i czekaj na swoją kolej. Zwiąż ją dobrze - rzucił do kolegi.

- Proszę nie wiążcie mnie! – krzyknęła przerażona matka. – Dziecko będzie płakało, a ja mu nie pomogę! Ktoś usłyszy! Przecież tego nie chcecie!

- To bachor Stratmanna? Tak czy nie? – zapytał Jakusch i dodał:

– Możemy go zaraz uciszyć. Masz szczęście, że to jednak syn Niemca. Przyda nam się w przyszłości młoda niemiecka krew. Słyszałem, że jego tatuś marnie skończył. Powiesił się.

- Nakarm dziecko i uśpij. Pójdiesz z nami - zarządził.

Grażynę ogarnęło ponure olśnienie. Człowiek, który wypowiedział te słowa był nie tylko jej oprawcą. Był mordercą. Nie żołnierzem, który zabijał na rozkaz na wojnie. Był mordercą wieszającym niewinnych ludzi. Swoich rodaków. To jego obawiał się Stratmann. To jego zobaczył w gospodzie jako towarzysza Fischera. Nie chciał Fischera wysłuchać, żeby go chronić przed Jakuschem. To ten człowiek odpowiada także za śmierć Stratmanna.

Jej umysł pracował szybko i nadspodziewanie sprawnie.

- Chce powiesić Lizę. Mnie także. Stasia zostawi na pastwę losu, albo odda pierwszej lepszej Niemce – przelatywały jej przez głowę gorączkowe myśli, a inne napływały za nimi:

- Nie, nie! Oszalałam. Łączę go ze wszystkimi nieszczęściami, bo mnie krzywdził. To zwykły niemiecki podżegacz z jednej z grasujących w okolicy band usiłujących odzyskać straconą ziemię. Zastrzeli nas, albo tylko nastraszy.

Udawała, że karmi Stasia piersią. Dziecko, zmęczone ssaniem, przysypiało i budziło się na przemian. Liza stała przy drzwiach salonu. Kobiety patrzyły sobie intensywnie w oczy. Obie

przeczuwały grożącą im śmierć. Nagle Liza zamknęła na dłużej oczy i Grażyna wszystko zrozumiała. Powoli sięgnęła pod poduszkę, wyjęła pistolet i schowała na piersi.

Szli gęsiego w stronę nadmorskiego lasu. Prowadził Jakusch, a za nim z udawaną nieporadnością dreptała Liza, potykając się, zatrzymując i prawie upadając. Grażyna podtrzymywała ją, chroniąc przed upadkiem.

- Uciekaj! – wyszeptała Liza. – Teraz!

- Zostaw ją! – wściekle warknął idący na końcu czteroosobowego pochodu towarzysz Jakuscha.

Po kilku następnych krokach Liza rzuciła się do ucieczki. Pchnęła z całej siły idącego przed nią Jakuscha, który stracił równowagę i pobiegła przed siebie, czyli w stronę lasu. Tam dokąd zmierzali. Grażyna błyskawicznie odwróciła się, wystrzeliła na chybił trafił do tego, który szedł za nią. Mężczyzna uskoczył, potknął się, albo upadł, a ona pobiegła w przeciwną niż Grażyna stronę. Nie oglądała się za siebie. Skręciła w lewo i znalazła się na głównej ulicy Sorenbohm. Przed nią, na tle jaśniejszego nieba, ciemniała sylwetka kościoła.

- Azyl, azyl – dudniło w jej głowie to nie wiadomo skąd przychodzące słowo.

Wbiegła po kilku stopniach i znalazła się przed potrójnymi drzwiami. Obejrzała się. Nie zobaczyła nikogo. Nacisnęła klamkę bocznych drzwi, a te skrzypnęły cicho i otworzyły się. Weszła do przedsionka, a potem po drewnianych schodach wspięła się na górę, pchnęła kolejne drzwi i znalazła się na długiej emporze ciągnącej się wzdłuż prawego boku nawy głównej.. Potykając się o ławki przeszła aż do końca balkonu i z dziwnym, nieusprawiedliwionym jej obecną sytuacją spokojem, położyła na drewnianej podłodze między ławkami.

4. Stare ślady



Wyjazd do Polski z darami, wędrowka z Mielna do Sarbinowa i krótki pobyt w niepodobnym do Kolbergu Kołobrzegu nie przyniosły Marowi Fischerowi oczekiwanego uspokojenia. Przeszłość i teraźniejszość okazały się mocno połączone poplątanymi więzami. Mara ogarnęła obsesja już nie tyle zerwania tychże więzów, lecz ich rozplątania, poukładania i wygładzenia. Korzyść z pobytu w Polsce była taka, iż powziął silne przekonanie, że kiedy wreszcie wyjaśni kto był kim, kto krzywdził, a kto niewinnie cierpiał oraz na czym polegała wina jego młodości, to wypełni to, co dawno zrobić powinien i odzyska wewnątrz spokój. Zatem miał przed sobą cel trudny do osiągnięcia, ale wyznaczający zadania do wykonania.

Najbardziej palącym zadaniem było niewątpliwie rozwiązanie zagadki, którą stał się dla niego Edmund Jakusch. Przeczuiwał, że osoba Jakuscha vel Jakusza stoi w centrum wydarzeń na Pommern, czyli dzisiejszym Pomorzu Zachodnim, zarówno tych sprzed wojny, jak i powojennych, o których tak niewiele wiedział.

- Jakusch został na Pomorzu, żeby walczyć w strukturach Werwolfu i wtedy skrzywdził Grażynę Wolny. Ale czy ma on coś wspólnego z przedwojennymi morderstwami? – zastanawiał się. – To on, młody wtedy chłopak, chętnie zapoznawał mnie z niemiecką mitologią i symbolicznym znaczeniem wieszania. Czy fascynował się wisielcami tak jak Berger? Muszę wszystko w głowie uporządkować - postanowił. – Połączyć od nowa ludzi i zdarzenia. Za młodu byłem naiwny i łatwowierny. Jakusch łatwo mógł mnie zwieść.

Pewnej nocy przyszło Marowi do głowy, że powinien z kimś porozmawiać, aby zdobyć nowe spojrzenie na sprawę. On sam był nazbyt skłonny przyjmować za pewniki swoje dawne

przypuszczenia. Zastanawiał się nad właściwą osobą. Wybór był niewielki. Żona i dzieci nie wchodziły w rachubę. Koledzy, których poznał po wojnie także nie. Pozostawały jedynie jakieś osoby, które znał sprzed wojny.

- Ale jak i gdzie ich szukać? – zastanawiał się, wierząc się w pościeli.

Wstał ostrożnie, aby nie obudzić żony i przeszedł do salonu. Wyrwał kartkę z podręcznego notatnika, usiadł przy stole i zaczął zapisywać wszystkie nazwiska, które jeszcze pamiętał. Zapisywał i skreślał. Pozostały mu dwa oczywiste, Jakusch i Berger, ale także dwa, z których drugie mogło stać się punktem zaczepienia. Pierwsze brzmiało Stratmann, drugie Jensen.

- Komisarz Stratmann – rozmyślał Fischer – prawdopodobnie już nie żyje, albo jest bardzo stary, ale jego asystent Jensen, imienia nie pamiętam, powinien mieć teraz około siedemdziesiątki, o ile udało mu się przeżyć wojnę. Nie był starszy ode mnie o więcej niż dziesięć lat. Ale jak go odnaleźć?

Znalezienie emerytowanego policjanta – Mar Fischer chciał wierzyć, że Jensen po wojnie pozostał w policji, bo zwiększało to, jak sądził, szansę na jego odnalezienie – zaczął od wizyty w siedzibie Landespolizei w sekcji policji kryminalnej i od razu zrozumiał, że wybrał niewłaściwą drogę.

- W żadnym wypadku nie udzielamy osobom postronnym informacji o naszych pracownikach – usłyszał.

Pozostało mu więc mozolne przeglądanie książek telefonicznych. Ich ilość sprawiała, że szansa na odnalezienie właściwego Jensena zmalała prawie do zera, ale za to rachunek za telefon wzrastał, bo musiał sprawdzić sporą ilość numerów. Żona z niepokojem patrzyła na jego zacięcie i z dezaprobatą kręciła głową. Ale postanowił nie poddawać się. Liczył na łut szczęścia.

Trudno było powiedzieć czy rzeczywiście dopisało mu szczęście, czy została nagrodzona jego cierpliwość. Tak czy inaczej w czwartym tygodniu ślęczenia nad książkami telefonicznymi i telefonowania wybrał hamburski numer przypisany do nazwiska Fritz Jensen. Słuchawkę podniósł, sądząc po głosie, starszy mężczyzna, a Mar, jak zwykle, przedstawił się i wygłosił przygotowaną wcześniej i powtarzaną w nieskończoność formułkę, która brzmiała:

„Dzień dobry. Nazywam się Mar Fischer. W pewnej dawnej i bardzo ważnej dla mnie sprawie poszukuję pana Jensena, który służył w latach trzydziestych w policji kryminalnej w mieście Köslin, dziś leżącym na terenach przyznanych Polsce”.

Tym razem jednak nie pozwolono mu jej dokończyć.

- Pamiętam pana – usłyszał w słuchawce i zamarł. – To pan był tym chłopcem, który znalazł pierwszą powieszoną ofiarę.

- Tak. To ja – wydusił zaskoczony Mar Fischer, a serce waliło mu tak głośno, że ledwo słyszał swój głos, gdy mówił:

– Panie Jensen, czy mógłby pan spotkać się ze mną. Muszę z panem koniecznie porozmawiać o dawnych sprawach. One się jeszcze nie skończyły niestety, a pan jest jedyną osobą, która o nich dużo wie i jedyną, która może mi pomóc. Przyjadę do Hamburga, jeśli zgodzi się pan na spotkanie.

W czwartek przed południem 27 maja 1983 roku Fritz Jensen czekał na Mara Fischera na stacji metra Rathaus. Doradził gościowi, aby przyjechał do Hamburga pociągiem, a na miejsce spotkania dotarł metrem i tym samym uniknął kłopotu z parkowaniem samochodu. Rozpoznać się mieli po tym, że zamiast ruszać z tłumem do wyjścia, obaj będą stać na peronie. Jensen nie czekał długo. Po odjeździe trzeciego składu na peronie pozostał bardzo szczupły, trochę pochylony mężczyzna średniego wzrostu, wiekiem odpowiadający Fischerowi. Ubrany był w jasne spodnie, błękitny cienki sweter i beżowe mokasyny. Siwe włosy, bez oznak łysienia, obcięte były krótko i przysłonięte ciemnymi okularami zsuniętymi z oczu na głowę.

- Jeszcze całkiem przystojny – pomyślał Jensen trochę zazdroszcząc gościowi wyglądu.

Podniósł rękę i pomachał, dając przybyszowi znak, że to właśnie on na niego czeka.

Jensen zachował swą dużą postać z nadmierną wagą, którą posiadał już od wieku młodzieńczego. Miał już siedemdziesiąt dwa lata, owdowiał bezdzietnie i był zdany tylko na siebie, więc pomimo wieku i ociążałości ćwiczył systematycznie, aby nie tracić sprawności fizycznej. Jedzenie nadal było dla niego największą przyjemnością, której z trudem odmawiał sobie od czasu do czasu, aby nie nabierać nadmiernie tuszy. Z zasady także nie dbał o ubranie, bo nad elegancję przedkładał wygodę. Nosił luźne spodnie dżinsowe, bawełniane

podkoszulki, a garnitur wkładał tylko na specjalne okazje. Spotkania z Marem Fischerem za taką okazję nie uważał, więc strój miał swobodny i niezbyt elegancki.

O rozpoznaniu się po tylu latach trudno było mówić. Mężczyźni przez chwilę przyglądali się sobie uważnie, a potem bez skrępowania uścisnęli się tak, jakby wcześniej dobrze się znali.

- Pana też ciągnęło do morskich klimatów – stwierdził Jensen. – Pan w Bremie, ja w Hamburgu.

Fischer jedynie pokiwał głową.

W milczeniu wyszli ze stacji metra i skierowali na plac ratuszowy, aby znaleźć przyjemną, ale nie nazbyt zatłoczoną kawiarnię, w której mogliby spokojnie porozmawiać. Kiedy usiedli przy stoliku i zamówili dwie kawy i dwie bułki cynamonowe nazywane „francuskimi”, znów pierwszy odezwał się Jensen.

- Mówmy sobie po imieniu. Jestem Fritz.

- Mar.

Ponownie uścisnęli sobie dłonie.

- Muszę się przyznać – mówił dalej Fritz – że ja także wracałem do tamtej paskudnej sprawy i ciągle szukałem jakiegoś wyjaśnienia. Nie dawała mi spokoju szczególnie po śmierci komisarza Hansa Stratmanna. Obiecałam sobie i kobiecie, Polce, która u niego służyła - łączyło ich coś więcej, bo była jego kochanką, a może lepiej powiedzieć ukochaną - że znajdę mordercę Stratmanna i tych kilkorga ludzi, którzy zginęli z jego ręki jeszcze przed wojną. Ale nie udało się. Pamiętasz panikę, ewakuację, ucieczkę, a potem nowe obce miejsca, urządzenie się, dotkliwą powojenną politykę. No a potem praca, praca, praca. Nowe przykryło stare i trzeba było starać się nie myśleć o dawnych sprawach. Ale one powracały i doskwierały. Prawda?

- To komisarz Stratmann został zamordowany? – Mar z całego wywodu Fritza zapamiętał jedynie informację o śmierci komisarza.

- Nie wiedziałeś? – zdziwił się Jensen. - Nie powiedziałem ci o powieszeniu Starmanna wtedy, gdy przyjechałem przepytac ciebie w Bodenhagen?

- Nic mi nie powiedziałeś – oznajmił Fischer. – Przesłuchiwałeś mnie i tyle. Nie byłem wtedy dla ciebie partnerem do rozmowy, lecz świadkiem, a może też podejrzanym. Pytałeś o to, co chciałem powiedzieć Stratmannowi, gdy zobaczyłem go przypadkiem w gospodzie w Henkenhagen. Byłem wtedy przekonany, że to on kazał ci mnie wypytać.

- Tak, pamiętam – zamyślił się Jensen. – Dobrą tu mają kawkę i ciasteczka. Prawda? – stwierdził znienacka a na jego twarzy pojawił się na moment wyraz zadowolenia.

Fischer zignorował tę ostatnią uwagę i kontynuował:

- Powiedziałem ci wtedy, że mordercą wieszającym ludzi z powodu jakichś psychicznych odchyłeń może być Theodor Berger, pomocnik latarnika z Funkenhagen, bo przyłapałem go na wycinaniu znaku solarnego na drzewie, na którym znaleziono powieszoną Emmę Ackerman. Teraz już nie jestem pewien czy to on. Spotkałem go na statku podczas ewakuacji Kolbergu. Zachowywał się normalnie. Zniknął mi z oczu w Swinemünde, jak tylko dopłynęliśmy do portu i nigdy więcej go nie widziałem. Byliśmy na statku we trzech. Ja, mój ówczesny przyjaciel Edmund Jakusch, z którym pracowałem w bazie lotniczej w Bodenhagen i z którym razem uciekaliśmy, no i Berger, który dołączył do nas później, już na pokładzie.

Fritz Jensen słuchał, ale jednocześnie rozglądał się za kelnerką, co bardzo Mara Fischera rozdrażniło, więc zamilkł i czekał, aż były asystent kryminalny zamówi sobie następną kawę i drugie ciastko. On nie zjadł jeszcze pierwszego.

- Muszę ci powiedzieć coś bardzo ważnego – zaczął nowy wątek, gdy tylko Fritz dostał swoje zamówienie.

- Poczekaj – stanowczym głosem poprosił Jensen, którego roztargnienie było pozorne, bo potrafił jednocześnie słuchać i myśleć o jedzeniu. – Musisz wiedzieć, że Stratmann już nie żył, kiedy przyjechałem do ciebie do bazy. Znaleźliśmy go powieszonego w parku w Köslinie dokładnie 1 stycznia 1945 roku. Pętla, którą miał na szyi, była dokładnie taka sama, jak te poprzednie, znak narysowany pod jego stopami także, a powieszono go na starym drzewie zwanym Drzewem Czarownic. To nie mógł być zbieg okoliczności. Wszystko się zgadzało. Powiesił go ten sam człowiek - albo ci sami ludzie, bo coraz częściej myślę, że nie działano w pojedynkę – który wcześniej zabijał wieśniaków. Stratmann nigdy nie porzucił śledztwa, choć wszystkie sprawy zamknęto i mógł działać tylko na własną rękę. Jego przypadek także uznano za samobójstwo. Tak było wygodniej. Po śmierci Stratmanna mieszkalem przez czas

jakiś w jego mieszkaniu, żeby chronić tę Polkę, Grażynę jakąś tam. Przejrzałem wtedy wszystkie papiery zgromadzone w biurku. Coś niecoś znalazłem.

- Grażynę! – wykrzyknął Mar Fischer i, nie zważając na ludzi, którzy zaczęli się im przyglądać od sąsiednich stolików, wykrzyknął raz jeszcze – Grażynę!

- No tak. Grażynę. Tak chyba miała na imię ukochana komisarza. Tak pamiętam – cicho powiedział Jensen. – Dlaczego krzyczysz? Może się mylę, ale raczej nie. Zapamiętałem, bo to typowo polskie imię. Czy to takie ważne?

- Fritz – powiedział już spokojnie Mar i pochylił się ku rozmówcy. – Ja byłem pod koniec kwietnia tego roku w Koszalinie z darami ze zbiórki. Pojechałem oczywiście także do Chłopów i Sarbinowa. Byłem też w Kołobrzegu, ale to nieważne. Ważne jest to, że w Chłopach spotkałem Edmunda Jakuscha, który przerobił się na Polaka i nosi spolszczone nazwisko Jakusz, ale najważniejsze to, że ja prawdopodobnie spotkałem – trudno uwierzyć – tę Grażynę.

- Fantazjujesz – Jensen stanowczo odrzucił przedstawione przez Fischera przypadki.

- Nie fantazjuję – upierał się Mar. – Z Jakuschem rozmawiałem. To on mnie poznał. Co do kobiety, to nie mam oczywiście pewności, ale coś jest na rzeczy, bo ma na imię właśnie Grażyna, przeżyła wojnę na tamtych terenach i, co więcej, miała do czynienia z Jakuschem. Boi się go panicznie. Za dużo zbieżności, aby twierdzić, że fantazjuję.

- Rozmawiałeś z tą kobietą o Jakuschu? – zapytał Jensen wyraźnie zaintrygowany ostatnią informacją.

- Nie rozmawiałem. Chciałem, ale jej mąż mi nie pozwolił. Twierdził, że nie można jej denerwować.

- Ciekawe, ciekawe – zamyślił się były policjant i zaproponował:

– Chodźmy na obiad. Zapraszam. Znam tu w pobliżu niezłą knajpkę. Niepozorna, ale mają świetną kuchnię. Taką nie dla turystów, ale dla smakoszy. Zjemy, odpoczniemy, poukładamy wszystko od nowa i coś się postanowi. Jeszcze nie wiem co.

Podczas obiadu obaj nie odzywali się za dużo. Czuli zmęczenie, a raczej znużenie nadmiarem nowych wiadomości i związanych z nimi silnych emocji. Wymienili kilka uwag na temat życia osobistego po wojnie. Dopiero gdy skończyli posiłek i dopijali swoje piwa, Mar Fischer zapytał:

- A co znalazłeś w papierach Stratmanna?

- Stratmann zapisywał fakty, porządkował je, komentował, stawiał pytania i na niektóre sobie odpowiadał. Zapisał dużymi literami: „TO NIE BYŁY SAMOBÓJSTWA”. Tego był pewny. Doszedł też do wniosku, że działających morderców musiało być co najmniej dwóch. Napisał i podkreślił: „Jeden człowiek nie mógłby wieszać nie pozostawiając śladów walki z ofiarą, śladów jej przemieszczania, a potem podciągania na sznurze. Było ich dwóch?”. Ja też tak myślę – mówił dalej Jensen. - Ale zastanawiam się, co mogło popchnąć dwóch przeciętnych mężczyzn – bo to musieli być mężczyźni, raczej młodzi i dość silni – do wieszania ludzi. I to różnych: młodych, starych, kobiet i mężczyzn. Jeden wariat, to jeszcze zrozumiałe. Ale dwóch?

- Może coś ich ze sobą łączyło. Na przykład fascynacja mitami, tarotem i w ogóle jakąś chorą mistyką – podpowiadał Fischer, myśląc oczywiście o zainteresowaniach Jakuscha i Bergera.

- Stratmann zapisał sobie polecenie, które brzmiało: „Odkryć coś, czym się kierowali! Musiała być jakaś zasada!” – przypomniał sobie Jensen.

Po dobrym obiedzie i kuflu zimnego piwa Fritza Jensena ogarnęła senność i towarzyszące jej lekkie otępienie. Znał siebie i wiedział, że gdy się zdrzemnie będzie myślał jasno a jego pamięć wyprowadzi na powierzchnię większą ilość faktów. Spojrzał na zamyślonego gościa i stwierdził, że jemu także potrzebny jest odpoczynek.

- . Zostawmy sprawę na następne spotkanie - powiedział. - Lepiej się przygotuję. Przeczytam raz jeszcze notatki komisarza i wszystko przemyślę. Ty także zapisuj wszystko co ci przyjdzie do głowy. Na dziś wystarczy.

Wstał od stolika i poszedł w głąb sali, aby zapłacić rachunek.

- Ma rację -pomyślał Mar Fischer. – Wracam do siebie. Potrzebuję kilku dni, aby pozbyć się mętliku w głowie.

5. Układanka



Drugie spotkanie Mara Fischera z Fritzem Jensenem odbyło się w domu Fischerów. Żona Fischera Margit uznała, że ugoszczą byłego policjanta domowym obiadem i zaproponują mu nocleg w pokoju gościnnym, z którego będzie mógł dla chwili odpoczynku swobodnie korzystać także w ciągu dnia. Propozycja spodobała się obu starszym panom. Nie musieli spieszyć się, patrzeć na zegarki, a w razie potrzeby mogli robić sobie dłuższe przerwy w rozmowach. Mieli na nie dwa dni.

Fischer pojechał po Jensena na dworzec samochodem. Mieszkał z żoną na południowych obrzeżach Bremy, poza dzielnicą Huchting, dokąd trudno było dotrzeć miejską komunikacją, ale gdzie niewielkie domy otoczone ukwieconymi ogródkami stwarzały sielską atmosferę. Emerytowany policjant przywiózł ze sobą dużą skórzaną teczkę wypakowaną dokumentami.

- Nie mówiłem ci – powiedział do Fischera, gdy szli na parking samochodowy – że Stratmann za każdym razem zabierał sporą część dokumentów do domu. Nikogo to wtedy nie obchodziło. Opuszczając Köslin, a potem ewakuując się z Kolbegu, zabrałem je ze sobą, bo trzymałem się uporczywie postanowienia, że muszę złapać mordercę komisarza.

Powoli jechali przez zatłoczone ulice prowadzące z parkingu przy głównym dworcu na południe, aż wydostali się na Oldenburger Strasse, gdzie ruch samochodów stał się płynny. Jensen z przyjemnością patrzył na mijane widoki. Lubił Bremę, która, podobnie jak Hamburg, pomimo wojennych zniszczeń zachowała charakter miasta hanzeatyckiego.

- Wiesz – powiedział do Mara – przed wojną nigdy nie byłem ani w Hamburgu, ani w Bremie.

- Ja też – uśmiechnął się Mar i zapytał z zaciekawiony:
- Znalazłeś w papierach Stratmanna jakieś nowe informacje, które mogłyby nam pomóc?
- Przejrzałem je i wypisałem sobie wszystkie informacje. Dodamy do nich twoje. Zapisales coś?
- Niewiele – przyznał Fischer.

W domu, po krótkim spotkaniu przy kawie wypitej na tarasie w towarzystwie gospodyni, Fischer i Jensen zajęli największy stół w salonie i rozłożyli na nim wszystkie dokumenty z teczki, utrzymując porządek chronologiczny. Ten prosty zabieg jasno pokazał, że najwięcej protokołów i sporządzonych do nich zapisków komisarza dotyczy sprawy Emmy Ackermann.

- Myślę, że jednak trzeba zacząć wszystko od początku – zarządził Jensen patrząc na ilość rozłożonych kartek – Będziemy czytać jeden dokument po drugim i w zwięzłej formie zapisywać zawarte w nich informacje. Bez selekcji, bez jakiegokolwiek oceniania i jakichkolwiek założeń. Następnie przeanalizujemy zapisane informacje i poukładamy je według osób, których dotyczą. Nie mam na myśli ofiar, ale wszystkich innych poza ofiarami. Przecież chcemy wytypować sprawcę, albo sprawców. Dopiero wtedy dodamy nasze własne przemyślenia, w tym te twoje z wizyty w Polsce. Inaczej mówiąc, sporządzimy coś w rodzaju wykazu osób dramatu. Naszym jedynym trwałym założeniem jest bowiem to, że we wszystkich przypadkach działała ta sama osoba, a raczej te same osoby, przynajmniej dwie. Szukamy zatem ludzi, których łączy coś nieoczywistego i dotąd niezauważonego. Szukamy też takich, których zeznania nie były dostatecznie docenione. Ale szukamy także wszystkiego, co mogłoby rzucić nowe światło na sprawę.

Robota okazała się długa i żmudna. Fischer brał do ręki jeden papier po drugim i głośno czytał to, co na nim zapisano, a Jensen na osobnych kartkach wpisywał dane dotyczące wszystkich pojawiających się w dokumentach osób. Następnie został sporządzony ostateczny zestaw tych, którzy byli w jakiś sposób związani ze sprawą. Wszystkim dodano krótką charakterystykę i opatrzone uwagami.

1. Mar Fischer - znalazł pierwszą ofiarę, a potem fascynowały go opowieści o wisielcach; ukrywał sznur, na którym został powieszony Otto Mauer; poznał Edmunda Jakuscha i Theo Bergera; z Jakusem pracował w bazie lotniczej; Bergera podejrzewał o morderstwa, bo przyłapał go na wycinaniu znaku solarnego; szukał kontaktu z komisarzem Stratmannem a teraz poszukuje sprawców.

2. Emil Bauman – przyjaciel Fischera, któremu Fischer wszystko opowiadał; nastawiony sceptycznie do mitycznych opowieści; poznał osobiście Bergera; zginął we wrześniu 1939 roku.
3. Rodzice Mauera i ich trzy córki – żyjący na uboczu, stroniący od innych, ale zwykli i pobożni ludzie. Nie mieli powodu, aby pozbywać się jedyne go syna.
4. Kurt Klimke – znalazł drugą ofiarę Emmę Ackerman, starszy, schorowany prosty człowiek, pomocnik młynarza; spanikowany nieszczęsnym znaleziskiem natychmiast powiadomił swego pracodawcę. Znał Emmę. Brak motywu i możliwości fizycznych, aby popełnić zbrodnię wymagającą siły.
5. Rodzice Emmy, Ackermanowie i ich dzieci – spokojna dobra rodzina, rodzice zdecydowanie nie wierzyli w samobójstwo Emmy; nie wiedzieli o ciąży.
6. Paul Winckler – właściciel młyna wiatrowego, trudny i bezwzględny charakter, to on zajął się Klimkiem, powiadomił żandarmów i udał się za nimi na miejsce zbrodni; wiedział o romansie swojego syna Thomasa z Emmą; człowiek wpływowy, ambitny i sympatyzujący z nazistami; skutecznie interweniował na policji, aby ochronić syna Thomasa. Nie wiadomo, czy wiedział o ciąży Emmy. Mógł chcieć jej się pozbyć, ale jakie byłyby jego powiązania z pozostałymi przypadkami?
7. Thomas Winckler – syn Paula Wincklera; według Emmy jej narzeczony i ojciec jej dziecka, członek Hitlerjugend i NSDAP; pochodzący z lepszej niż Emma rodziny; możliwe romanse z młodymi kobietami ze Związku Niemieckich Dziewcząt, z pewnością znał nauki czołowego ideologa NSDAP, wysoko postawionego członka tajnej okultystycznej organizacji Thule Alfreda Rosenberga; prawdopodobnie wiedział o ciąży Emmy i nie miał ochoty ożenić się z nią i zostać młodym ojcem; chętnie skorzystał z pomocy ojca, aby odciąć się od Emmy i uniknąć przesłuchań; złożył lakoniczne zeznania o ich przypadkowym krótkim związku; poddał w wątpliwość swoje ojcostwo; Stratmann uważał go za podejrzanego, bo w przypadku Emmy miał motyw osobisty, a w innych przypadkach mógł się kierować motywami ideologiczno-mitycznymi. Pytanie: kto mógł być jego współnikiem? Odpowiedź: prawie każdy ze sfrustrowanych młodych ludzi, także ci z organizacji nazistowskich.
8. Liza Rozenow – właścicielka pensjonatu Haus am Meer, w którym pracowała Emma Ackermann; kobieta o dobrej opinii; dbająca o pracowników; szanowana w Sorenbohm; zimą 1945 roku Jensen dał jej adres Grażynie (Szczercińskiej? Szczerbowskiej?), Polce pracującej u komisarza; nie wiadomo, czy kobiety kiedykolwiek się spotkały. Los Lizy Rozenow nie jest znany.

9. Maria Reuschel – starsza od Emmy pracownica pensjonatu Haus am Meer i jej powiernica; miała zdecydowanie złą opinię o Thomasie i dobrą o Emmie; dostrzegając, że nadzieja Emmy Ackermann na małżeństwo z młodym Wincklerem jest płonna; wiedziała o ciąży i kłopotach Emmy, ale nie wierzyła w jej samobójstwo. Stratmann nie interesował się więcej osobą Marii Reuschel i jej zeznaniami. Może jeszcze żyje i coś pamięta? Sprawdzić!
10. Edmund Jakusch – młody człowiek o niejasnym pochodzeniu (Polak? Kaszub? Niemiec?); przed wojną mieszkał u stryja i jego rodziny w Bauerhufen; o najbliższej rodzinie nic nie wiadomo; duża wiedza z zakresu mitologii germańskiej i słowiańskiej; miły, lubiany i usłużny; w czasie wojny stracił dwa palce i pracował jako hiwis w bazie lotniczej w Bodenhagen; przyjaciel i doradca Mara Fischera; Stratmann prawdopodobnie rozpoznał go w gospodzie, kiedy Fischer próbował powiedzieć mu o swoich podejrzeniach i prawdopodobnie z jego powodu nie chciał rozmawiać z Fischerem. W swoich papierach zapisał: „Jakusch jest dziwnym człowiekiem. Dowiedziałem się, że należy do Werwolfu i jest zapalonym działaczem”. Można przypuszczać, że Stratmann obawiał się Jakuscha. Ale dlaczego? Informacja o działalności Jakuscha w Werwolfie potwierdziła się. Fischer spotkał go kilka miesięcy temu w Chłopach. Zaraz po wojnie Jakusch skrzywdził Grażynę Wolny, żonę Zygryda Wolnego, kościelnego z Sarbinowa. Co jej zrobił, nie wiadomo. Teraz mieszka samotnie w Chłopach i zionie do wszystkich nienawiścią. Czego obawiał się Stratmann? Dlaczego Jakusch został na stałe na Pomorzu Zachodnim? Kto go chronił i nadal chroni przed zdemaskowaniem? Służba bezpieczeństwa PRL? Wywiad? Czy Jakusch jest tym, kogo szukamy?
11. Theodor Berger – nieślubne dziecko Rosjanina i Niemki; żyjący w odosobnieniu, prześladowany przez rówieśników i odsuwany przez dorosłych; przed wojną pracuje jako pomocnik latarnika w Funkenhagen; zafascynowany kabałą, a szczególnie Wielkimi Arkanami; rysuje krąg solarny na drzewie Emmy Ackermann; Mar Fischer podejrzewa go o to, że jest mordercą wieszającym ludzi z zemsty i nienawiści. Znał się z Jakuschem, ale poza zainteresowaniami mistycyzmem nie ma dowodów na ich bliższy związek. Jego los po wojnie nie jest znany. Być może jeszcze udałoby się go odnaleźć. Stratmann w ogóle się nim nie interesował, bo chyba nie wiedział o jego istnieniu.
12. Grażyna (zdaje się Szczerbińska, lub Szczerbowska) - Polka na przymusowych robotach w Kolbergu, a potem w Köslinie; w Kolbergu znęca się nad nią główny

ogrodnik w hotelu Strandschloss; ratuje ją Stratmann z pomocą Jensena i zatrudnia u siebie w domu w Köslinie; chroni ją, bo jest w niej zakochany, a ona prawdopodobnie zostaje jego kochanką; akceptuje ją matka komisarza. Obie są wstrząśnięte wiadomością o jego śmierci, po której Jensen opowiada im o prywatnym śledztwie w sprawie powieżeń; jest wdzięczna Jensenowi, że chce znaleźć mordercę komisarza; to ona powiadamia Jensena o nieudanej rozmowie Stratmanna z Fischerem w gospodzie w Funkenhagen; Jensen z obawy przed zbliżającym się frontem wysyła Grażynę do Lizy Rozenow do Sorenbohm. Nie wiadomo, czy Grażyna dotarła do Sorenbohm i czy Liza ją przyjęła. Jej los po wojnie nie jest znany, ale jest wiele danych, które wskazują na to, że Grażyna Szczerbińska (Szczerbowska), to może być ta sama osoba co skrzywdzona przez Jakuscha Grażyna Wolny.

13. Grażyna Wolny – żona kościelnego z Sarbinowa; skrzywdzona przez Jakuscha, boi się go panicznie; mąż Zygfryd Wolny dba, żeby nikt jej nie niepokoił wspomnieniami o wojennej i powojennej przeszłości; Czy Grażyna Wolny i Grażyna kochanka Stratmanna to ta sama osoba? Trzeba to koniecznie sprawdzić!

14. Zygfryd Wolny – kościelny z Sarbinowa; mąż Grażyny, również pracownik przymusowy w czasie wojny; twierdzi, że żonę poznał w Kolbergu; chroni ją przed Jakuschem, ale nie chciał zmienić miejsca zamieszkania i nie chciał na Jakuscha donieść do władz; nie zgodził się na to, aby Fischer porozmawiał z jego żoną.

- A więc Stratmann nie wskazał nikogo jako głównego podejrzanego – stwierdził rozczerowany Mar Fischer, kiedy po raz drugi przeczytali głośno sporządzoną listę osób. – Wprost wskazuje jedynie na Thomasa Wincklera i sugeruje, że mógł pomagać mu ojciec. Ale komisarz pisał to po śmierci Emmy Ackermnn. Potem jednak dużo się jeszcze zdarzyło i komisarz już do tych podejrzeń nie wraca. Prawdę mówiąc liczyłem na to, że wiedział więcej, że ruszymy z miejsca.

- Gdyby był pewny, kto jest sprawcą z pewnością dążyłby do tego, aby go ukarać z pomocą legalnych środków lub poza nimi – odburknął Jensen, który czuł coraz większe rozdrażnienie z powodu odczuwanego głodu. – A ja z pewnością bym o tym wiedział. Stratmann ufał mi. Myślę, że jako jedyemu w köslińskim Kripo. Tylko z mojej pomocy mógł bez ryzyka skorzystać, gdyby chciał wyeliminować sprawcę lub sprawców. Musimy teraz zająć się jego śmiercią, bo ją jak dotąd pomijaliśmy. A przecież w niej kryje się cała tajemnica.

- Masz rację – zgodził się Fischer. – Ale musimy też zająć się Grażyną Wolny i jej mężem. Za mało o nich wiemy. Mam przeczucie, że klucz do tajemnicy znajduje się także u nich. A co stało się z Lizą Rozenow? Tego także nie wiemy.

- Zgadza się – mruknął bez przekonania Jensen i z ulgą przyjął wejście pani Fischer do salonu i jej słowa „zapraszam na obiad”.

Do salonu i porzuconej pracy Fischer i Jensen wrócili dopiero wieczorem. Wcześniej podali się poobiedniej senności i zmęczeniu wywołanemu intensywnym wysiłkiem intelektualnym oraz emocjami. Emocje także uniemożliwiły obu starszym mężczyznom solidny wypoczynek, ale dłuższa przerwa pozwoliła przynajmniej na odświeżenie umysłów.

- Dodajmy do naszej listy komisarza Stratmanna – zaproponował Jensen popijając kawę, choć wiedział, że wieczorna kawa utrudni mu zaśnięcie w nowym miejscu.

- Trudno. Wygląda na to, że jutro niewiele nam zostanie do zrobienia. Dziś trzeba będzie podjąć najważniejsze decyzje. Jutro zaraz po śniadanku wracam do Hamburga. W domu odpocznę – pomyślał Fritz Jensen i dopisał do listy komisarza:

15. Hans Stratmann – komisarz Kripo z miasta Köslin, stary kawaler; przyjechał do Köslina z Berlina w 1933 z chorą matką, żeby mogła leczyć się w pobliskich sanatoriach. Czy tylko to było powodem zmiany miejsca pracy i wyjazdu na prowincję, gdzie nie miał szans na taką karierę, jaka mógłby zrobić w stolicy? Wycofany i nieufny. W pracy trzymał się na uboczu i nie wypowiadał się na tematy polityczne ani pozytywnie, ani negatywnie. Zaangażował się osobiście w sprawę „wisielców”. Czyżby miał uraz na tym tle po samobójstwie ojca, który powiesił się w latach trzydziestych? Dlaczego? Uratował Polkę Grażynę (Szczzerbińską, Szczerbowską) z łap prześladowcy. Traktował ją jak osobę bliską, a więc chyba ją kochał. Nie chciał wiedzieć, co ma mu do powiedzenia Fischer. Prawdopodobnie obawiał się obecnego przy ich przypadkowym spotkaniu Jakuscha. O kogo się bał? Co Jakusch o nim wiedział? Komisarz zawisł na drzewie w köslińskim parku 1 stycznia 1945 roku. Wszystko wskazuje na to, że został powieszony przez sprawców poprzednich morderstw. Dlaczego? Czyżby zemsta za to, że interesował się nimi i czegoś się o nich dowiedział? Czego? I skąd oni mogli dowiedzieć, że on wie?

- Same pytania, żadnych odpowiedzi – skomentował zapis Mar Fischer. – Nie odpowiemy na żadne z nich, jeśli nie pojedziemy do Polski i nie porozmawiamy z Zygfrydem Wolnym, a najlepiej z jego żoną Grażyną.

- Masz rację – zgodził się Jensen bez entuzjazmu, bo długa podróż i złe warunki bytowe w Polsce trochę go przerażały. – Będziemy musieli pojechać z darami. Wyjazd prywatny od razu wzbudzi podejrzenie tamtejszych władz. Zainteresują się nami.

- I tak się nami zainteresują – odpalił Fischer. – Tego nie unikniemy. Trzeba robić swoje bez względu na wszystko. Przecież nic poważnego nam z ich strony nie grozi. Ale oczywiście najlepiej pojechać z transportem pomocowym.

- Nie byłbym taki pewny, że nic nam nie grozi – odpowiedział ponuro Jensen. – Nie znasz sposobów działania komunistycznych służb bezpieczeństwa. Ja co nieco o nich wiem.

W salonie Fischerów zapanowała długa i niezręczna cisza, w której słychać było monotonne tykanie szafkowego zegara stojącego obok przeszklonych drzwi prowadzących na taras. Pierwszy odezwał się gospodarz.

- Musimy jechać jak najszybciej, ale przed wyjazdem warto sprawdzić Thomasa Wincklera, Marię Reuschel i Lizę Rozenow.. Czy żyją? Gdzie mieszkają? Może uda się też znaleźć Theodora Bergera. Masz przecież jeszcze swoje kanały i możliwości ułatwiające poszukiwanie ludzi. Prawda?

- Mam – potwierdził emerytowany policjant. – Zrobię co będę mógł. Może uda się z którymś z nich porozmawiać. Po latach ludzie nagle zaczynają mówić o rzeczach, o których wcześniej woleli milczeć.

6. Wyprawa



Była już pełnia lata 1983 roku kiedy Marowi Fischerowi i Fritzowi Jensenowi udało się uzgodnić termin wyjazdu do Polski i dołączyć do ekipy wiozącej dary do Koszalina. Fischer okupił załatwienie miejsca w konwoju dla Jensena przewlekłym bólem kręgosłupa, bo dwakroć częściej niż wcześniej pomagał przy załadunku towarów wysyłanych do Polski. Ból przeszedł dopiero po zaordynowanej przez lekarza blokadzie kręgosłupa.

Jensen w międzyczasie zajął się poszukiwaniem Lizy Rozenow, Marii Reuschel, Thomasa Wincklera i Theodora Bergera. Poszukiwania zajęły mu dużo czasu i nie wszystkie zakończyły się sukcesem.

Emerytowany policjant zaczął od ustalania losu Lizy Rozenow. Najpierw odszukał w spisach ludności bliskich Gustava Rozenowa, bo od dawna już nie żyjący Gustav miał dwóch młodszych braci, którzy, co oczywiste nosili to samo nazwisko. Ci bracia także pomarli, ale jeden z nich miał dwóch synów, a zatem nazwisko przetrwało i Jensen mógł nawiązać z krewnymi Rozenowa telefoniczny kontakt. Ci nie wiedzieli co stało się z żoną Gustava, ale pamiętali, że panieńskie nazwisko Lizy brzmiało Weier i że jej rodzina pochodziła z Bawarii.

Kolega Jensena z Kripo w Monachium podjął się żmudnej pracy w archiwach i poszukał krewnych Lizy Weier. Przesłał Jensenowi adresy i telefony kilku osób. Jedna z nich, wdowa po bracie Lizy, powiedziała, że Liza nigdy nie wróciła z Sorenbohm. Rodzina poszukiwała jej przez niemiecki Czerwony Krzyż, ale ślad po niej zaginął.

- Prawdopodobnie Liza nie żyje. Zginęła w powojennym zamieszaniu i już się nie dowiemy, co się dokładnie z nią stało – powiadomił Mara Fritz Jensen.

Nadspodziewanie łatwo udało się natomiast odnaleźć Marię Reuschel.

Jensen, w zupełnie innym niż odnalezienie Marii Reuschel celu, przeglądał książkę telefoniczną Berlina Wschodniego i natrafił przypadkiem na to właśnie imię i nazwisko. Poprosił o dyskretne sprawdzenie, o kogo chodzi zaufaną osobę, mieszkającą właśnie w komunistycznej strefie Berlina. Był to strzał w dziesiątkę. Maria Reuschel, będąc już starszą kobietą, nadal żyła samotnie i mieszkała w Berlinie Wschodnim. Jensen, nie chcąc narażać jej na ewentualne nieprzyjemności ze strony Stasi za kontakty z policją RFN, a także chcąc jej oszczędzić niepotrzebnych emocji, wykorzystał swój kontakt także do przeprowadzenia rozmowy.

Zaufana osoba osiadła w Berlinie Wschodnim na prośbę Fritza Jensena zostawiła w skrzynce pocztowej Marii Reuchel kartkę z bezpiecznym numerem telefonu i z prośbą o rozmowę oraz wyznaczenie dogodnego terminu. Na kartce była też informacja, że chodzi o poszukiwanie osób zamieszkujących w Sorenbohm i pracujących w Haus am Meer. Starsza pani odpowiedziała natychmiast, godząc się na spotkanie.

Wyjechała z Sorenbohm pod koniec 1944 roku i siłą rzeczy nic nie mogła powiedzieć o losach Lizy Rozenow. Dobrze natomiast pamiętała Emmę Ackermann i wszystko co się z nią stało. Stanowczo stwierdziła, że nigdy nie uwierzyła w samobójstwo Emmy.

- Nie wierzyłam i nadal nie wierzę – powiedziała stanowczo. – Emma była żywiołową, silną i mądrą dziewczyną. Była też bardzo religijna. Jedyny jej nieszczęściem było to, że zakochała się bez pamięci w nieodpowiednim młodzieńcu i liczyła na jego wzajemność.

- Thomas Winckler – twierdziła - był rozpuszczonym i nieodpowiedzialnym chłopcem. Dobrze znałam rodzinę Wincklerów. Zawsze myśleli tylko o sobie i swoich interesach. Nie liczyli się z innymi ludźmi, a już szczególnie z tymi, którzy finansowo stali niżej od nich.

Słyszając to, zaufany człowiek Jensena zapytał starszą panią o jej podejrzenia, a ona powiedziała:

- Dużo myślałam o tym kto mógł skrzywdzić Emmę. Thomas był do tego zdolny. Był fanatycznym zwolennikiem Hitlera i miał wielu przyjaciół wśród nazistów. Śmierć takiej osoby jak Emma nic dla nich nie znaczyła.

- Ale przecież były potem inne przypadki powieszeń.

- Były – zgodziła się Maria Reuschel i sformułowała uwagę, którą Jensen potraktował poważnie, a która brzmiała tak:

– Może chciano zatuszować sprawę Emmy? Skierować śledztwo na fałszywe tory, że to niby ma się do czynienia z takimi samymi przypadkami samobójstw? I co? Udało się!

Pod wpływem sugestii Marii Reuschel Fritz Jensen mocno zaangażował się w poszukiwanie Thomasa Wincklera, choć przecież nie można było liczyć na to, że ten po latach zgodzi się rozmawiać o śmierci Emmy i innych ofiar, a już najmniej na to, że przyzna się do ewentualnej winy. Ale każdy doświadczony policjant wie, że z ludźmi nigdy nic nie wiadomo i zawsze należy nakłaniać ich do mówienia. Jedno niekontrolowane słowo może naprowadzić śledztwo na właściwe tory.

- Thomas Winckler w 1935 roku, kiedy umarła Emma, miał jakieś dwadzieścia lat – przypominał sobie Jensen. – To teraz nie ma jeszcze siedemdziesiątki. Jeśli nie zginął podczas wojny, albo nie zamieszkał w NRD, to z trudem, ale mam szansę go namierzyć żywego.

Tym razem proces poszukiwań wymagał uruchomienia kontaktów we wszystkich krajach związkowych. Przeprowadzano bowiem w Zachodnich Niemczech spisy ludności, ale dotąd nie sporządzono ewidencji centralnej. Dane znajdowały się w głównych komputerach władz lokalnych.

Informacje spływały do Fritza Jensena systematycznie, ale bardzo wolno i dopiero tuż przed wyjazdem do Polski przyszła ta, o którą chodziło. Niejaki Thomas Winckler, lat sześćdziesiąt siedem - żonaty, dwoje dorosłych dzieci, inżynier pracujący w Technische Universität Hamburg - mieszka w Hamburgu od 1949 roku w dzielnicy Eilbek przy ulicy Kantstrasse. W jego papierach figuruje informacja, że w czasie wojny służył w Wehrmachcie i przebywał we Włoszech.

- To chyba nie może być on – skonstatował Jensen. – Tamten Thomas Winckler służył w SS i najprawdopodobniej działa teraz w Niemczech pod innym nazwiskiem albo wyjechał na inny kontynent. Raczej trudno by mu było ukryć swą prawdziwą działalność podczas wojny, kryjąc się pod płaszczkiem Wehrmachtu. Ale trzeba to sprawdzić.

- Na szczęście mieszka prawie po sąsiedzku. Łatwo mogłem go znaleźć w książce telefonicznej Hamburga – roześmiał się w duchu.

Emerytowany policjant postanowił zaskoczyć domniemanego syna młynarza w pracy. Umówili się z Marem Fischerem, że odwiedzą go razem. Fritz będzie z nim rozmawiał, a Mar przyglądał się uważnie, szukając podobieństw do młodego Thomasa. Zastali go na stanowisku pracy w uczelnianym laboratorium. Poproszony o chwilę rozmowy mężczyzna nie wykazywał ani zdziwienia, ani zaskoczenia, ani zaniepokojenia, choć Jensen uprzedził go, że poszukuje niejakiego Thomasa Wincklera służącego w SS, a Fischer uporczywie badał wzrokiem każdy szczegół jego wyglądu. Zapytany o to, gdzie mieszkał przed wojną, odpowiedział spokojnie, że pochodzi z Prus Wschodnich, a studia inżynierskie skończył w Berlinie.

- Przykro mi – powiedział troskliwym tonem – ale nie jestem tym, za kogo panowie mnie biorą.

- To nie on – uznali zgodnie po opuszczeniu gmachu, w którym mieściło się laboratorium.

Trop okazał się fałszywy, a czasu oraz pomysłu na dotarcie do prawdziwego Thomasa Wincklera już nie było. Także wytropienie Theodora Bergera trzeba było odłożyć na później ze względu na bliski termin wyjazdu do Polski.

Podróż z Bremy do Koszalina była męcząca, postoje na obu granicach długie, odprawy - paszportowa i celna – nieprzyjemne, a drogi w Polsce marne. Po dotarciu do klasztoru franciszkanów w Koszalinie i rozładowaniu przywiezionego towaru, obaj starsi panowie, Mar i Fritz, musieli odpocząć i dopiero po dobie od przyjazdu nabrali dostatecznie dużo sił, aby wyruszyć do Chłopów i Sarbinowa. Mieli na tę wizytę tylko jeden dzień i musieli ją dobrze zaplanować. Postanowili najpierw odwiedzić państwa Wolnych w Sarbinowie, namówić żonę kościelną na rozmowę - najlepiej bez obecności męża – a następnie udać się do Chłopów, przycisnąć mocno Jakuscha vel Jakusza – czyli nieźle go postraszyć - i wydobyć z niego wszystko co się da. Liczyli na to, że oni, starsi już panowie, we dwóch poradzą sobie z równie podstarzałym tajemniczym i groźnym osobnikiem.

- Weźmiemy go podstępem – planował Jensen. – Wejdiesz do niego sam i postarasz się, aby drzwi nie zostały zamknięte od środka. Postawisz mu wódkę. Ja wkroczę później, gdy już będzie dobrze wstawiony. Ty, o ile ci się uda, będziesz markował picie.

Jednodniowy wypad do dwóch miejsc, których skomunikowanie transportem publicznym z Koszalinem i pomiędzy nimi było ograniczone do dwóch-trzech połączeń dziennie, wymagał

wykorzystania własnego środka lokomocji, a dokładniej samochodu. Dzień odpoczynku, który ograniczył im czas na wykonanie zaplanowanych zadań, miał tę dobrą stronę, że pozwolił zakonnikom zorganizować im pojazd, Fiata 125p, oraz paliwo.

- Proszę pamiętać o włączaniu ssania, bo bez ssania samochód nie zapali po dłuższym postoju – pouczał Niemców franciszkanin, pokazując odpowiednią dźwigienkę.

– Kiedy zostawiacie samochód bez opieki, to zakładajcie blokadę na kierownicę i pedał gazu – kontynuował instruowanie, pokazując im solidnie urządzenie i demonstrując jego zastosowanie.

– A dla pana wygodniejsze będzie siedzenie pasażera – stwierdził, zwracając się do Fritza Jensena. – Wystarczy maksymalnie przesunąć fotel do tyłu. Od niedawna trzeba u nas zapinać pasy – są zamontowane – ale tylko z przodu i poza terenem zabudowanym – zakończył.

Wyposażeni w najnowszą mapę terenu wyruszyli wczesnym rankiem w piątek 22 lipca 1983 roku.

22 lipca był w Polsce dniem wolnym od pracy dla uczczenia podpisania tegoż dnia 1944 roku w Moskwie manifestu PKWN - Polskiego Komitetu Odrodzenia Narodowego. Partia hucznie tego dnia świętowała ustanowienie władzy komunistycznej, a to wymagało nadzwyczajnego zaangażowania sił milicyjnych.

Goście liczyli więc na to, że spokojnie odbędą podróż w jedną i w drugą stronę, nie narażając się na milicyjne kontrole. Nie przewidzieli, że ruch na podrzędnych drogach, którymi się poruszali, będzie wzmożony, bo trzy dni wolne od pracy oraz słoneczną pogodę mieszkańcy Koszalina i okolic postanowią spędzić na plażowaniu w nadmorskich miejscowościach. Przez większą część jazdy z Koszalina przez Mścice do Będzina wlekli się za przepełnionymi autobusami PKS, które często zatrzymywały się na przystankach, a potem z trudem nabierały prędkości. Ale siedzący za kierownicą Fiata Mar z rzadka odważał się je wyprzedzać.

- Bierz go teraz! – krzyczał spocony Fritz, kiedy kolejny autobus stawał na przystanku.

Upał panujący w nagrzanym od słońca wnętrzu samochodu stawał się coraz bardziej uciążliwy i wywoływał nadmierną irytację u obu starszych panów. Przez otwarte okna samochodu wpadało gorące powietrze o zapachu spalin, powodując wzmagający ich irytację hałas.

- Zabije mnie ten przeciąg – zamartwiał się Jensen, wierząc się we wnętrzu zbyt ciasnym jak na jego gabaryty.

W Będzinie skręcili w prawo na Sarbinowo i trochę odetchnęli, bo na bocznej drodze ruch był niewielki a z pól do wnętrza samochodu wpadało powietrze pachnące dojrzałym zbożem.

Wreszcie wjechali na główną ulicę w Sarbinowie, zaparkowali pod kościołem i weszli do środka. Kościół był otwarty, ale nie zastali w nim Wolnego. Modliły się w nim dwie starsze panie, każda siedząc w innej ławce. Zajrzeli do zakrystii i napotkali jedynie zdziwiony pytający wzrok zakonniczy porządkującej szaty liturgiczne. Wrócili zatem na zewnątrz i pieszo udali w stronę domu Wolnych.

Z trudem przedzierali się przez tłum opalonych i roznegliżowanych ludzi, zatrzymujących się przy stoiskach z dmuchanymi zabawkami, pamiątkami, lodami i napojami w plastikowych woreczkach. Z widocznej z głównej ulicy plaży dobiegały wymieszane pokrzykiwania dzieci i dorosłych. Skręcili w lewo w ulicę, przy której stał dom kościelny. Weszli na podwórze, a potem na schody prowadzące do drzwi wejściowych. Fritz Jensen dwukrotnie nacisnął dzwonek. Minęła prawie minuta zanim usłyszeli ruch i zgrzyt otwieranego zamka. W drzwiach stanął około czterdziestoletni mężczyzna i zapytał po polsku:

- Panowie do kogo?

Nie zrozumieli. Jensen cofnął się gwałtownie i byłby stoczył się ze schodów, gdyby nie oparł się o stojącego tuż za nim Fischera.

- Toż to młody Stratmann – pomyślał z trudem łapiąc równowagę.

7. Stabilizacja



Grażyna Szczerbińska leżała na drewnianej podłodze prawej empory kościoła w Sorenbohm, kurczowo ściskając w dłoni pistolet. Swój oddech słyszała tak wyraźnie jakby dźwięk, który wydobywał się z niej wraz z oddechem, nabierał dodatkowej mocy pod wysokim sklepieniem. Zatrzymywała więc zdradzające jej obecność powietrze w płucach aż do granic podduszenia się i w zapadającej ciszy wyteżała słuch. Nikt nie nadchodził. Niespodziewanie dla samej siebie poczuła, że jej głowa, którą w napięciu trzymała podniesioną nad podłogą, z cichym stukiem dotknęła podłogowej deski, a stuknięciu głowy o podłogę towarzyszył stuk wypadającego z jej ręki pistoletu.

- Zasnęłam – pomyślała zdziwiona i zaniepokojona reakcją swojego ciała. – Muszę coś zrobić. Muszę podkraść się do pensjonatu i sprawdzić co ze Stasiem.

Spokój, który ogarnął ją po wejściu do kościoła i ukryciu się zniknął. Czuła jak ogarnia ją paraliżujący strach i jak jej ciało wciska się jeszcze niżej między ławki. Podniesienie się i staniecie prosto wydawało się jej niewykonalne.

- Muszę, muszę, muszę – powtarzała bezgłośnie i z każdym wypowiedzianym słowem zapadała się coraz bardziej w podłogę, jakby chciała zniknąć, wtopić się w nią. Nawet podniesienie pistoletu było wyczynem ponad jej siły. Oddech miała płytki i krótki a jego odgłos w przestrzeni kościelnych naw przestał być słyszalny.

Drzwi kościoła cicho zaskrzypiały. Ktoś je uchylił, wszedł do wnętrza i zatrzymał się.

- Pani Grażyno! – usłyszała stłumione zawołanie jakiegoś mężczyzny.

Nie знаła tego głosu, więc jednocześnie przestraszyła się i poczuła rodzącą się w niej isierkę nadziei.

- Pani Grażyno! – rozległo się głośniejsze wołanie.

Poczuła ulgę. Strach zniknął, a siły wróciły. Nie obchodziło ją już to, kto odkrył jej kryjówkę i jakie ma wobec niej zamiary. To co się z nią zaraz stanie było zupełnie obojętne. Podniosła się powoli, z trudem rozprostowała zeszywniałe członki i popatrzyła na dół, zwracając wzrok ku drzwiom wejściowym. W ciemności zobaczyła jedynie zarys niewysokiej, szczupłej, męskiej sylwetki.

- Proszę się nie bać – powiedział mężczyzna, podnosząc głowę, aby spojrzeć w tę stronę, z której doszły go odgłosy. – Byłem w pensjonacie. Pani synkowi nic się nie stało. Niech pani zejdzie i idzie do niego. Mały płacze. Pewnie jest głodny.

Grażyna, nadal zeszywniała od długiego bezruchu, strachu i nocnego chłodu, krok po kroku podeszła do schodów prowadzących z empory do przedsionka kościoła i zeszła na dół. Kiedy stanęła przez przybyszem, rozpoznała go natychmiast i zadziwiła się swoją reakcją. Nie przestraszyła się i nie poczuła do niego nienawiści. A miała przed sobą tego samego człowieka, który razem z Jakusem nachodził nocami pensjonat Haus am Meer. Patrzyła przez dzielący ich mrok prosto w jego oczy. Nie spuścił wzroku a po chwili powiedział jedno słowo „chodźmy”.

Szli w stronę pensjonatu w całkowitym milczeniu. Z jej strony nie padło żadne pytanie, a z jego żadne wyjaśnienie.

- On mnie nie gwałcił i nigdy się nie odezwał – uświadomiła sobie Grażyna.

Niebo na wschodzie poróżkowało.

- Świta – pomyślała, nie czując nic poza przytłaczającym zmęczeniem.

Zanim wzeszło słońce i nastał jasny dzień Grażyna Szczerbińska wiedziała już, jaka czeka ją przyszłość. Szczupły mężczyzna, towarzysz Edmunda Jakuscha, przedstawił jej swoje warunki, a odmowy nie brał pod uwagę. Jakże samotna młoda kobieta z nieślubnym dzieckiem, bez rodziny, bez środków do życia i dachu nad głową, ale za to z niechlubną

przeszłością, mogłaby nie zgodzić się na propozycję ślubu, przysposobienia dziecka i wspólne zamieszkanie w pobliskim Karlinie, gdzie urzędowały polskie władze i panował względny spokój.

Skromny ślub, którego świadkami były dwie przypadkowe osoby, Polka i Polak, odbył się na początku maja 1946 roku w katolickim od niedawna kościele Chrystusa Króla w Karlinie. Panna młoda ubrana była w jasnoszary kostium uszyty na miarę u karlińskiego krawca i zamszowe szare pantofle na słupku. Bukietu ślubnego i przykrycia głowy nie miała. Pan młody włożył grafitowy garnitur. Akcent, który odróżniał ich ślubne stroje od zwykłych niedzielnych ubrań, stanowiły białe rękawiczki. Ślubu udzielił katolicki ksiądz, wilnianin, który zaraz potem ochrzcił otulonego białym becikiem Stanisława. Jego rodzicami chrzestnymi zostali ci sami przypadkowi ludzie, których wzięto na świadków ślubu. Oba fakty zostały odnotowane kaligraficznym pismem w księdze parafialnej. Pan młody przedstawił do wpisu polskie dokumenty, swoje i małżonki, wystawione przez starostwo powiatowe w Białogardzie. I tak Grażyna zyskała męża a Stanisław ojca.

Stanisław Wolny, kiedy otworzył drzwi dwóm niespodziewanym gościom, nie mógł rozpoznać Mara Fischera, niedawnego gościa swoich rodziców. Nie miał okazji zobaczyć go podczas jego wcześniejszej wizyty. Zaskoczony gwałtowną reakcją jednego ze starszych panów - najwyraźniej cudzoziemców, co łatwo było rozpoznać po ubraniach i butach – zatrzęsął za sobą drzwi domu, dając im do zrozumienia, że nie ma zamiaru zapraszać ich do środka. Sytuacja była niezręczna. Stanisław nie znał w stopniu komunikatywnym żadnego obcego języka. Angielskiego uczył się w technikum, ale z marnym skutkiem, a rosyjski, po długoletniej nauce od połowy podstawówki przez szkołę średnią, znał biernie. W szkole, aby otrzymać stopień dostateczny wystarczyło nauczyć się cyrylicy i dukać, czytając zadane teksty.

- Guten Morgen. Ich bin Fritz Jensen – powiedział potężnie budowany mężczyzna w rozciągniętym sportowym stroju, ten sam, który przed chwilą zachwiał się i o mały włos nie spadł ze schodów i, wskazując na szczupłego i starannie ubranego towarzysza, dodał:

- Mar Fischer.

Wskazany skinął głową i kalecząc słowa odezwał się po polsku:

- Do pana Wolny.

- Niemcy, tak myślałem – przyszło do głowy Stanisławowi. – Czego chcą? Odwiedzają swoje strony?

Otworzył drzwi i krzyknął w głąb korytarza, zasłaniając ciałem wejście do domu:

- Mamo! Mamo! Podejdź. Jacyś Niemcy przyszli.

Cała trójka, uśmiechając się do siebie nawzajem z zażenowaniem, przez dłuższy czas stała przed drzwiami, czekając aż w korytarzu rozlegną się kroki. Odetchnęli, kiedy wreszcie usłyszeli szuranie. Stanisław otworzył drzwi i ukazała się w nich lekko zgarbiona starsza kobieta ze zmęczoną smutną twarzą bez śladu makijażu, w domowym stroju i kapciach. Jensen nie rozpoznał w niej młodej ładnej kobiety, którą ostatni raz widział zimą 1945 roku w Köslinie.

- Idź do siebie – poprosiła syna cichym głosem Grażyna Wolny. – Ja z panami porozmawiam.

- Proszę wejść – odezwała się po niemiecku, gdy tylko Stanisław zaczął wchodzić po schodach na piętro domu.

Niemcy usiedli w salonie na tej samej kanapie, na której Mar Fischer spał podczas poprzedniego pobytu. Gospodyni zajęła miejsce przy stole. Milczała, wodząc palcem po obrusie, jakby rysowała na nim ważne dla niej znaki. Nie patrzyła na gości.

- Pani Grażyno! – zaczął rozmowę Mar Fischer. – Czy możemy z panią porozmawiać o dawnych czasach. Wiem, że to dla pani bardzo trudne. Mąż mówił mi, jak bardzo pani przeżywa wojenne i powojenne wspomnienia. Ale my, ja i komisarz Fritz Jensen, musimy wyjaśnić pewne straszne zdarzenia z tamtych czasów i jesteśmy pewni, że pani mogłaby nam pomóc.

Grażyna Wolny podniosła wzrok znad stołu i spojrzała najpierw na Mara Fischera, a potem na Fritza Jensena. Po wyrazie jej twarzy nie można było zgadnąć, czy nigdy wcześniej nie widziała Jensena, czy go sobie nie przypomina, czy go nie poznaje, czy może tylko udaje, że nigdy wcześniej nie miała z nim kontaktu. Oczy miała puste i obojętne.

- W tamtych czasach wszystkie zdarzenia były straszne - odezwała się głucho, jakby z trudem wydobywając z siebie głos. – Po co do nich wracać? Dziwię się, że wy Niemcy przyjeżdżacie do Polski i liczycie na pomoc z naszej strony.

- Rozumiemy panią – znów mówił Fischer – ale zdarzenia, które chcemy wyjaśnić nie są zbrodniami wojennymi. Te znamy i proszę wierzyć, że czujemy się za nie odpowiedzialni. Ciężą nam tak samo jak pani.

Zamilkł, gdyż z piersi słuchającej go kobiety wydarł się dziwny dźwięk. Ni to śmiech, ni to szloch.

- O czym pan w ogóle mówi! – wykrzyknęła z niespodziewaną siłą, wstała i zaczęła krążyć niespokojnie po pokoju.

- Proszę wybaczyć. Wyraziłem się niezręcznie. Nie zrównuję cierpienia ofiar z rozterkami katów. Chciałem tylko powiedzieć, że bardzo nam, czyli mnie i Fritzowi, zależy na tym, aby znaleźć winnych śmierci kilku osób. Chodzi o wymierzenie sprawiedliwości – tłumaczył Mar Fischer.

Zdał sobie sprawę z tego, że nie ma takich argumentów, którymi mógłby przekonać Grażynę Wolny, aby pomogła im w poszukiwaniach.

Kobieta znów usiadła przy stole, opuściła głowę i wodziła palcem po obrusie. Milczała.

- Czy pani mnie poznaje? – zapytał zniecierpliwiony emerytowany policjant. – Nazywam się Fritz Jensen. Byłem asystentem komisarza Hansa Stratmanna. Po jego śmierci dałem pani adres do Lizy Rozenow. A Liza mieszkała wtedy tu, w Sarbinowie. Co się z nią stało?

Obaj mężczyźni patrzyli teraz uważnie na reakcję Grażyny. Żadnej reakcji nie dostrzegli, chyba że można było uznać za coś znaczącego brak jakiegokolwiek reakcji. Kobieta nie drgnęła, nie spojrzała na nich i nadal rysowała coś palcem na stole. Nie zapytała jednak o kim Jensen mówi, dlaczego przywołuje nazwisko komisarza Stratmanna oraz właścicielki pensjonatu Haus am Meer.

- To nie może być Grażyna Szczerbińska – pomyślał Jensen. – Szczerbińska okazałaby przynajmniej lekkie zainteresowanie, albo zaniepokojenie. Cokolwiek.

Męczące milczenie przedłużało się. Przerwał je zdecydowany głos pani domu:

- Nie znam osób, o których pan mówi, panów także nie znam. Nie mogę w niczym pomóc. Żegnam.

Grażyna Wolny wstała i pokazała Niemcom drzwi. Wyszli z ociąganiem, ale bez gniewu.

- To nie jest Szczerbińska – powiedział Fritz do Mara, gdy tylko wyszli z podwórza na ulicę.

- A mnie coś tu nie pasuje – mruknął Mar.

- Co ci nie pasuje? – zirytował się Fritz, który wolałby wracać już do klasztoru koszalińskich franciszkanów, gdzie wprawdzie nie było zimnego piwa, ale przynajmniej serwowano niezłe jedzenie.

Mar Fischer znał już usposobienie swojego towarzysza i wiedział, że tylko dobry posiłek może go uspokoić.

- Chodźmy coś zjeść - zaproponował. - Widziałem po drodze smażalnię ryb. Nawet ładnie z niej pachniało. Zjemy i spokojnie pogadamy.

W smażalni wzięli po dużej smażonej flądze, którą, jak wszystkie inne potrawy, podawano na papierowej tacce. Ale nie żalowali. Ryba była świeża, dobrze przyprawiona i do chrupkości usmażona. Po jej zjedzeniu zeszli na plażę i umyli w morskiej wodzie zatłuszczone ręce, z braku mydła używając piasku. Potem, zmęczeni i rozleniwieni, usiedli pod wydumą w cieniu rozłożystej wierzby, bo słońce prażyło niemiłosiernie.

- Co ci nie pasuje? – ponowił pytanie Jensen. – Ja dobrze poznałem Grażynę Szczerbińską. Z pewnością poznałbym ją nawet po tylu latach. Ty ją widziałeś tylko raz i to krótko.

- Niekoniecznie – stwierdził Fischer.

- Co niekoniecznie?! – Fritzowi nie podobały się nie mające podstaw wątpliwości kolegi.

- Niektóre kobiety tak zmieniają się z wiekiem, że są nie do poznania – padła leniwa odpowiedź. – Myślę, że to jednak jest Szczerbińska. Nie dała po sobie nic poznać, ale przecież po twojej wypowiedzi, po wspomnieniu o Stratmannie i Lizie, natychmiast wyrzuciła nas z domu. Ciebie nie zdziwiła taka nagła zmiana zachowania?

- Zbieramy się. Jedziemy do Bauerhufen polować na Jakuscha! – zawołał ożywiony nagle Jensen.

8. Konfrontacja



Zaparkowali samochód w pobliżu przystanku autobusowego w Chłopach. Był to ten sam przystanek, na którym Mar Fischer spotkał w kwietniu Edmunda Jakuscha vel Jakusza. Ponieważ było już późne popołudnie na przystanku stała liczna grupa wracających do swoich domów plażowiczów. Ubrani w kolorowe letnie ubrania odróżniali się od siebie tonacją opalenizny, od jasnego zjadliwego różu po głęboki utrwalony brąz.

Fischer i Jensen wmieszali się w tłum spacerowiczów i, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi, dotarli pod dom przy ulicy Leśnej, na tyłach którego zamieszkiwał Jakusch.

Plan upicia dawnego kolegi upadł z tej prostej przyczyny, że Mar, jako jedyny kierujący Fiatem, nie mógł towarzyszyć Jakuschowi w spożywaniu alkoholu, a odwrócenie ról – Mar czeka na zewnątrz, a Fritz pije z gospodarzem – nie wchodziło w rachubę. Nie wiedząc, co robić postanowili, że zanim zapukają do drzwi, poobserwują mieszkanie i zastanowią się nad nowym planem działania.

Okrążyli szerokim łukiem dom i zaszli go od drugiej strony. Znaleźli ukryte w gęstych chaszczach miejsce, skąd widzieli drzwi i okno lokalu położonego na tyłach budynku. Okno było otwarte i można było usłyszeć strzępy prowadzonej w mieszkaniu Jakuscha ożywionej rozmowy. Rozmawiali dwaj mężczyźni. Mówili po polsku.

- Ktoś z polskich znajomych go odwiedził – mruknął Mar. – Gada po polsku bez akcentu. Musiał znać ten język jeszcze przed wojną, bo jakby mógł tak skutecznie zaraz po wojnie udawać Polaka.

- Podobno jego babka była Polką – przypomniał sobie.

- Musiał też wyrobić sobie dobre polskie papiery – dodał Fritz. – Zobacz, ktoś od niego wchodzi.

- To Wolny! – prawie wykrzyknął Fischer. – To jest Zygfryd Wolny! Jestem tego pewny! Dobrze go zapamiętałem. Co robimy?!

- Zostajemy na miejscu- zdecydował Jensen. – Zobaczymy, co zrobi Jakusch. Jeśli wyjdzie z domu, pójdziemy za nim, a jeśli zostanie u siebie, złożymy mu wizytę. Wolny idzie w stronę Sarbinowa, więc prawdopodobnie zmierza do domu. Porozmawiamy z nim później.

Starsi panowie wahali się kilka minut, zanim zdecydowali się wyjść ze swojego ukrycia, wyjść z lasu i od strony drogi wkroczyć na podwórze budynku, w którym zamieszkiwał dawny kolega Mara Fischera.

Otwierali właśnie furtkę, przez którą wchodziło się na posesję, gdy zza rogu domu wyszedł ten, któremu mieli zamiar złożyć niespodziewaną wizytę.

Edmund Jakusch vel Jakusz, zaskoczony widokiem Mara Fischera i jego towarzysza, zatrzymał się. a po jego twarzy przebiegł cień strachu. Opanował się jednak momentalnie i szybkim krokiem, z uśmiechem na twarzy, podszedł do równie zaskoczonych mężczyzn.

- Czemu zawdzięczam tak szybką następną wizytę? – zwrócił się do Fischera, podając mu rękę w geście powitania.

Fischer uściskał wyciągniętą dłoń i przedstawił kolegę:

- To jest mój dawny znajomy Fritz Jensen. Poznaliśmy się jeszcze przed wojną, a ostatnio natknęliśmy się na siebie przypadkiem. Przyjechał zobaczyć stare kąty. Podobnie jak ja wcześniej. Zabraliśmy się z transportem darów.

- Fritz – zwrócił się teraz do Jensena – poznaj mojego przyjaciela z czasów młodości Edmunda Jakuscha. – Mówiłem ci, że zastał w Vaterlandzie i zdomowił się w nowej Polsce.

Jensen i Jakusch podali sobie ręce. Jakusch długo - zbyt długo - trzymał dłoń Jensena w mocnym uścisku i przyglądał się mu uważnie. Dziwnie się przy tym uśmiechał, więc sytuacja

stała się dla emerytowanego policjanta dość niezręczna. Nie chciał wyrywać swojej dłoni z dłoni witającego ich mężczyzny, więc tylko uśmiechnął się do niego i poruszył palcami. Uścisk zelżał. Dłoń Jensena odzyskała swobodę, a Jakusch, nadal uważnie przyglądając się gościowi, pewnym głosem powiedział:

- Ja pana znam. Pan pracował w köslińskim Kripo razem z komisarzem Stratmannem. Zdaje się, że komisarz miał na imię Hans. Tak. Pamiętam. Nazywał się Hans Stratmann. Prawda?

Nie czekając na potwierdzenie nadal mówił z zagadkowym uśmiechem na twarzy:

- Nie mieliśmy okazji spotkać się osobiście, ale słynnych śledczych, asów kryminalistyki, znali wszyscy mieszkańcy okolicznych miejscowości. Nie mylę się. Prawda? A komisarz jeszcze żyje? Chyba bardzo już leciwy.

- Komisarz nie żyje – odpowiedział krótko dawny asystent kryminalny mocno poirytowany tonem i pewnością siebie mówiącego.

- No tak, tak – pokiwał głową Jakusch. – Już podczas wojny miał swoje lata.

- To cóż – zawołał wesołym głosem. - Zapraszam na herbatę. Powspominamy dawne dobre czasy.

- Ale przecież właśnie wychodzisz. Nie będziemy przeszkadzać – zaproponował Mar Fischer.

- Zapraszam, zapraszam – powtórzył gospodarz i zamknął za nimi furtkę od wewnątrz.

Mar i Fritz, idąc za Jakuschem, spojrzeli na siebie pytająco. Ich wcześniejszy plan rozsypał się już wcześniej, a nowego nie ustalili. Obaj zastanawiali się, co robić, jak się zachować, o czym rozmawiać, a przede wszystkim, czy i jak nakłonić Jakuscha do mówienia o jego przedwojennej i powojennej działalności, o znajomości z Theodorem Bergerem i Zygfrydem Wolnym. Jednak na ustalenie czegokolwiek nie było szansy.

- Improvizujemy – przekazał bezgłośnie Jensen Fischerowi.

Mar Fischer patrzył na przygotowującego herbatę kolegę i miał wrażenie, że nie opuścił jego pokoju od czasu pierwszego spotkania. Widział te same ruchy i gesty. Odwrócony do gości tyłem gospodarz skupiał się tylko na wykonywanych czynnościach, a jego postawa była wyrazem pewności siebie oraz jakiejś niepokojącej determinacji. W pomieszczeniu panowała

krępująca cisza. Nikt nie rozpoczynał rozmowy. Banalne, grzecznościowe pytania i odpowiedzi stały się zbędne, a te właściwe zbyt trudne.

Jakusch podał trzy szklanki z parującą herbatą i usiadł przy stole. Nad stołem powietrze tężało od upału i od narastającego napięcia. Pierwszy przedłużającą się i męczącą ciszę przerwał Fritz Jensen. Słodząc zbyt mocną jak na jego upodobania herbatę dwiema łyżeczkami cukru, powiedział, nie spoglądając na gospodarza:

- Świat jest mały. Okazało się, że zna pan kościelnego z Sarbinowa Zygfrieda Wolnego. Widzieliśmy, jak od pana niedawno wychodził. Mar też go zna. Nocował poprzednio w jego domu. Poznał także jego żonę Grażynę.

- Tu wszyscy się znają – odpowiedział gospodarz i natychmiast zmienił temat rachitycznej rozmowy.

- Mieszkacie u franciszkanów w Koszalinie? – zapytał.

-Tak – jednym słowem potwierdził Mar Fischer.

- A wasi koledzy wiedzą, że tu jesteście? – rzucił drugie pytanie gospodarz, znów uśmiechając się zadziwiająco łagodnie i zagadkowo.

- Oczywiście – odpowiedział Mar i zaniepokojony spojrzał na Fritza.

Fritz skinął lekko głową, dając Marowi Fischerowi znak, że powinni bezzwłocznie naprowadzić rozmowę na właściwe tory i przejść do konkretnych pytań.

- Chcemy porozmawiać o tym, dlaczego Grażyna Wolny boi się ciebie – oznajmił bez ogródek zachęcony przez Jensena Fischer. – Chcemy też wiedzieć, czy miałeś coś wspólnego z samobójstwami, którymi zajmował się komisarz Hans Stratmann. Także z jego samobójstwem.

- Dobrze – odpowiedział Jakusch jakimś dziwnie łagodnym i wyrozumiałym tonem, jakby zwracał się do dzieci. – Porozmawiamy o tym wkrótce, ale nie teraz. Teraz mam inną sprawę do załatwienia.

Mar Fischer i Fritz Jensen poczuli nieprzyjemną ociążałość i odbierającą poczucie rzeczywistości senność.

- Cukier. On nie słodził – zdążył pomyśleć Jensen zanim ogarnęła go nieprzytomna ciemność.

Edmund Jakusch vel Jakusz miał kilka godzin na dokończenie i ostateczne zamknięcie wszystkich swoich spraw zanim jego nieproszeni goście obudzą się i zaczną działać. Nie obchodziło go to zresztą i nie martwiło, bo i tak nie zamierzał wracać do swego skromnego pokoju. Spakował do plecaka dokumenty, pieniądze, lekarstwa i bieliznę na zmianę. Ubranie i buty, które miał na sobie były wygodne i przystosowane do dłuższego marszu. Jak zawsze.

Do tylnej kieszeni spodni włożył subkontaktowy pistolet PSM, a w przednich kieszeniach upychał naboje. Każdy nabój oglądał uważnie, jakby sprawdzał, czy ma on ów stalowy rdzeń, który zapewniał lepszą przebijalność. Przed wyjściem przystanął, rozejrzał się po pokoju i zatrzymał na chwilę wzrok na leżących głowami na stole mężczyznach. Drzwi wejściowe zamknął na klucz.

- Wyjdą przez okno stare, głupie dziady i uciekną, gdzie pieprz rośnie. Niech wracają do swego kapitalistycznego raju – pomyślał ze złością i wszedł w głąb lasu.

Pierwszą sprawą do załatwienia była likwidacja Wolnego i jego żony. Wykonanie jej nie powinno przysparzać większych trudności. Jakusch doskonale znał zwyczaje Wolnych i nie miał powodu, aby sądzić, że zmienią je właśnie w ten piątek.

Piątkowe wieczory Wolni zwykle spędzali w domu, przygotowując się do sobotniego sprzątania kościoła w Sarbinowie i układania nowych kwiatnych bukietów przed ołtarzem. Młodszy Wolny dni wolne od pracy spędzał z żoną i dziećmi u teściów. Syn Wolnych, a właściwie syn Grażyny Szczerbińskiej i Hansa Stratmanna, mógł sobie spokojnie żyć dalej, gdyż nie miał pojęcia o tym, kim naprawdę są jego rodzice.

Zlikwidowanie Wolnych nie powinno rzucić na niego cienia podejrzeń. Uchodzili oni bowiem za ludzi majątnych. Wystarczyło upozorować napad rabunkowy, aby skierować śledztwo na ślepy tor.

Edmund Jakusch uważał Zygryda Wolnego za człowieka słabego i tchórzliwego. Znał go bardzo dobrze. Byli kuzynami. Ich niemieccy ojcowie, starszy Heinrich Jakusch i dwa lata młodszy Richard Frei, ożenili się z Polkami, Krystyną i Haliną, które były rodzonymi siostrami.

Edmund i Zygryd urodzili się w tym samym 1916 roku, kiedy ich ojcowie, Heinrich i Richard, walczyli na Froncie Zachodnim I wojny światowej. Dzielni żołnierze spłodzili

swoich synów, kiedy latem 1915 roku, z powodu lekkiego zatrucia gazem chlorowym, obaj przebywali na krótkich urlopiach w swoich rodzinnych stronach.

Gazu użyła ich własna armia, chcąc wyniszczyć tkwiących w okopach brytyjskich żołnierzy. Atak był udany, ale ucierpieli także niemieccy żołnierze, którzy mieli pecha znajdować się w niewłaściwym czasie w niewłaściwym miejscu.

Edmund Jakusch nie pamiętał ani ojca, ani matki. Ojciec zginął gdzieś pod Verdun, a matka umarła w połogu. Noworodek trafił do polskich dziadków. U nich podrośł i od nich nauczył się języka polskiego. Dziadkowie jednak zestarzelili się i chłopaka oddano pod opiekę niemieckiego stryja do Bauerhufen.

Ojciec Zygryda przeżył wojnę i nawet wrócił do domu, ale wkrótce po powrocie pokonała go grypa hiszpanka. Matka Zygryda, Halina Frei, wyszła ponownie za mąż. Tym razem za Polaka. Zygryd nie cierpiał ojczyzny i gdy miał 15 lat pojechał do Kolbergu, gdzie zatrudnił się jako pomocnik kucharza w hotelu Stradschloss.

Kuzyni spotkali się właśnie tam w 1933 roku. Przedtem nie utrzymywali ze sobą kontaktów. Zbyt wiele ich dzieliło. Ale w 1933 roku zbliżył ich do siebie wspólny sierocy los i złożone niemiecko-polskie poczucie narodowej przynależności. Obaj mieli po 16 lat i obaj zgodnie postanowili opowiedzieć się po stronie silniejszej, po stronie nazizmu. Lata przedwojenne, wojenne i powojenne połączyły ich na zawsze. Wiele razem zdziałali, ale Zygryd był tylko powolnym narzędziem w rękach Edmunda. Słabszy pod każdym względem, niski, szczupły i ostrożny, prawie bojaźliwy, karmił swą słabość siłą kuzyna.

Fritz Jensen ocknął się, poniosł ciężką głowę z mokrej plamy własnych wymiocin i spojrzał przed siebie. Głowa Mara Fischera leżała tuż przy jego twarzy. Mar oddychał chrapliwie.

- Żyje! – ucieszył się Jensen i, trzymając się krawędzi stołu, podniósł się z krzesła.

Przez chwilę nieznany pokój wirował przed jego oczami, a w kolanach poczuł nieprzyjemną miękkość. Gdy zawroty głowy ustały a nogi przestały drżeć, mógł puścić się stołu. Pochylił się i złapał Mara za ramiona. Potrzaskał nim z całej siły na jaką mógł się zdobyć. Kolega jednak nie obudził się, lecz zsunął z krzesła na podłogę.

Oszołomiony Fritz Jensen stał bezradnie nad bezwładnym ciałem leżącym na drewnianej podłodze. Oprzytomnienie przyszło dopiero po kilku minutach. Podeszedł do kuchennego

zlewu i długo pił wodę prosto z kawałka gumowego węża, który nałożono na kran, aby woda nie rozchlapała się na boki, lecz spadała nisko. Następnie nalał wody do dużego garnka, ściągnął z kranu gumowy wąż i wrócił do leżącego kolegi. Uniósł go, otworzył mu usta, ostrożnie włożył mu wąż głęboko do gardła i cierpliwie sączył do węża cienki strumień wody, którą nabierał z garnka małym kubkiem. Liczył na odruch przełykania, który ochroni Mara przed zadławieniem się. Zadziało.

- Nie zabił nas – myślał Jensen sącząc wodę do gardła kolegi. – A więc nie chciał wywołać międzynarodowej afery. Ale jednak daliśmy się mu przechytryć jak małe dzieci. Gdzie on jest? Co zamierza? Co robić? Uciekł?

Jego myśli były chaotyczne, a ciało słabe. Znów poczuł zawroty głowy, zwymiotował wypitą w nadmiarze wodę i poczuł się lepiej. Sprowokował także wymioty u Mara, ale Mar nie obudził się. Z trudem uchronił Mara przed zachłyśnięciem się.

- Może umrzeć – przestraszył się Fritz. – Ma małą wagę. Nie to co ja.

Nadal poił kolegę wodą. Mar jęknął i otworzył oczy. Patrzył na Fritza nieprzytomnie.

- Nie zasypiaj! – krzyknął Jensen i potrząsnął nim mocno. – Zaniosę cię do samochodu i zawiozę do szpitala. Trzymaj się!

Drzwi wyjściowe były zamknięte, ale wyjście przez okno z parteru nie nastęczało większych trudności. Jensen zarzucił sobie Mara na plecy, wydostał się na zewnątrz, a potem, nie zważając na przyglądających się im zdziwionych, szczęśliwie nielicznych, przechodniów, zataczając się zmierzał leśną ścieżką do skrzyżowania w Chłopach, przy którym zostawili samochód.

Wtłoczenie Mara do ciasnego wnętrza Fiata okazało się zbyt trudne dla osłabionego i wyczerpanego starszego mężczyzny. Jensen, zrezygnowany, położył kolegę na trawie i ciężko dysząc usiadł obok niego.

- Musimy jechać do Sorenbohm – usłyszał nagle szept Mara. – On ich zabije.

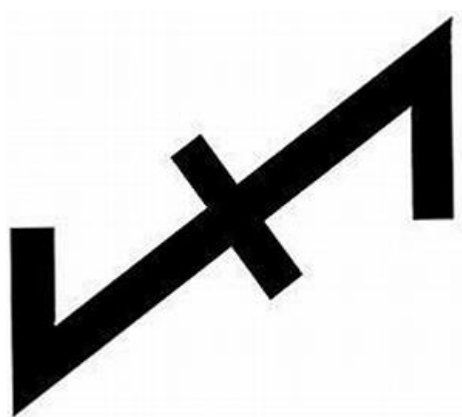
- Dasz radę? – zaniepokoił się Fritz.

Zrozumiał, że Mar ma na myśli Zygfrйда i Grażynę Wolnych i musiał mu przyznać rację. Wolni byli w niebezpieczeństwie.

- Nie wiem. Chyba mi lepiej – wymówił z trudem Mar, próbując się podnieść.

Jensen odzyskał siły. Dźwignął kolegę i pomógł mu wsiąść do samochodu. Sam z wielkim trudem wcisnął się za kierownicę i ruszył.

9. W kręgu zła



Zygryd Wolny wyszedł od Edmunda Jakuscha przygnębiony bardziej niż zazwyczaj. Nie lubił się z nim spotykać i słuchać jego poleceń. Męczyło go ukrywanie spotkań przed Grażyną. Ale nie miał wyboru. Był od Jakuscha zależny.

Po zdarzeniu z kobietami z Haus am Meer Jakusch, zniknął i ślad po nim zaginął aż do końca lat sześćdziesiąt, kiedy to Grażyna zobaczyła go w sarbinowskim sklepie. Od tamtej pory ich kontakty odnowiły się, ale zawsze były dla Zygryda nieprzyjemne i wymuszone.

Pozornie wzajemnie trzymali się w szachu, ale Zygryd był psychicznie słabszy. I wcześniej i teraz to Edmund stawiał warunki i decydował o wszystkim, a Zygryd zwykle poddawał się jego woli. Raz się tylko zbuntował. Wtedy, gdy poznał Grażynę, zakochał się w niej i gdy groziła jej śmierć z ręki Jakuscha. Nie chciał na to pozwolić. Bardzo chciał jej pomóc. Nadal jednak nie był pewny, czy by jej pomógł, gdyby nie sprzyjające po temu okoliczności i czy by się z nią ożenił, gdyby Jakusch pojawił się wcześniej.

W 1941 roku minęło dziesięć lat od czasu, gdy Zygryd Frei opuścił matkę i ojczyma i znalazł zatrudnienie w kuchni hotelu Strandschloss w Kolbergu. Zaczynał jako chłopiec do wszystkiego, ale w 1939 roku był już pomocnikiem kucharza. Znał wszystkie tajemnice hotelowego zaplecza i cieszył się pełnym zaufaniem szefa kuchni, bo stał się jego dodatkowym uchem. To szef właśnie zauważył, że Zygryd przygląda się rzeczom

podsuwając je blisko oczu i posłał go do lekarza. Zygfryd otrzymał też od szefa pieniądze na okulary o grubych szklach, a krótkowzroczność wybawiła go od wcielenia do armii.

Pierwszy raz zobaczył Grażynę właśnie wiosną 1941 roku. Od czasu do czasu wyrwał się z szaleńczego kuchennego rozgardiaszu na korytarz wiodący do służbowych pomieszczeń i, paląc papierosa, patrzył przez okno na tyły ogrodu. Pod oknem pewnego dnia przechodziła grupa polskich robotnic. Zatrzymały się na chwilę, słuchając poleceń prowadzącego je ogrodnika. Jedna z nich spojrzała na niego niewidzącym smutnym wzrokiem. Bardzo mu się spodobała. Za jakiś czas tajemnicą poliszynela była wieść, że opiekuje się nią ogrodnik, człowiek surowy i służbista. Wszyscy wiedzieli, na czym taka opieka polega i że nie należy ogrodnikowi wchodzić mu w drogę. Zygfryd nie narzekał jednak na brak powodzenia u młodych kobiet, pracownic hotelu. Też były ładne, a do tego chętnie nawiązywały bliskie kontakty bez niepotrzebnych zobowiązań. Przez jakiś czas widywał Polkę, ale później gdzieś zniknęła.

Wkrótce nadeszły złe czasy i każdy musiał myśleć o sobie. Zygfryd dobrze wiedział, co ma robić. Należał do grupy Werwolu. Tej samej, w której działał jego kuzyn Edmund Jakusch i której członkowie mieli rozkaz trwać jak najdłużej na zajmowanych stanowiskach, a gdy stanie się to niemożliwe, udać się do Swinemünde.

Do tajnej kilkusobowej grupy Werwolu obaj z Mundkiem należeli od czasu jej powstania, czyli od końca 1943 roku. Kilka miesięcy wcześniej, na tajnej naradzie, minister III Rzeszy Heinrich Himmler wraz z kilkoma wyższymi oficerami SS, postanowili zrealizować plan W-II, czyli zorganizować, wzorując się na polskim ruchu oporu, system grup dywersyjnych działających na płytkim zapleczu wroga. Organizacji nadano dumną nazwę Werwolf, Wilkołak, a jej znakiem został „Wilczy Hak”.

Od połowy lutego 1945 roku hotel już nie działał, a Zygfryd Frei zaangażował się w przygotowania do obrony Kolbergu przed nadciągającą Armią Czerwoną. 1 marca dowódcą garnizonu został doświadczony na froncie wschodnim i w Africa Korps Oberst Fritz Fullriede, a już 4 marca pod Kolbergiem pojawiły się sowieckie czołgi.

Od 8 marca, kiedy zaczęła się właściwa walka, wiadome się stało, że miasto nie zostanie utrzymane i jedyne co można zrobić, to zyskać na czasie. W mieście tłumnie gromadzili się cywile i umożliwienie ich ewakuacji wkrótce stało się jedynym i głównym zadaniem obrońców miasta. Trzy i pół tysiąca żołnierzy wojsk lądowych, marynarki, służb pomocniczych i Volkssturmu, wspomaganych przez kilka baterii dział, pociąg pancerny,

wyrzutnie raketowe, kilka czołgów i dział samobieżnych oraz dwa cumujące na redzie pancerniki i trzy niszczyciele, starało się jak najdłużej utrzymać port. 18 marca port został zdobyty przez trzy polskie dywizje podlegające dowódcom Armii Czerwonej.

Zygryd Frei odpłynął z Kolbergu w ostatniej chwili. Zabrał go wraz z innymi uciekinierami Batalion Alarmowy „Kell”, który kilka dni wcześniej przyплыł ze Swinemünde na pomoc obrońcom oblężonego miasta. Przyплыł zbyt późno i został użyty jedynie jako środek transportu.

Swinemünde poddało się sowietom dopiero 5 maja. Zygfryd Frei i Edmund Jakusch cudem przeżyli kwietniowe naloty aliantów na tę ważną bazę Kriegsmarine, w której naprawiano i remontowano kutry torpedowe, łodzie podwodne, niszczyciele i wodnosamoloty i która zaopatrywała niemieckie jednostki w amunicję, żywność i wodę. Przez wiele tygodni pomagali w załadunku sprzętu nadającego się do wywiezienia i w niszczeniu tego co musiało pozostać. Niszczono zabudowania portu, żelbetonowe bunkry służące za magazyny, stocznię trałowców i fabrykę produkującą torpedy. Pod koniec kwietnia zaczęli przedzierać się do Kolbergu.

Edmund uznał, że teraz właśnie nadszedł czas na realizowanie najważniejszej misji Werwolfu, czyli na działania dywersyjne i ideologiczne na zapleczu wroga. Ich Pomernn było szczególnym obszarem, który należało ochronić przed przejściem przez polską administrację. Ludność niemiecką trzeba było powstrzymywać przed wyjazdem, a panoszącą się nową władzę osłabiać.

Dotarli do Kolbergu w połowie maja 1945 roku. Ukrywali się razem z kilkoma żołnierzami SS i dwoma kolegami z Werwolfu w ruinach kolegiaty. Miasto było prawie całkowicie zburzone, nowe władze bezsilne. Noc należała do nich. Wspierali ich ci, którym nie udało się uciec, ale którym udało się przeżyć koszmar sowieckiego zwycięstwa. Najchętniej pomagali żądni zemsty nieletni niemieccy chłopcy oraz ziejące nienawiścią do Rosjan i Polaków niemieckie dziewczyny. W odróżnieniu od garstki uzbrojonych polskich strażników, słabo wyszkolonych i zdezorientowanych, Niemcy dobrze znali teren i jego infrastrukturę. Poza mniejszymi akcjami grupa Freia i Jakuscha zniszczyła wodociąg w Rostin, wysadziła tory kolejowe, ścięła słupy elektryfikacyjne i zabiła kilkunastu maruderów i szabrowników.

Od końca 1946 roku poszła fama o rychłym zamknięciu granicy. Jeden po drugim członkowie grupy postanawiali zakończyć działalność i uciekali na Zachód. Stchórzili nawet ci, którzy wcześniej przeszli przeszkolenie na dowódców Werwolfu w specjalnych ośrodkach przygotowawczych. Usprawiedliwiali swoje tchórzostwo tym, że Werwolf został oficjalnie zdelegalizowany, a w aktualnej sytuacji politycznej walka straciła sens.

Edmund został i kazał także zostać Zygfydowi. Załatwili sobie polskie papiery. Nadal działali nocą. W dzień byli spokojnymi obywatelami, Polakami, którzy dzięki nowej władzy przybyli do Kolbergu, teraz nazywanego Kołobrzegiem, w poszukiwaniu lepszego życia.

Wkrótce opuścili ruiny Kolbergu i przenieśli się w pobliże Sorenbohm. Zygfyd nie wierzył już w sens ich działalności, która teraz polegała głównie na siłowym nakłanianiu mieszkających tu jeszcze Niemców, aby pomimo wszelkich trudności pozostali na swoim i stwarzali pozory posłuszeństwa względem polskiej administracji, aby włączali się w niszczenie wszelkich struktur nowej władzy i czekali na rychły powrót władzy niemieckiej.

Właśnie wtedy, kiedy walczyli już tylko we dwóch, kilkakrotnie odwiedzili pensjonat Haus am Meer. Jego właścicielka, Niemka nazywająca się Liza Rozenow, mieszkała razem z młodą kobietą i jej maleńkim synkiem. Młoda kobieta była Polką. Edmund rozpoznał w niej kochankę komisarza Hansa Stratmanna i twierdził, że chłopiec musi być jego dzieckiem. Zygfyd też ją rozpoznał. Wiedział, że mieszkała ze Stratmannem. Była to także ta sama kobieta, którą kilka lat wcześniej widywał w ogrodzie hotelu Stradschloss. Z przykrością stwierdził, że zmarniała i zbrzydła, ale nadal mu się podobała. Nienawidził swojego kuzyna, gdy ten brał ją sobie, jak tylko miał na nią ochotę.

- Nic nie jest warta ta polska wywłoka – mówił za każdym razem Edmund, gdy dał upust swojej chuci. – Ale trudno. Nie mogę wybrzydzać. Takie czasy. Przecież nie mogę wykorzystywać naszych niemieckich dziewcząt i kobiet.

W ich samotnym działaniu zaczęła przeważać zwykła bandyterka. Ich wizyty w Haus am Meer, a potem wydanie przez Jakuscha na jego mieszkanki wyroku śmierci, były tego najlepszym przykładem. Ale Zygfydowi Freiowi brakowało odwagi, aby wypowiedzieć posłuszeństwo Edmundowi Jakuschowi.

Odwagę natomiast wykazały mieszkające w Haus am Meer kobiety tej nocy, kiedy przyszli je zlikwidować. Starsza, Niemka, poświęciła się dla młodszej Polki. Zadziwiło go to i

ośmieliło. W nagłym porywie serca postanowił uratować Grażynę. Miał nadzieję, że będzie to najlepsze zadośćuczynienie za zło, które wcześniej pod wpływem Edmunda popełnił.

Szli z kobietami przez uśpioną wieś w stronę, aby wykonać wydany przez Edmunda wyrok. Liza Rozenow potykała się i chwiała. Grażyna podtrzymywała ją. W pewnej chwili Niemka rzuciła się do ucieczki. Mundek pobiegł za nią, krzycząc:

- Łap tamtą!

Zygfyrd nie ścigał Grażyny. Przyczał się za pobliskim budynkiem i czekał, choć dokładnie nie wiedział na co. Czy na powrót Edmunda, który nie mógł skończyć się niczym dobrym, czy po prostu na jakiś zbieg okoliczności, który pozwoli mu wreszcie zacząć inne, samodzielne życie? Jakusch nie wracał. Wokół panowała błoga cisza przerywana od czasu do czasu ostrymi krzykami mew i delikatnymi piskami obudzonych ptaków. Kwietniowa noc pachniała świeżo, soczyście i upojnie, jakby zamęt spowodowany przez ludzi w ogóle jej nie dotyczył.

- Tego co było już nie ma – pomyślał Zygfryd Frei i ruszył w stronę pensjonatu.

Grażyny w pensjonacie nie było. Dziecko spało. Wrócił do miejsca, gdzie rozstał się z Jakuschem i poszedł w kierunku, w którym pobiegła Grażyna. Zobaczył kościół. Zbliżył się. Drzwi kościoła były otwarte. Uznał to za dobry znak.

Zygfyrd Frei zmienił nazwisko na Wolny. Zabrał Grażynę i jej syna do Karlina. Wziął z nią ślub, usynowił dziecko, a potem starali się żyć jak normalna polska rodzina doświadczona wojną, ale patrząca z nadzieją w przyszłość. Wkrótce zamieszkali w Sarbinowie. Pewnej nocy Zygfryd Wolny wydobył złote monety, które Liza Rozenow zakopała w ogrodzie swojego pensjonatu. Pomogły im urządzić się wygodniej, a później, gdy czasy zrobiły się spokojniejsze, mogli wybudować dom. Edmund Jakusch rozpułynał się w powietrzu. Co do Lizy Rozenow to Zygfryd nie miał wątpliwości, że ona nie żyje. Nie wiedział tylko, jaką śmiercią zginęła. Z Grażyną nigdy jej nie wspominali.

Dzień, w którym Grażyna spotkała Jakuscha vel Jakusza w sklepie w Sarbinowie zmienił życie Zygfryda. Edmund wkrótce odnowił z nim kontakty i znów jakby zawładnął jego wolą. Więzy ich łączące były mocne, impregnowane złem, które razem popełnili.

Edmund Jakusch szedł z Chłopów do Sarbinowa lasem, równolegle do ścieżki. Wolał nie być widziany. Myślał o tym, jak ukarać Zygryda i jego żonę za niesubordynację. Nie znosił braku posłuszeństwa, wyłamywania się z ustalonych zasad. Kuzyn respektował zasady, które ustalili, a właściwie które, wobec typowego dla krewnego ogólnego braku inicjatywy, on musiał ustalić, aż do tego przełomowego dla ich znajomości i dla ich wspólnych działań momentu wyrwania się tej szmaty Grażyny, kochanki Stratmanna, z ich rąk.

- Zakochał się w niej głupiec – pomyślał Edmund, gdy kilka lat później dowiedział się, że Zygryd ożenił się z Grażyną.

Po ucieczce Grażyny kuzyn nie był mu potrzebny. Wolał odciąć się od niewygodnego świadka dotychczasowej działalności. Chciał zbudować sobie nową tożsamość i wobec klęski nazizmu znaleźć nową ideę, której mógłby służyć. Dla własnego bezpieczeństwa zerwał z Zygrydem kontakt. Wrócił do Kolbergu i jako Edmund Jakusch zaczął kręcić się wokół ludzi, którzy stworzyli Miejski Komitet Odbudowy Kołobrzegu.

Lubił być wśród tych, którzy decydują o losach ludzi, o ich przyszłości. Ambitne plany podniesienia Kołobrzegu i jego portu z ruiny zniweczyła jednak decyzja Ministerstwa Odbudowy i Głównego Urzędu Planowania Przestrzennego. „Kołobrzeg stał się obecnie tworem martwym o żadnych możliwościach rozwojowych i gospodarczych” – pisano.

Sytuację próbowali jeszcze ratować Eugeniusz Kwiatkowski, Delegat Rządu dla Spraw Wybrzeża w Gdańsku, oraz Witold Bublewski, kierownik Działu Zagadnień Wybrzeża w Delegaturze, którzy powołali Związek Gospodarczy Miast Morskich do koordynowania działań wzdłuż wydłużonej o kilkaset kilometrów granicy morskiej. Stracili jednak posady po zmianach politycznych, które zaszły w Polsce w 1948 roku. Priorytetem okazała się teraz odbudowa stolicy, na którą Kołobrzeg, wielkie gruzowisko, dostarczał cegieł. Rozbierano walące się kamienice, zburzono kościoły. Cudem ocalała na wpół zburzona gotycka kolegiata.

- Polnische wirtschaft – z pogardą myślał Edmund Jakusch.

Zaczął rozglądać się za takimi znajomościami, które przynosiły prawdziwą władzę w tym zrujnowanym mieście. Postanowił zbliżyć się do Rosjan. Uznał, że najlepszym sposobem wejścia do środowiska sowietów będzie związanie się z dobrze ustawioną Rosjanką.

Zawarcie bliskiej znajomości z odpowiednią kobietą wymagało trochę wysiłku, ale nie było zbyt trudne. Kobiety rosyjskie, twardo traktowane przez nadużywających alkoholu rodaków, dość szybko ulegały czarowi polskich dżentelmenów. Dogodna okazja nadarzyła się kiedy

starosta Kołobrzegu postanowił uroczyście przenieść na miejski cmentarz szczątki polskich żołnierzy poległych w walkach o Kołobrzeg i pochowanych na prowizorycznym cmentarzyku pod latarnią morską. Wśród poległych były trzy kobiety z Samodzielnego Batalionu Kobiecego imienia Emilii Plater, więc na uroczystość zaproszono kilka kobiet żołnerek w randze oficerów Armii Czerwonej. Jedną z nich była lejtnant Swietłana Paszczenko z kobiecego 588 Pułku Lekkich Bombowców Nocnych, sławnego i podziwianego.

Swietłana spełniała wszystkie warunki, których wymagał Jakusch. Była ustosunkowana, silna i samodzielna, a jednocześnie niezbyt ładna i trochę od niego starsza. Podszedł do niej tuż po uroczystościach pogrzebowych i przedstawił się jako były pracownik przymusowy, ofiara niemieckiego nazizmu, która jest wdzięczna sowieckim bohaterom za wyzwolenie nie tylko z niewoli nazizmu, ale także kapitalizmu. Pocałował kobietę w rękę i pochwalił twarzowość jej munduru. Rozmawiali trochę po polsku, trochę po rosyjsku. Szybko znaleźli wspólny temat, samoloty. Edmund nie szczędził jej komplementów i słów podziwu dla jej odwagi jako wytrawnego pilota bombowca.

- Ciężko pracowałem w niemieckiej bazie lotniczej – powiedział głosem zduszonym fałszywym wzruszeniem. – Traktowali nas jak niewolników. Cieszyliśmy się, kiedy widzieliśmy ich strach przed waszą siłą. Czekaliśmy na was.

Swietłana uściśnęła go wtedy mocno, po żołniersku, i zaprosiła na wódkę.

Zaczęli się spotykać i zostali kochankami. Od czasu do czasu Rosjanka zapraszała go do swego lokum w bazie lotniczej, gdzie pili bimber, jedli wojskowe konserwy i kochali się. I tak dzięki Swietłanie Edmund Jakusch poznał kilku sowieckich oficerów politycznych i wkrótce nawiązał z nimi nieoficjalną współpracę.

Jako były pracownik przymusowy, który przez lata wykonywał katorżniczą robotę w niemieckiej bazie lotniczej w Bodenhagen, teraz polskim Bagiczem, dużo przecież wiedział. Okazał się bardzo przydatny jako przewodnik po tajemnicach bazy. Tłumaczył pozostawione przez Niemców dokumenty, znał budowę pozostawionych urządzeń, wiedział o tajnych korytarzach i ukrytych schronach. Szybko więc został stałym bywalcem bazy. Protekcja Swietłany przestała mu być niezbędna, ale nadal podtrzymywał związek z nią, bo obawiał się nieobliczalnej kobiecej wściekłości. Poczuł się pewniej, gdy zainteresował się nim sowiecki

wywiad wojskowy i zaproponował współpracę. Wiedział, że dobrze go prześwietlili i że niczego nie znaleźli. A jeśli nawet coś odkryli, to wykorzystają to w odpowiednim czasie, wtedy, gdy przestanie być przydatny, gdy okaże się niełojalny, albo gdy zacznie komuś przeszkadzać

- Wystarczy że będę się dobrze pilnował, a włos mi z głowy nie spadnie – kombinował. – Najważniejsze, że mam potężnych protektorów.

Coraz częściej myślał o uwolnieniu się od nieatrakcyjnej Swietłany, która robiła mu sceny zazdrości. Pobił ją kilka razy, ale to nie wystarczyło, aby go porzuciła. Twarda była ta doświadczona życiem radziecka kobieta, a zarazem niezwykle podatna na mocne uczucia. Kochała bezwarunkowo. Wiedział jednak, że równie mocno może go znienawidzić i szukać zemsty, więc ożenił się z nią, żeby się uspokoiła i nie szkodziła, ale przede wszystkim dlatego, aby umocnić swoją pozycję w nowym rosyjskim środowisku.

Ślub był skromny, na weselu bawili się sowieccy przyjaciele Swietłany. Pito solidnie. Nie tylko za zdrowie młodej pary, ale także za koniec służby. Swietłana bowiem zdjęła mundur i przeszła w stan spoczynku.

Zamieszkali w jednej z nielicznych ocalałych kamienic w centrum Kołobrzegu. Polskie władze wysupłały wreszcie trochę pieniędzy na zabezpieczenie ruin i powolną odbudowę miasta oraz portu. Decyzję przyspieszyły zdarzające się coraz częściej przypadki śmierci dzieci i dorosłych pod zawałającymi się murami i wskutek niewybuchów.

Edmund dostał posadę urzędniczą w starostwie. Pilnował tam dyskretnie sowieckich interesów. Swietłana nadal pracowała w bazie. Była zaufaną i sprawdzoną pracownicą cywilną w sztabie.

Edmund zastrzegł jeszcze przed ślubem, że nie chce mieć dzieci. I dzieci nie mieli. Nie interesowało go to, jak Swietłana zabezpiecza się przed ciążą i jak sobie radzi, gdy zdarzy im się wpadka. Po ślubie zyskał swobodę, której mu wcześniej brakowało. Nie musiał tłumaczyć się rosyjskiej żonie z częstej nieobecności w domu. Robił co chciał i kiedy chciał.

Od grudnia 1956 roku Bagicz został wyłączony spod polskiej jurysdykcji i Edmund Jakusch spotykał się ze swoimi sowieckimi protektorami wyłącznie poza bazą. Nie miał do bazy wstępu nawet jako mąż Swietłany, która nagle stała się pewniejsza siebie i drażniąco zhardziała. Poczuł się wykluczony i poniżony.

W bazie podjęto szeroko zakrojone prace modernizacyjne. Budowano nowe pasy startowe i lotniskową infrastrukturę. Wszystko co w bazie się działo, było objęte ścisłą tajemnicą, więc Swietłana praktycznie przestała z nim rozmawiać.

9 maja 1959 roku w bazie lotniczej hucznie obchodzono Dzień Zwycięstwa. Mąż, obrażony odsunięciem go od informacji, nie towarzyszył żonie. Swietłana nie wróciła do domu ani tego dnia, ani następnego. Jej towarzysze niechętnie dzielili się wiedzą na jej temat. Pito dużo i nikt nie zauważył, kiedy wyszła. Prawdopodobnie wszczęto poszukiwania, ale Jakusch niewiele o nich wiedział.

Po zaginięciu żony Edmund Jakusch koniecznie chciał wyjechać z Kołobrzegu i pozwolono mu na to. Mógł się przydać w innym miejscu. Znalaziono mu nieźle płatną pracę w Wojewódzkim Biurze Skierowań Funduszu Wczasów Pracowniczych w Koszalinie. Zamieszkał tam i działał w licznie powstających w czasach politycznej odwilży stowarzyszeniach. Interesowało go wszystko, od koszalińskiego oddziału Stowarzyszenia „Pax”, po Młodzieżowe Koło Filatelistyczne przy Wojewódzkim Domu Kultury.

Nie związał się na stałe z żadną kobietą. Wystarczały mu krótkotrwałe kontakty. Największą satysfakcję dawała mu bowiem współpraca ze tajnymi służbami. Nie dbał o to, że są to służby państw, które jeszcze niedawno uważał za wrogie Niemcom. Niemcy jako jedno państwo już nie istniały, a on wybrał lepszą część Niemiec, część komunistyczną respektującą wielkie społeczne idee.

Pod koniec lat sześćdziesiątych praca biurowa i aktywność w wielu stowarzyszeniach i zrzeszeniach zaczęła go męczyć. Miał ponad pięćdziesiąt lat i zatęsknił za miejscem swojej młodości. Przeniósł się do Chłopów, zatrudnił w tamtejszym domu wczasowym FWP, czyli dawnym hotelu Astoria, i od czasu do czasu wykonywał zadania zlecone mu przez oficera prowadzącego. Nie bał się dekonspiracji. Któż mógłby mu zaszkodzić po tylu latach dobrej służby.

Spotkanie dawnej kochanki Stratmanna, Grażyny, której nie zdołał zlikwidować razem ze zdrajczynią narodu niemieckiego Lizą Rozenow, wyzwoliła w nim wściekłość, której od dawna nie odczuwał. Jeszcze większą wściekłość poczuł, kiedy na własne oczy zobaczył dawno nie widzianego kuzyna Zygryda. Musiał go sobie znów podporządkować. Zmusił go do spotkań na każde swoje życzenie i, za pozwoleniem opiekuna, do współpracy wywiadowczej.

Lata mijały. Wściekłość Jakuscha ucichła i zmieniła się w satysfakcję z uległości Zygryda. Uległości, którą kuzyn teraz nagle mu wypowiedział. Oczywiście ze strachu. Przestraszył się cieni przeszłości. Niemieckiego emeryta. Byłego policjanta Kripo. Człowieka, który był nikim w czasach ich młodości i nikim pozostał.

- Ty masz wysoko postawionych protektorów – powiedział dziś Zygryd przed wyjściem – a ja jestem nikim. Ten twój dawny znajomy Mar Fischer za bardzo interesuje się przeszłością i może nam zaszkodzić. Ty się wywiniesz ze wszystkiego i wyjedziesz do NRD, a ja zostanę tutaj i zapłacę nasze wspólne rachunki. Stracę wszystko. Rodzinę, dom i prawdopodobnie życie. Daj mi spokój, albo wyjawię całą prawdę o tobie.

- Głupiec – myślał Jakusch, przemierzając nadmorski las. – Głupiec jak zawsze. Nie rozumie prostej rzeczy: nie zrywa się współpracy ze służbami, nie sprzeniewierza się posłuszeństwu..

Wyszedł z lasu na zatłoczoną plażę. Zdjął obuwie i wszedł do wody. Chłód morskich fal przyniósł ulgę stopom. Ogromnie, pomarańczowe słońce stało nisko nad horyzontem.

- Zaskoczę ich o zmierzchu – postanowił. – Teraz odpocznę.

Wyszedł z wody i z przyjemnością położył się na ciepłym piasku. Rozleniwieni wygrzewaniem się w lipcowym słońcu plażowicze powoli zbierali swoje koce, torby i piłki. Plaża pustoszała. Pozostali jedynie romantycy, amatorzy zachodów słońca.

Kiedy Edmund Jakusch wszedł na posesję Wolnych nie zdziwił się ciszą panującą na podwórzu i w domu. Okno na parterze było otwarte, a więc zastał ich na miejscu. Przed domem nie parkował Fiat Stanisława, a więc zastał ich samych. O to właśnie chodziło. Przebył kilka stopni prowadzących do drzwi wejściowych, sprawdził, czy nikt z sąsiadów go nie obserwuje i nacisnął dzwonek.

- Zanim z nimi skończę – planował, czekając na odgłos kroków wewnątrz domu – wyjaśnię im dlaczego muszą umrzeć. On za złamanie zasad, ona za dawne grzechy. Musi zrozumieć, że co się odwlecze, to nie uciecze, że prędzej czy później powinna dołączyć do Lizy Rozenow.

Wyjął pistolet, załadował i odbezpieczył. Za drzwiami nadal panowała cisza. Nacisnął ostrożnie klamkę. Drzwi ustąpiły. Wyteżył słuch. Cisza. Postawił cztery ciche kroki, usłyszał ciężki oddech za swoimi plecami, ale zanim zdążył się odwrócić, poczuł ostry ból z tyłu głowy. Ogarnęła go bolesna ciemność.

10. Półprawdy



Fritz Jensen, spocony i półprzytomny, naciskał pedał gazu i z niepokojem spoglądał na siedzącego na sąsiednim siedzeniu Mara Fischera. Mar trzymał głowę w otwartym oknie samochodu i głęboko oddychał.

- Przewieje go i połamie, ale przynajmniej nie zaśnie – pocieszał się były policjant.

Jazda z Chłopów do Sarbinowa trwała zaledwie kilka minut. Aby nie rzucać się w oczy, zaparkowali Fiata przed kościołem i pieszo udali się pod dom Wolnych. Mijani po drodze przechodnie przyglądali się im ze zdziwieniem w oczach, spoglądali za nimi i coś do siebie mówili.

- Dziwnie wyglądamy. Ktoś nas może zapamiętać. Dwóch staruchów wycieruchów - powiedział Mar dowcipnie, choć nie było mu do śmiechu.

Stanęli na chwilę i spojrzeli jeden na drugiego uważnie. Istotnie dziwnie wyglądali: przemoczone i pomięte ubrania z niezbyt dobrze usuniętymi plamami, twarze blade i złane potem, włosy zmierzwiłone. Ale ani wcześniej, ani teraz nie mieli czasu, żeby doprowadzić się do jako takiego wyglądu. Musiało wystarczyć im to, że jeszcze w ogóle żyją.

Podeszli pod dom Wolnych i przez chwilę obserwowali z ulicy ich posesję. Wokół panowała cisza. Przed domem nie stał samochodu. Brama wjazdowa był zamknięta na kłódkę. W otwartym oknie na parterze powiewała biała firanka. Trudno było zgadnąć, czy panujący na posesji bezruch zwiastuje spokój czy nieszczęście.

- Wchodzimy. Nie ma na co czekać. Albo już po wszystkim, albo zdążyliśmy przed Jakuschem, albo Jakusch jest jeszcze w środku – zdecydował Fritz Jensen. – Zapukamy w okno. Może w ten sposób uda się sprawdzić, jaką sytuację zastaliśmy.

Furtka w ogrodzeniu ustąpiła. Pochyleni obeszlili dom, starając się stąpać bezszelestnie. Jensen podniósł się i jako ten wyższy cichutko zastukał w szybę. Cisza. Zastukał raz jeszcze. Tym razem mocniej. Przez okno wyjrzała Grażyna Wolny i zobaczywszy ich wydała stłumiony okrzyk.

Mar Fischer także się wyprostował i zapytał szeptem:

- Wszystko w porządku?

- Może nas pani wpuścić? – dodał także ściszym głosem.

Grażyna Wolny skinęła głową.

Udali się do drzwi wejściowych. Zastali je jeszcze zamknięte. Zniecierpliwiony i podenerwowany Mar Fischer nacisnął dzwonek. Za drzwiami panowała cisza, ale po kilku sekundach usłyszeli pytanie zadane lekko drżącym męskim głosem:

- Jesteście sami?

Tak – odpowiedzieli jednocześnie.

- Zdążyliśmy przed Jakuschem – westchnął Mar Fischer i z wyrazem ulgi na twarzy oparł się o ścianę, bo znów poczuł śmiertelne zmęczenie.

Kiedy otwarto im drzwi i weszli do przedpokoju zobaczyli Zygryda Wolnego i stojącą za nim Grażynę. Oboje wyglądali na zaleknionych i przygnębionych, ale całych i zdrowych.

- Słucham panów – odezwał się gospodarz twardym tonem – Dlaczego nas nachodzicie?

Wolny szybko zatrzęsął i zamknął na dwa zamki drzwi wejściowe. Z trudnością maskował strach i zdenerwowanie.

- Panie Wolny – powiedział mu Jensen powoli i dobitnie. – Najwyższy czas powiedzieć nam prawdę. Z pewnością dobrze się znacie. Wie pan też bardzo dobrze, że to niebezpieczny typ. Chciał nas załatwić nas. Na szczęście żyjemy. Ale wy możecie zginąć z jego ręki. Jeśli będzie pan z nami szczery, pomożemy panu i pana żonie raz na zawsze uwolnić się od Edmunda Jakuscha.

- Nie potrzebujemy pomocy! – wykrzyknął piskliwym głosem Wolny. – Co też panu przyszło do głowy! Z Jakuschem nie mamy nic wspólnego!

- Był pan u niego dzisiaj – spokojnie stwierdził Mar Fischer. – Widzieliśmy jak pan od niego wychodził. My także złożyliśmy mu wizytę i kiepsko się to dla nas skończyło. Próbował nas otruć.

Po tych słowach Grażyna Wolny zachwiała się, zbladła, spojrzała najpierw na gości, potem na męża i zadała mu pytanie głosem, w którym brzmiało i nieprzyjemne zaskoczenie i głęboka pretensja:

- Byłeś u Jakuscha? Po co?

Wolny patrzył w podłogę i milczał, a jego żona stwierdziła ze smutkiem i rezygnacją:

- Ty się z nim przez cały ten czas spotykałeś. Domyślałam się, ale nie chciałam wierzyć.

- Chroniłem nas – odparł Wolny, nie patrząc na żonę.

Grażyna odwróciła się i wolnym, chwiejnym krokiem poszła do dużego pokoju. Trzej mężczyźni podążyli za nią. Wszyscy usiedli. Gospodarze z dala od siebie po dwóch stronach stołu, goście obok siebie na kanapie. Nikt się nie odezwał.

Po kilku minutach milczenia Grażyna Wolny podniosła głowę znad stołu, spojrzała na Mara Fischera, a potem zatrzymała wzrok na twarzy Fritza Jensena.

- Miał pan rację – powiedziała, patrząc Fritzowi prosto w oczy. – Znamy się. Od razu pana poznałam. To ja byłam kochanką komisarza Hansa Stratmanna,. To mnie pan uratował po jego śmierci, dając mi adres Lizy Rozenow. Byłam już wtedy w ciąży, o której nie zdążyłam powiedzieć Stratmannowi.

Głos kobiety zadrżał. Spojrzała na powiewającą w oknie pokoju firankę. Milczała przez chwilę, a potem dodała:

- Poszłam wtedy do pensjonatu Haus am Meer. Liza mnie przyjęła. Tam urodziłam syna Stanisława. Liza bardzo mi pomogła, ale jestem pewna, że przypłaciła to życiem, że zabił ją Jakusch. Liza pomogła mi uciec i tylko dlatego ocalałam. Działo się to wiosną 1946 roku.

- Teraz też grozi wam śmierć – oznajmił emerytowany policjant. – Jesteśmy pewni, że Jakusch chce was zabić, panią i męża. Dziwne, że jeszcze go tu nie ma i że żyjecie. Nie mamy czasu. Trzeba się przygotować.

Fritz Jensen nie czekał już na powiedzenie prawdy przez Zygryda Wolnego. Czas uciekał. Należało działać, więc przejął inicjatywę.

- Niech pan otworzy z zamków drzwi wejściowe i wróci do salonu – zwrócił się do gospodarza. - Ja stanę za drzwiami i poczekam na Jakuscha. Trzeba go zaskoczyć. Wy siedźcie na razie w salonie i bądźcie cicho. W żadnym wypadku nie wyglądajcie przez okno i nie wychodźcie do przedpokoju. Przybiegnijcie dopiero wtedy, gdy usłyszycie upadające ciało.

- Da mi pan coś ciężkiego? – zwrócił się do kościelnego. - Trzeba to owinąć szmatą. Nie chcę go zabić. Jest tu piwnica?

Kilka minut później ktoś, kogo kroków nie usłyszeli, zadzwonił do drzwi wejściowych. Fritz Jensen już stał za nimi z tłuczkiem do mięsa owiniętym kuchennymi ścierkami. Narzędzie przygotowała i wręczyła mu Grażyna, która pierwsza zareagowała na słowa policjanta, bo Zygryd Wolny popadł w stan podobny do katatonii. Nie odzywał się i nie ruszał.

Na głos dzwonka Jensen lekko drgnął, ale natychmiast się opanował. Nie otworzył. Cekał. Po chwili drzwi uchyliły się i do środka cichutko wszedł mężczyzna. Jensen nie sprawdził, czy wchodzącym mężczyzną jest Jakuschem. Nie miał na to czasu. Zdecydowanym ruchem uderzył wchodzącego tłuczkiem w tył głowy, a uderzony miękko upadł na podłogę.

Z pokoju wyszedł najpierw Mar Fischer. Za nim wychyliła głowę Grażyna Wolny. Ostatni pojawił się Zygryd Wolny. Widać było, że zdążył ochłonać, bo trzymał w ręku przygotowany wcześniej solidny gruby sznur.

- To on – wyszeptał Fischer, nie zdając sobie sprawy, że szept już nie jest potrzebny.

– Trzeba go dobrze związać i znieść do piwnicy. Tam sobie z nim porozmawiamy – oświadczył Jensen, ocierając z czoła grube krople potu.

Bezwładne ciało Edmunda Jakuscha nie było zbyt ciężkie dla trzech mężczyzn i jednej kobiety. Cała ekipa bez trudu zniosła je do piwnicy i położyła na chłodnej betonowej podłodze. Jensen ukląkł i z dużą wprawą zakneblował ofierze usta kuchenną ścierką, a następnie sprawdził wiązania na rękach i nogach. Z trudem dźwignął się z piwnicznej podłogi i zarządził:

- Wszyscy musimy dojść do siebie. Odpocznijmy i zjedzmy coś, a on niech dojrzewa.

- Ma pani siłę, żeby przygotować coś do jedzenia? – zwrócił się do Grażyny, a gdy ta skinęła głową mniej uprzejmym tonem powiedział do Zygryda Wolnego.

– A pan niech idzie w tym czasie do najbliższej budki telefonicznej i zadzwoni do klasztoru franciszkanów w Koszalinie. Numer z pewnością pan zna. Trzeba uspokoić naszych kolegów oraz zakonników. Proszę powiedzieć, że wszystko z nami, to znaczy z Marem i ze mną, jest w porządku i że zostaniemy u was na noc. Do Koszalina wrócimy jutro.

- Chodź – poprosił następnie Mara - doprowadzimy się trochę do porządku.

Kolacja była skromna, ale nikt nie narzekał. Fischer i Jensen, wygłodzeni po wymiotach, ale nadal ostrożni, jedli mało i powoli. Odwodnieni pili dużo domowego kompotu z wiśni. Gospodarze także nie mieli apetytu.

Podczas kolacji Grażyna opowiedziała pokrótce o swoim pobycie u Lizy Rozenow. O tym jak Jakusch przychodził do pensjonatu z drugim, nieznanym jej, Niemcem, jak pewnej wiosennej nocy postanowił je zabić i jak zdołała się uratować. Nie powiedziała, że tym, który towarzyszył Jakuschowi był jej aktualny mąż Zygfryd Wolny. Ten jadł, patrzył w talerz i nie odezwał się nawet jednym słowem.

- Czy tym nieznanym mógł być Theodor Berger? - zastanawiał się głośno Mar Fischer. – Odłączył się od nas zaraz po przypłynięciu do Swinemünde. Ale ja też szybko się stamtąd wyniosłem. Jakusch został. Jeśli Berger także należał do Werwolfu, mogli być w zмовie i mogli się spotkać. A pan przetrwał koniec wojny w Kolbergu? – zapytał milczącego kościelnego.

- Nie – nerwowo zaprzeczył Wolny. – Uciekłem z innymi przymusowymi pracownikami hotelu przed frontem do Karlina. Tam przeczekałem przejście frontu i tam poznałem żonę – dodał, zerkając na Grażynę.

Grażyna nie spojrzała na niego. Nie zareagowała na jego słowa.

Zapadła już letnia księżycowa noc, gdy trzech starsi mężczyźni zeszli do piwnicy.

Edmund Jakusch ocknął się i bezgłośnie zaklął. Bolała go głowa, a całe ciało ścierpło. Przez pewien czas miotał się po podłodze, próbując wypluć knebel zatykający mu wyschnięte usta i rozluźnić krępujące go więzy. Zmęczył się i osłabł. Udało mu się jedynie usiąść i oprzeć o ścianę.

Z wysoko umieszczonego małego okna sączyła się mdła księżycowa poświata. Rozejrzał się wokół. Znajdował się w niewielkim piwnicznym pomieszczeniu. Prawdopodobnie w domu Wolnych. Okno wychodziło na podwórze, bo nie dochodziło tu światło ulicznej latarni. Długo nasłuchiwał. Na górze ktoś chodził. Kroki były ciężkie, więc raczej nie należały ani do Zygryda, ani do Grażyny.

- Czyżby w domu był ktoś jeszcze? – zaniepokoił się. – Czyżby Stanisław? Nie. Stanisław po ojcu jest także szczupłym i niewysokim mężczyzną.

- A więc kto? – zastanawiał się, bo wołał wiedzieć z kim wkrótce będzie miał do czynienia.

- Zygryd jest tchórzem – myślał – i nie odważyłby się mnie zaatakować. Stanisława raczej nie wciągałby w nasze sprawy. Czyżby ten gruby Niemiec obudził się przed czasem i przyjechał? Przecież wsypał sobie do herbaty aż dwie łyżeczki cukru. Może to Mar nie wypił swojej herbaty. Ale nie. Przyjrzałem mu się. Leżał z głową na stole jak nieżywy.

Jakusch, ze względu na dawne czasy i była wielką zażyłość, trochę żałował uspienia Mara Fischera. Starszy człowiek mógł źle znieść dużą ilość barbituranów. Kiedyś lubił tego naiwnego, zapatrzonego w niego chłopaka, który słuchał go we wszystkim, ufał mu i uważał za najlepszego przyjaciela. A on cenił sobie przyjaźń, lojalność i posłuszeństwo.

Ku swemu zdziwieniu ucieszył się, gdy niespodziewanie spotkali się przed kilkoma miesiącami w Chłopach. Nie spodziewał się jednak wtedy, że Mar pozna także Wolnych i że Grażyna przypomni sobie, że widziała ich razem podczas wojny. Był to niespodziewany zbieg okoliczności, który u tchórzliwego Zygryda wywołał niepotrzebną panikę, a potem, równie niepotrzebne komplikacje, łącznie z nieprzyjemną obecną sytuacją.

I w tej sytuacji musiał sobie jakoś sprytnie poradzić. Postanowił, że doprowadzi do ugody z Wolnymi, obiecując im, że natychmiast wyjedzie do NRD i więcej się w ich życiu nie pojawi.

- Muszę pogodzić się z tym, że na razie nie dosięgnie ich sprawiedliwa kara – ustalił sam ze sobą. - Przechytrzyli mnie tym razem. Zabrali mi broń. Zaproponuję Zygfrydowi, aby pożyczył od sąsiada samochód i dyskretnie odwiózł mnie do Bagicza. Najlepiej dziś w nocy. Mam jeszcze w radzieckiej bazie kilku dobrych znajomych. Bez problemu odstawią mnie do Niemiec Wschodnich. Czas na emeryturę wśród swoich.

Edmunda Jakuscha czekało jednakże przykre zaskoczenie, bo Zygfryd Wolny pojawił się w piwnicy nie sam, lecz z Marem Fischerem i Fritzem Jensenem. Zapalono światło, które na moment go oślepiło. Okno piwnicy zostało zasłonięte jakąś materią. Jensen wyjął więźniowi knebel, a Zygfryd zbliżył do jego ust szklankę z wodą i pozwolił wypić kilka łyków.

- Siedź cicho – odezwał się Mar. – Jeśli powiesz nam prawdę, zastanowimy się co z tobą zrobić. Jeśli zaczniesz kręcić, zawieszysz tam, gdzie powiesiłeś swoje ofiary.

- Nie wiem o czym mówisz – oznajmił Jakusch, gdy przełknął już ostatni łyk wody. – Jakie powieszenie, jakie ofiary? Możemy porozmawiać, ale tylko o tym, co dotyczy mnie i Zygfryda – dodał, odwracając spojrzenie ku Wolnemu, który skulił się i przygasł.

- Wiemy, że to ty powiesiłeś Otta Mauera, Emmę Ackermann i tych troje, których znaleziono przed wojną w nadmorskich lasach. Komisarz Stratmann odkrył to. Dlatego i jego powiesiłeś – wycedził przez zęby Jensen, licząc na to, że oszołomiony więzień złapie się na jego blef.

- Bzury pan opowiada komisarzu Jensen – spokojnie odpowiedział Jakusch. – Nie mam nic wspólnego ze śmiercią osób, o których pan mówi. Mar wie, że nie kłamię, bo znał mnie wtedy bardzo dobrze. Wszyscy wiedzieli, że to były samobójstwa. Nawet policja kryminalna z samym komisarzem Stratmannem tak twierdziła. Był pan przy tym. Niech pan lepiej zapyta Zygfryda, co robił po wojnie, jak poznał Grażynę i dlaczego się z nią ożenił. Z pewnością to panów zaciekawi.

- No Zygfryd! – zwrócił się do Wolnego Jakusch. - Nie bój się i opowiedz o swoich wyczynach naszym niemieckim kolegom. Obiecuję, że nic ci nie zrobią. Spokojnie wrócą do swoich przytulnych domów i zapomną o wszystkim, bo wiedzą, że jeśli zaczną się stawiać, my i nasi radzieccy przyjaciele znajdziemy sposób, aby ich uciszyć. Prawda? – roześmiał się hałaśliwie.

Zygfryd Wolny poczerwieniał na twarzy i milczał przez kilka sekund. Ponieważ jednak wierzył w dyskrecję i bojaźń Grażyny, postanowił wyprzeć się wszystkiego.

- Próbuje mnie zrobić – powiedział, nie patrząc na Jakuscha, lecz na dwóch towarzyszących mu Niemców. – Spotykałem się z nim tylko po to, aby dał spokój Grażynie. Jej nie mówiłem, żeby się nie denerwowała.

Jakusch wybuchnął głośnym śmiechem, a Fischer i Jensen spojrzeli na siebie. Wyczuwali, że pomiędzy dwoma mężczyznami toczy się jakaś brudna gra. Nie wierzyli teraz żadnemu z nich, ale nie wiedzieli, co powinni zrobić, aby tę grę przerwać i zmusić obu krętaczy do mówienia prawdy.

Więzień dostrzegł ich konsternację i ostro zaatakował, żeby dobić Zygryda Wolnego.

- Pan Zygryd Wolny – powiedział ironicznym tonem – aktualnie Polak, wzorowy mąż i ojciec, dobry katolik, posługujący w sarbinowskim kościele, razem ze mną działał w Werwolfie, dokonywał aktów sabotażu i mordował. Nie ma się czego wstydzić Zygrydzie. Tak jak i ja byłeś dobrym Niemcem i nadal nim pozostałeś, służąc komunistycznej ojczyźnie.

- Nasi drodzy niemieccy przyjaciele! – kontynuował. – Wydaje się wam, że załatwiacie porachunki sprzed lat, a tak naprawdę, to tylko szukacie guza. Ja i Zygryd jesteśmy po jednej stronie, a wy po tej drugiej. Zostawcie nas w spokoju i wracajcie do własnych pieleszy, jeśli chcecie jeszcze trochę pożyć.

- Mar – zwrócił się do dawnego przyjaciela. – Po co ci ta afera? Wbiłeś sobie za młodu do głowy jakieś bzdury o wisielcach i drążysz temat. Czas dorosnąć. Wracaj skąd przybyłeś i więcej się tu nie pokazuj. Dobrze ci radzę. A teraz sprawa pilna. Muszę iść do toalety.

Żaden z trzech mężczyzn słuchających wywodu Jakuscha nie odezwał się. Jensen bez słowa podszedł do więźnia, zakneblował go i zaczął wchodzić na schody prowadzące na parter. Mar Fischer i Zygryd Wolny podążyli za nim.

- Musimy sobie coś wyjaśnić – powiedział silnym głosem do Wolnego, gdy ponownie usiedli w pokoju. – Czy pan działał razem z Jakuschem w Werwolfie? Czy to pan przychodził z nim do Lizy Rozenow, a potem uczestniczył w jej zamordowaniu?

Do pokoju weszła Grażyna Wolny. Stała przed mężem i powiedziała:

- Chyba czas powiedzieć całą prawdę. Dość już kłamstw i udawania.

- Tak to on przychodził do pensjonatu z Jakuschem – zwróciła się do Jensa. – To on i Jakusch wyprowadzili Lizę i mnie na śmierć, ale kiedy zaczęłyśmy uciekać, każda w inną

stronę, Jakusch pobiegł za Lizą, a Zygfryd pozwolił mi uciec, a potem mi pomógł. To dzięki niemu żyję ja i żyje mój syn Stanisław. Ale nie wiem, co łączy męża z tym draniem teraz.

- Szantażował mnie – burknął Wolny, nie podnosząc opuszczonej głowy, którą wspierał na dłoniach. – Zmusił mnie do współpracy. On od dawna służy Rosjanom i Stasi.

- A co was łączyło przed wojną? – zapytał Mar Fischer. – Znaliście się?

Wolny zastanawiał się czas jakiś, co odpowiedzieć i uznał, że powiedzenie prawdy uwiarygodni go w oczach niemieckich gości.

- Jesteśmy kuzynami – oznajmił i spojrzał na żonę, na której ta informacja zrobiła tak piorunujące wrażenie, że oparła się o pobliski stół, a potem opuściła pokój chwiejnym krokiem.

Mar Fischer podszedł do siedzącego przy stole Zygfryda Wolnego i stanął tuż przed nim. Wolny wstał z krzesła. Przez jakiś czas mierzyli się wzrokiem w ciszy, a potem Fischer zapytał:

- Czy Jakusch i ty mieliście coś wspólnego z samobójstwami sprzed wojny? Czy mieliście coś wspólnego ze śmiercią komisarza Stratmanna?

- Nie – padła krótka i zdecydowana odpowiedź.

- A co się stało z Lizą Rozenow?

- Nie wiem. Jakusch się nią zajął.

Mężczyźni patrzyli sobie w oczy jeszcze przez chwilę. Potem Fischer skierował się ku drzwiom. Będąc już przy drzwiach powiedział:

- Ze względu na dawną znajomość nie chcę upokorzyć Jakuscha. Zaprowadzę go do toalety. To przecież też jest już starszy człowiek.

- Poczekaj. Pójdę z tobą – wykrzyknął Jensen. – On jest niebezpieczny.

- Mój policyjny nos węszy tu jakieś kłamstwa – odezwał się cicho, gdy znaleźli się w korytarzu. – Nie wiem, co ukrywają, ale z pewnością mają na sumieniu więcej niż chcą przyznać.

- Pewnie mają, ale raczej nie są tymi, których poszukujemy. W sprawie domniemyanych samobójstw wróciliśmy do początku – równie cicho odpowiedział Jensenowi Fischer.

– Trzeba będzie albo zostawić sprawę, albo zacząć znów szukać Theodora Bergera i Thomasa Wincklera – mówił dalej. – Innych punktów zaczepienia nie mamy. Ale co zrobimy z tymi dwoma? Z Jakuschem i Wolnym? – zmartwił się.

- Nic nie robimy – oznajmił szeptem Jensen. – Zostawiamy ich samych sobie i zwiewamy stąd jak najprędzej! Już teraz. Nic tu po nas. Chyba nie chcesz wpaść w łapy sowietom, albo agentom Stasi. Tu w Polsce jesteśmy bezbronni, więc nie idziemy do piwnicy tylko prosto do furtki i biegiem do samochodu.

11. Rozliczenia



Minęło dziesięć minut zanim Zygfryd Wolny - oszołomiony niedawną, niełatwą dla niego, rozmową z niemieckimi gośćmi - zorientował się, że w domu panuje podejrzana cisza, że nie słyszał, aby ktoś wychodził z piwnicy, korzystał z toalety, a potem do piwnicy wracał.

Troch zaniepokojony wyszedł do przedpokoju i nikogo tam nie zastała. Zbiegł po schodach do piwnicy i zobaczył tylko Edmunda Jakuscha siedzącego wciąż w tym samym co poprzednio miejscu. Wrócił na górę i wybiegł na podwórze. Jego nieproszeni goście zniknęli.

Przez moment czuł się zdezorientowany, ale szybko odzyskał psychiczną równowagę i poczuł ulgę. Zniknięcie Jensena i Fischera znacznie upraszczało sytuację.

- Przestraszeni groźbami Jakuscha samozwańczy śledczy przypuszczalnie nie będą chcieli narażać się na kontakty z sowieckimi służbami specjalnymi i jak najprędzej opuszczą Polskę – pomyślał z satysfakcją.

– Edmunda mam teraz w garści i policzę się z nim, a Grażyna będzie musiała pogodzić się z przykrymi faktami. Nie raz już to robiła. Przecież nie zmarnuje życia sobie, swojemu synowi i wnukom - kombinował.

Stał na podwórzu i patrzył w niebo. Oddychał głęboko nocnym powietrzem. Sarbinowo spało pod rozgwieżdżonym niebem, księżyc zachodził, morze monotonnie i wytrwale szumiało.

- Wkrótce rozwidni się. Noc jest krótka – powiedział sam do siebie i wrócił do domu.

Wiedział, co powinien zrobić. Zastanawiał się, czy uda mu się odnaleźć pistolet Jakuscha. W panującym przez minione godziny napięciu i zamieszaniu nie zauważył, kto zajął się bronią i co z nią zrobił.

- Jeśli zabrał go któryś z uciekinierów, usunięcie Jakuscha będzie dość nieprzyjemne – zaniepokoił się trochę.

– Trudno. Poradzę sobie. Uduszę go sznurem, a ciało zakopię w ogrodzie.

- Nie – stwierdził nagle. - Lepiej będzie wywieźć je nocą do lasu i upozorować samobójstwo przez powieszenie.

Wolny poszedł do pokoju, w którym jeszcze niedawno przebywał razem z dwoma Niemcami i rozejrzał się. Broni nigdzie nie zauważył. Przeszukał dwukrotnie plecak Jakuscha, który leżał porzucony w kącie pokoju, lecz i to nie przyniosło rezultatu. Udał się do sypialni. Grażyna w ubraniu leżała na łóżku. Wydawało się, że śpi, więc potrzasnął nią, a gdy zobaczył w ciemności błysk białek jej oczu zapytał cichutko:

- Wiesz, gdzie jest pistolet Jakuscha?

Grażyna zamknęła oczy i pokręciła przecząco głową. Zygfryd Wolny miał ochotę uderzyć ją w twarz. Denerwowała go jej bezwolność, ale przede wszystkim miał jej za złe, że wyjawiała obcym ich tajemnice. Opamiętał się jednak szybko.

- Przecież gdyby ci dwaj do nas nie przyszli, Jakusch by nas załatwił – uświadomił sobie.

Opuścił sypialnię i ostrożnie stąpając zszedł do piwnicy. W rękę trzymał sporej długości sznur. Miał nadzieję, że kuzyn śpi i będzie go mógł zaskoczyć. Jakusch leżał na boku na podłodze. Wolny pochylił się nad więźniem i przez sekundę patrzył w jego twarz. Leżący wyczuł utkwiony w sobie wzrok, otworzył oczy i natychmiast zrozumiał zamiar Wolnego. Gwałtownie usiadł, poczuł na szyi ucisk szorstkiego sznura, ale kątem oka zobaczył wchodzącą do piwnicy Grażynę. Sznur zacisnął się i Jakusch stracił przytomność. Kiedy się ocknął, zdziwiony że jeszcze żyje, zobaczył leżącego obok i skrępowanego tak jak i on Zygryda.

Grażyna Wolny wolno wspięła się po schodach prowadzących z piwnicy do przedpokoju. Piwniczne drzwi zamknęła na klucz. Czuła dziwny wewnętrzny spokój. Zastanawiała się, czy aby dobrze skrępować i zakneblować męża, bo Jakusch nie miał szans uwolnić się z więzów.

Udała się do łazienki, umyła, a potem poszła do sypialni i włożyła lepsze ubranie oraz wygodne sandały. Do torebki schowała pistolet Jakuscha i wyszła z domu, też pieczołowicie zamykając na klucz drzwi wejściowe.

Świtało. Niebo na wschodzie różowiało. Postanowiła pójść nad morze, żeby zobaczyć wschód słońca. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz widziała wschód słońca nad morzem. Była zadziwiająco spokojna. Nie spieszyła się. Doszła do plaży, zdjęła obuwie i z przyjemnością szła po chłodnym i wilgotnym od porannej rosy piasku ku brzegowi. Weszła do wody. Fale, jedna za drugą, troskliwie obmywały jej stopy.

Rozejrzała się. Wokół nie było żywego ducha. Woda zmieniła się w pofałdowaną srebrzystą materię, a potem różowe słońce wychyliło się zza widnokręgu i zalało ciepłymi kolorami morze i niebo. Z krzykiem poderwały się do lotu masywne mewy i smukłe rybitwy.

Grażyna popatrzyła za ulatującymi ptakami, a potem odwróciła się i poszła w stronę ulicy. Otrzepała piasek ze stóp. założyła sandały i wolnym krokiem szła do szosy wylotowej, która prowadziła do Mielenka i dalej do Mielnia.

Po szosie zawsze od wczesnych godzin porannych jeździły samochody dostawcze. Jedne wiozły zaopatrzenie do sklepów, drugie do domów wczasowych. Była pewna, że któryś z nich zatrzyma się i podwiezie ją do Mielnia, gdzie przebywał u teściów Stanisław z rodziną.

Postanowiła powiedzieć synowi całą prawdę. Nie wiedziała, co syn z tą prawdą zrobi, ale wiedziała, że już nie chce nieść sama wszystkich ciężarów przeszłości, że nadszedł dla niej czas oczyszczenia.

W Mielnie usiadła na ławce w parku w centrum i czekała aż zacznie się codzienny ruch. Miała stąd niedaleko do domu rodziców swojej synowej Liliany, którzy mieszkali przy ulicy Kościuszki. Z przyjemnością grzała się w promieniach słońca. Nie myślała o niczym. Gdy uznała, że już czas, poszła ulicą Kościuszki i zastukała do znajomych drzwi, za którymi rozlegały się wesole głosy jej wnuków i strofujące pokrzykiwania ich drugiej babci Janiny Krzemień. To Janina otworzyła drzwi i zawołała zaskoczona:

- Grażyna! Czemu nas nie uprzedziłaś. Ktoś by po ciebie pojechał samochodem. Dzieci! Babcia przyjechała!

Grażyna uśmiechnęła się na widok wnuków. Weszła do środka. Uścisnęła rozradowane dzieci i usiadła przy kuchennym stole, na którym stało już śniadanie. Nadeszła reszta rodziny. Syn patrzył na nią pytającym wzrokiem. On jeden znał ją tak dobrze, że nie dał się zwieść bijącemu od niej spokojowi.

- Musimy porozmawiać – powiedziała do syna, gdy jego żona Liliana z dziećmi zbierała się na plażę. – A potem będziesz musiał jechać ze mną do Sarbinowa.

Rozmawiali, siedząc na pniu załamanej wiosennym wiatrem sosny, w intensywnym zapachu żywicy i schnącego igliwia. Grażyna mówiła powoli, nie patrząc na syna. Kiedy skończyła nadal nie miała odwagi na niego spojrzeć. Milczeli. Poczowała lekkie drżenie jego ciała i ujęła jego dłoń w swoją. Delikatnym, ale zdecydowanym ruchem uwolnił się z uścisku.

Milczeli także, kiedy jechali Fiatem Stanisława do Sarbinowa. Rodzinie powiedzieli, że ojciec poczuł się źle i nie wiadomo, kiedy Stanisław będzie mógł wrócić.

Grażyna nie pytała syna, co postanowił zrobić z otrzymaną wiedzą i z człowiekiem, którego dotąd uważał za ojca, a który okazał się jednocześnie prześladowcą i wybawicielem jego i jego matki; z człowiekiem, który był kłamcą, fałszywym Polakiem, aktywnym członkiem Werwolfu i współpracownikiem sowieckiego agenta. Czuła się winna tak bardzo, że zgodziłaby się na wszystko, co syn jej każe. Nawet na śmierć swoją, męża i Jakuscha.

Stanisław zaparkował samochód na podwórzu. Odpiął pasy bezpieczeństwa i pierwszy raz od czasu ich rozmowy w mieleńskim parku spojrzał na matkę, ale zaraz odwrócił od niej oczy.

- Od pewnego czasu wiedziałem, że Zygryd nie jest moim prawdziwym ojcem – powiedział bardzo wolno, patrząc przez przednią szybę samochodu niewidzącym wzrokiem.

Grażyna drgnęła.

- Skąd wiedziałeś? – zdumiona i zaskoczona mogła zadać tylko to krótkie pytanie.

- Słyszałem kiedyś rozmowę ojca, to znaczy Zygryda, z Jakuschem. Rozmawiali tutaj na podwórzu. Ciebie nie było w domu. Okno u nas na górze było otwarte. Chyba nie wiedzieli, że jestem w domu. Nie pojechałem tego dnia do pracy, a Lilka skorzystała z okazji i wzięła malucha, żeby zrobić w Koszalinie większe zakupy. Rozmawiali dość cicho, stojąc za budynkiem. Pewnie nie chcieli być widziani z ulicy. Usłyszałem najpierw jedno zdanie, pytanie wypowiedziane lekko podniesionym głosem. To Jakusch je zadał. „Dlaczego go zabiłeś?” – zapytał Zygryda. Oniemiałem. Otworzyłem szerzej okno i już z całą premedytacją podsłuchiwałem. Chciałem usłyszeć odpowiedź. I usłyszałem.

- Co usłyszałeś?

- „Zabiłem go, bo wiedziałem, że jest z Grażyną”, odpowiedział. A wtedy tamten zdziwił się i zapytał: „Chciałeś zabrać mu tę kobietę?. Przecież ona już była wtedy z nim w ciąży. A ojciec odpowiedział „Nie wiedziałem”.

- Niemożliwe. Nie wierzę. – wyszeptała Grażyna. – Może źle słyszałeś i to ojciec pytał Jakuscha, nie Jakusch ojca.

Stanisław nie zareagował na jej słowa, a po chwili milczenia, gniewnie patrząc na matkę i z goryczą w głosie powiedział:

- Ty wiesz, o kim mówili; wiesz kogo Zygryd dla ciebie zabił. Kto to był? Mój prawdziwy ojciec?

- Tak. Jeśli to prawda, to Zygryd zabił twojego prawdziwego ojca komisarza Hansa Stratmanna – wydusiła ostatkiem sił Grażyna, pobađła i opadła na oparcie siedzenia, a potem z trudem otworzyła drzwi samochodu, wysiadła i chwiejąc się weszła na schody.

- Poczekaj! – krzyknął za nią Stanisław. – Poczekaj! Nie wchodź tam. Ja z nim chcę porozmawiać po swojemu. Bez świadków. Idź gdzieś na spacer, albo schowaj się w ogrodzie.

- Przynieś mi wody. Jest mi słabo – poprosiła.

– Będę w ogrodzie – dodała po chwili bardzo urażona ostrym tonem syna, w którym nie wyczuła ani zainteresowania jej złym samopoczuciem, ani troski o jej cierpienie.

- Stasiu, wody – usłyszał Stanisław, gdy tylko wyjął knebel z ust Wolnego.

Wolny leżał na boku, plecami do piwnicznej ściany, a tuż obok, oparty o tę samą ścianę siedział Jakusch i oczyma dawał znać, że także musi się napić.

- Najpierw mi coś wyjaśnisz – zakomunikował Stanisław, zwracając się do Zygryda i całkowicie ignorując drugiego więźnia. – Odpowiesz na moje pytania, albo cię tu zostawię i zdechniesz razem z tym tutaj – wskazał głową Jakuscha, który zaczął szarpać się i wydawać chrapliwe dźwięki, jakby wrywał się do odpowiedzi.

Stanisław podszedł do niego, wyciągnął z ust szmatę i przeczekał gwałtowny napad kaszlu, który wstrząsał ciałem uwięzionego, uniemożliwiając mu mówienie.

- To on zabił twojego ojca – wykrztusił Jakusch. – Zabił komisarza Hansa Stratmanna, bo już wtedy miał ochotę na twoją matkę. Zapytaj go, kto mu w tym pomagał. Ten słabeusz nie zdołałby powiesić sprawnego uzbrojonego mężczyzny! Dobrze wyszkolonego policjanta!

- Nie słuchaj Stasiu. On kłamie. Nikogo nie zabiłem – cicho odezwał się Wolny.

Stanisław zauważył, że Zygryd Wolny mówi z wielkim trudem, wykrzywia twarz z bólu, a głowa opada mu na podłogę.

– Umieram – wydusił z siebie Wolny i zemdlął.

Stanisław patrzył na leżącego bezwładnie, bliskiego mu do niedawna, człowieka i przez chwilę zastanawiał się, czy mu pomóc. Wiedział, że Zygryd ma dolegliwości sercowe i należy jak najszybciej podać mu nitroglicerynę.

Podjął decyzję. Pobiegł do sypialni rodziców, przyniósł fiolkę z lekarstwem i włożył Zygrydowi tabletkę pod język. Potem uwolnił go z więzów, wyniósł na górę i położył na kanapie w dużym pokoju. Przez okno zawołał matkę, a ta natychmiast przybiegła.

- Chyba umiera – odezwał się do niej. – Idę do najbliższej budki i zadzwonię po pogotowie. – Rób mu sztuczne oddychanie – zawołał, znajdując się już przy drzwiach.

- Poczekał na karetkę i jedź z nim do szpitala. Ja przyjadę do was później – powiedział Stanisław do matki, gdy wrócił.

- Co chcesz zrobić z Jakuschem? – zapytała zaniepokojona Grażyna.

Trzymała głowę męża na kolanach. Oddychał i od czasu do czasu otwierał oczy.

- Na razie chyba tylko z nim porozmawiam – odpowiedział z wahaniem Stanisław, bo nie wiedział, co robić.

- To niebezpieczny człowiek. Zostaw go w piwnicy. Daj mu coś do jedzenia i do picia, żeby się nie wykończył, a potem jedź do Koszalina do franciszkanów. Są tam ci dwaj Niemcy, których już u nas widziałeś. Oni ci pomogą. Jeśli prawdą jest, że Zygfryd powiesił Stratmanna, to mógł mieć także coś wspólnego z wypadkami sprzed wojny. Ci dwaj Niemcy szukają sprawcy kilku niewyjaśnionych przypadków pozornych samobójstw z tamtych czasów. Nie wiem, czy ojciec zdoła jeszcze im coś powiedzieć, ale z Jakuscha to może uda im się coś wydobyć.

- Daj im to – podała Stanisławowi złożoną na dwoje kartkę, na której napisała kilka zdań po niemiecku i umieściła nazwiska.

- Przekaż im Jakuscha i niech z nim robią, co chcą, ale ty w nic się nie mieszaj – poprosiła i wyjęła z torebki ukryty tam rano pistolet.

- Weź na wszelki wypadek – powiedziała, podając synowi broń. – Należy do Jakuscha. Pociski wyjęłam mu z kieszeni, gdy był nieprzytomny i włożyłam do jego plecaka. Plecak jest w dużym pokoju.

Stanisław uznał rady matki za dobre w sytuacji, w której się znalazł, a to, że był teraz uzbrojony, dodało mu pewności siebie. Sprawdził, czy pistolet jest załadowany i zabezpieczony i schował broń do kieszeni spodni.

Kiedy przyjechała na sygnale karetka pogotowia i zabrano Zygfryda do szpitala, na posesji Wolnych zapanowała przynosząca ulgę cisza. Stanisław czułby tę ulgę dłużej, gdyby nie świadomość obecności Jakuscha w piwnicy. Stał przez chwilę na podwórzu, gdzie wyszedł, aby pomóc matce wspiąć się karetki, rozejrzał się, zobaczył obserwującego ich dom ciekawskiego sąsiada i skinął mu głową.

- Ojca zabrali. Miał zawał – rzucił w stronę sąsiada i wszedł do domu.

Droga do Koszalina zajęła Stanisławowi około pół godziny. Zaparkował pod kościołem franciszkanów i wszedł do wnętrza. Ukląkł w ostatniej ławce i trwał tak przez długi czas. Nie modlił się. Żadne słowa nie przychodziły mu do głowy. Zatrwożył się, gdy pomyślał, z jakim oddaniem jego przybrany ojciec pełnił funkcję kościelnego w Sarbinowie, z jakim zaangażowaniem służył parafianom i księżom.

- Udawał pobożnego, czy naprawdę wierzył? – zastanawiał się. – Co ma ten człowiek na sumieniu? Z czego powinien był się wypowiadać?

Z trudem podniósł się z klęczek, kiedy ujrzał zakonnika krzątającego się przy ołtarzu. Zapytał go o Niemców goszczących w klasztorze. Zakonnik spojrzał nieufnie i wydawało się, że zastanawia się, co odpowiedzieć intruzowi. Aby wzbudzić w nim zaufanie, Stanisław podał mu kartkę i wskazał zapisane na niej nazwiska osób, o które zapytał.

- Proszę tylko o to, żeby brat przekazał tę kartkę Niemcom i powiedział im, że czekam w kościele. Oni wiedzą kim jestem.

Mar Fischer i Fritz Jensen ponownie pojechali do Sarbinowa tym samym małym Fiatem, który otrzymali od zakonników. Stanisław jechał przed nimi. Starsi panowie od wczorajszej nocy uspokoili się trochę, doprowadzili do ładu i przespali. Nie czuli się jeszcze dobrze i niechętnie przyjęli do wiadomości, że trzeba zająć się Edmundem Jakuschem. Zmotywowała ich, ale także zaskoczyła, informacja, że to Zygfryd Wolny zabił komisarza Hansa Stratmanna, a jeśli tak, sądzili, to musiał on mieć także coś wspólnego z wcześniejszymi domniemanymi samobójstwami, a i Jakusch z pewnością musiał o nich coś wiedzieć.

- Trudno uwierzyć, że Wolny działał sam. Wygląda mi na dość tchórzliwego człowieka – głośno myślał podczas drogi Jensen, który znów prowadził samochód.

– Wygląda mi na takiego, który raczej poddaje się kierownictwu innych, niż sam kieruje. Jakusch ewidentnie ma nad nim psychiczną przewagę. Coś mi tu śmierdzi – stwierdził, skręcając w ulicę Morską.

- Zastanawiam się, jak zmusić Jakuscha do mówienia – dodał po chwili milczenia.

- Znałem go kiedyś dobrze. Ma silny charakter, a charakter się nie zmienia. Dobry z niego aktor. Potrafi udawać, uzależniać od siebie i manipulować ludźmi. Sam dałem mu się nabrać – powiedział Fischer.

- Sprowokujemy go – zdecydował Jensen. - Grażyna napisała, że Wolny jest w szpitalu, bo miał zawał. Powiemy Jakuschowi, że wszystko już wiemy, że Wolny po odzyskaniu przytomności, bojąc się śmierci, wyznał Grażynie i Stanisławowi, że razem zabijali ludzi wieszając ich. Powiemy, że nam pozostało więc tylko wymierzenie mu sprawiedliwej kary, że zawieziemy go nocą do lasu i powiesimy i że uratować go może jedynie przyznanie się do wszystkiego na piśmie. Tylko wówczas puścimy go wolno i niech zmyka dokąd chce.

- Poważnie? Puścimy go wolno? Będzie się chciał na nas zemścić – przestraszył się Fischer. – Znajdą nas jego sowieccy towarzysze.

- Nie sędzę, żeby chcieli dla niego ryzykować – uspokoił go Jensen. – My nie jesteśmy dla nich ważni i on niewiele dla nich znaczy. Z pewnością dużo o nim wiedzą i bardziej jego będą chcieli się pozbyć niż nas.

- Ale co z karą?! – wykrzyczał Mar. – Nie poniesie kary?! A co z Zygfydem Wolnym?! Też mu wszystko ujdzie na sucho?! I gdzie tu sprawiedliwość?!

- Przecież ich nie zabijemy! – równie głośno odpowiedział Fritz. – A do sądu też nie pójdziemy! Kto ich będzie sędził! Polacy czy Niemcy?! Jak udowodnimy ich winę?! Zresztą kogo interesują sprawy sprzed wojny?!

Ucichli. Każdy z nich na swój sposób próbował poradzić sobie z rozterkami.

- Los ich ukarze – odezwał się spokojnie Jensen po dłuższym czasie milczenia. – Nie wiadomo, czy Wolny przeżyje zawał, a Jakusch za dużo wie, żeby sobie spokojnie żyć. Najważniejsze, aby przyznali się do tego, co zrobili, żeby wiedzieli, że my wiemy.

Mar Fischer pokiwał głową bez przekonania.

Wjechali na posesję Wolnych przez otwartą na oścież bramę i zaparkowali samochód obok Fiata Stanisława. Drzwi wejściowe także zastali otwarte. Weszli do środka i usłyszeli głośną rozmowę, a właściwie kłótnię, toczoną po polsku. Głosy dochodziły z dołu.

Zbiegli do piwnicy i zobaczyli Stanisława trzymającego lufę pistoletu przyłożoną do skroni Jakuscha. Stanisław mówił coś po polsku podniesionym głosem. Jakusch coś odkrzykiwał, ale oni nie rozumieli tej ostrej wymiany zdań.

Fritz Jensen podszedł powoli do Stanisława, położył mu dłoń na ramieniu, poklepał go uspokajająco i sięgnął po pistolet. Młody Wolny poddał się. Pozwolił zabrać sobie broń i odszedł na bok. Emocje go rozsadzały. Głośno dyszał.

- Nerwy mu puściły – skomentował po niemiecku Jakusch. – Nie wiem, czego on ode mnie chce. Dobrze, że panowie przyjechali, bo mógł mnie zastrzelić.

- Mar, przyjacielu, rozwiąż mnie – zwrócił się do Fischera. - Przecież mnie znasz. Nikomu nigdy nie zrobiłem krzywdy i nigdy nie zrobię. Grażyna Wolny mówi o mnie złe rzeczy. Mści się na mnie, a powinna raczej mścić się na swoim mężu, bo to on zabił jej niemieckiego kochanka.

- Jakusch – powiedział Mar Fischer. – Już mnie nie nabierzesz. Zygfryd Wolny wszystko powiedział żonie i synowi, gdy śmierć zajrzała mu w oczy.

- Co on mógł powiedzieć? Same kłamstwa – prychnął lekceważąco uwięziony. – A powiedział, że naprawdę nazywa się Frei i w połowie jest Niemcem podobnie jak ja, że najpierw był w Werwolfie, a potem skumał się z sowietami?

Fritz Jensen, który dotąd tylko przysłuchiwał się rozmowie Mara z Jakuschem, podszedł do więźnia, złapał pod brodę, unosząc jego twarz do góry i patrząc mu w oczy powiedział:

- Dość gadania Jakusch. Masz dwa wyjścia. Dostajesz papier i opisujesz wszystko, co zrobiliście razem z Wolnym, czy tam Freiem, przed wojną, w czasie wojny i po wojnie, albo jeszcze dziś w nocy zawieszysz w nadmorskim lesie niedaleko Chłopów. Powieszysz się, zostawiając w swoim mieszkaniu list pożegnalny, w którym będzie zestaw twoich zbrodni, bo to my postaramy się, żeby wymienić je wszystkie. List będzie napisany po niemiecku, bo przyznasz się także do oszustwa z nazwiskiem. Powieszysz się, ponieważ na starość ruszy cię sumienie. Sam wymierzysz sobie sprawiedliwość. Zastanów się, co wybierasz. Masz pięć minut.

- Chodź - zwrócił się Fritz do Mara. – Idziemy na górę.

Stanisław poszedł za nimi. Jeszcze nie zdążył zamknąć za sobą drzwi do piwnicy, gdy zadzwieczał dzwonek u drzwi wejściowych. Trzej mężczyźni spojrzeli po sobie zaniepokojeni. Ten ktoś stojący za drzwiami niecierpliwił się i naciskał dzwonek raz za razem. Młody Wolny ruchem ręki wskazał Niemcom drzwi pokoju, a sam ruszył w kierunku drzwi, wołając:

- Co się dzieje! Już otwieram!

Za drzwiami, z ręką na dzwonku, stał wścibski sąsiad, Mateusz Konieczny, a tuż za nim jeden z miejscowych milicjantów. Milicjant, choć dobrze znał Stanisława i mówili sobie po imieniu, zasalutował i powiedział urzędowym tonem:

- Obywatelu, podobno dzieje się u was coś podejrzanego. Sąsiedzi – to mówiąc spojrzał znacząco na Koniecznego - od rana słyszeli u was krzyki i inne dziwne odgłosy. Ktoś się u was nieznajomy kręci, a ojca waszego zabrała karetka.

- Ojciec dostał zawału – wyjaśnił Stanisław. – Krzyczeliśmy, bo się przestraszyliśmy, że umrze.

- Wiesz, jaka matka jest nerwowa – przeszedł na „ty” z milicjantem.

– Ojciec się przejął, bo odwiedzili go dawni mieszkańcy Sarbinowa, dwaj starsi Niemcy. Nadal są tutaj, ale zaraz wychodzą, bo ja z nimi się nie dogaduję. Nie znam niemieckiego.

Milicjant odsunął Stanisława i wszedł do środka, rzucając sąsiadowi:

- Proszę za mną. Będzie pan świadkiem w razie czego.

Mar Fischer i Fritz Jensen zostali wylegitymowani. Zachowywali się spokojnie, ale odczuwali wielki niepokój. Nie rozumieli zadawanych im przez milicjanta po polsku pytań, patrzyli pytająco na Stanisława i próbowali po jego ruchach zgadnąć o co chodzi. Stanisław gestem uspokoił gości. Milicjant zwrócił im paszporty, zasalutował, podał rękę Stanisławowi i kiwnął na Koniecznego:

- Wychodzimy.

Byli już przy drzwiach, gdy z dołu dobiegło ich wołanie:

- Na pomoc! Na pomoc!

- Nie zakneblowałem go – uprzytomnił sobie Stanisław.

Milicjant wyciągnął broń, zatrzymał wścibskiego sąsiada i zszedł do piwnicy.

- Uciekajcie! – machnął do Niemców Stanisław, kiedy sąsiad, nie mogąc powstrzymać ciekawości, najpierw wsunął głowę za piwniczne drzwi, a następnie znikł za nimi.

12. Impas



- Źle zrobiliśmy odjeżdżając w takim pośpiechu – stwierdził Fritz Jensen, gdy dojechali do szosy Kołobrzeg-Koszalin i skręcili w lewo w stronę Koszalina. – Zostawiliśmy Stanisława samego z tym całym bałaganem. Jemu grozi sąd za uwięzienie człowieka, a my uciekliśmy i wyszło na to, że mamy coś na sumieniu.

- Zawracaj! – wrzasnął Mar Fischer głośno i tak niespodziewanie, że Fritz podskoczył na siedzeniu.

– Zawracaj! – powtórzył Fischer trochę ciszej. – Jedziemy do szpitala w Kołobrzegu. Musimy odnaleźć Grażynę i z nią wrócić do Sarbinowa. Sami Stanisławowi nie pomożemy. Nie dogadamy się.

Jensen musiał przyznać koledze rację, tym bardziej, że już pierwsza ucieczka z domu Wolnych zaciążyła na jego policyjnym honorze. Drugą jeszcze trudniej byłoby sobie wybaczyć.

Zawrócił dość ryzykownie, bo w sobotni wczesny wieczór ruch na drodze powiatowej był duży. Machnął ręką na trąbiących poirytowanych kierowców i nacisnął gaz. Mały samochodzik z trudem nabierał prędkości.

Kołobrzeski szpital znaleźli bez trudu po wjeździe do miasta jadąc na wprost ulicą Koszalińską, potem Kamienną i Młyńską. Trudności natomiast pojawiły się po wejściu do budynku, który okazał się pilnie strzeżony przed odwiedzającymi swoich chorych. Pomogła

im nieznajomość języka polskiego i życzliwość, z jaką Polacy zwykli traktować cudzoziemców.

Warujący w portierni mężczyzna, korzystając ze służbowego aparatu telefonicznego, zdobył dla nich informację, gdzie leży Zygfryd Wolny i przywołał starszą kobietę, salową, która zgodziła się zanieść przygotowaną naprędce kartkę na Oddział Kardiologii i wręczyć ją żonie chorego.

Nie czekali długo na przyjście Grażyny Wolny. Przybiegła zdyszana i bardzo zaniepokojona przekazaną przez Niemców na kartce informacją, choć napisali jedynie, że Stanisław ma kłopoty.

- Dobrze, że nie trwa już Festiwal Piosenki Żołnierskiej – zauważyła Grażyna, gdy krążyli po ulicach Kołobrzegu. – Miasto jest wtedy zatłoczone i bardzo pilnowane przez wojsko i milicję.

Kiedy wyjechali na drogę powiatową, Mar Fischer powiedział Grażynie Wolny o niespodziewanym najściu na jej dom sąsiada z milicjantem, o reakcji Stanisława i wreszcie o odkryciu więźnia w piwnicy.

- Nie wiemy, co się dalej działo – mówił z poczuciem winy, odwracając się w stronę tylnego siedzenia, które zajmowała kobieta. – Stanisław kazał nam się czym prędzej stamtąd ewakuować.

Dalszą drogę do Sarbinowa przebyli w całkowitym milczeniu. Nie wiedzieli, co zastaną na miejscu, więc wcześniejsze ustalanie sposobu interwencji nie miało żadnego sensu

- Cholerny donosiciel – mruknęła Grażyna po polsku, gdy skręcili w stronę Sarbinowa. Miała na myśli Koniecznego.

Brama wjazdowa na posesję nadal była otwarta, a samochód Stanisława stał na swym stałym miejscu. Grażyna popatrzyła w okna domu sąsiadów, ale Koniecznego nie zauważyła. Wbiegła na schody i nacisnęła klamkę. Drzwi wejściowe były zamknięte na klucz. Otworzyła je i, sparaliżowana nagłym atakiem lęku, nie mogła dać kroku. Mar Fischer wszedł pierwszy, za nim Fritz Jensen, a ona jako ostatnia.

Przystanęli w przedpokoju i nasłuchiwali. W domu panowała zupełna cisza, ale po chwili usłyszeli głośnie chrapnięcie. Dobiegało z dużego pokoju. Pobiegli tam i zobaczyli śpiącego na kanapie Stanisława. Pochrapывał. Na stole stały cztery kieliszki, trzy puste butelki po

wódce i talerze z niedojedzonymi kromkami chleba, resztkami kiełbasy, pomidorów i ogórków. Wokół unosił się silny zapach przetrawionego alkoholu wymieszany z przewianym papierosowym dymem.

- Stasiu! Stasiu! – wołała Grażyna potrząsając synem.

Stanisław otworzył oczy, spojrzał na matkę nieprzytomnym wzrokiem i dopiero gdy zobaczył stojących za nią dwóch mężczyzn, dźwignął się, usiadł, pochylił i schował twarz w dłoniach. Matka poszła do kuchni i wróciła z kubkiem zsiadłego mleka.

- Musiałem się z nimi napić – odezwał się Stanisław po wypiciu tradycyjnego lekarstwa na kaca.. – Zresztą mnie też to było potrzebne po tych wszystkich przeżyciach.

- Idźcie panowie do kuchni i zróbcie sobie kawę – powiedziała po niemiecku Grażyna. Porozmawiam z synem i przyjdę tam. Teraz nie będę tłumaczyć rozmowy, więc i tak nic tu po was.

Mar i Fritz niechętnie udali się do kuchni. Niewiele rozumieli z tego co się dzieje, ale nietrudno było domyślić się, że Edmund Jakusch zniknął i że prawdopodobnie więcej go nie zobaczą.

Czekanie na gospodynię domu trwało długo. Zbyt długo. Zapadła noc. Czuli głód i zmęczenie, a nagły spadek adrenaliny wywołał senność, na którą nie mogła zaradzić wypita kawa. Obaj marzyli już tylko o tym, aby wypocząć i jak najszybciej wrócić do Niemiec, do swojego normalnego życia.

Kiedy Grażyna przyszła do kuchni, obaj jej nietypowi goście drzemali na kuchennych krzesłach. Przygotowała kanapki. Obudziła śpiących i zaproponowała:

- Zjedzcie i wszyscy pójdziemy spać. To był dla nas bardzo ciężki dzień. Jutro o wszystkim wam opowiem. Wszystko się jakoś ułożyło.

Pozostanie na noc w domu Wolnych nie odpowiadało ani Fischerowi, ani Jensenowi, ale zmęczenie wzięło górę, a perspektywa usłyszenia wyjaśnień kusiła. Spali w osobnych niewielkich pokojach na piętrze, czyli w części zamieszkałej przez rodzinę Stanisława. Gdy rano zeszli na dół, śniadanie czekało na nich w dużym pokoju, w którym czekała także na nich także Grażyna Wolny. Wyglądała źle, ale uśmiechnęła się do nich na powitanie.

- Stanisław raniutko pojechał do Mielna, żeby uspokoić żonę, a potem ma zamiar odwiedzić Zygryda w szpitalu – poinformowała wchodzących.

Usiadła z gośćmi przy stole i zaczęła mówić:

- Kiedy milicjant zszedł do piwnicy i zobaczył związanego Jakuscha, Stanisław pomyślał, że to koniec. Koniec z nim, koniec z nami. Nawet nie zszedł za milicjantem do piwnicy. Czekał w pokoju na aresztowanie. Ale gdy milicjant, Jakusch i nasz ciekawski sąsiad znów pojawili się na górze, śmiali się i żartowali. Okazało się bowiem, że Jakusch powiedział milicjantowi, że mieli z Zygfydem ostrą sprzeczkę o mnie. Że niby Zygfyd dowiedział się, że mam z Jakuschem romans, wściekł się, uwięził go, a potem dostał zawału. Zygfyda zabrało pogotowie, ja pojechałam z Zygfydem, żeby go udobruchać, on został w piwnicy. Kiedy Stanisław zszedł do piwnicy i go tam zobaczył, nie wiedząc, o co chodzi i oskarżając go o spowodowanie ataku u ojca, nie uwolnił go, bo aż ja wrócę ze szpitala. Niemcy, czyli wy, pojawili się przypadkiem. A potem to już wiadomo. Zaniepokojony ruchem i krzykami sąsiad wezwał milicję. Jakusch miał dość siedzenia w piwnicy, więc poprosił o pomoc. Ale nie ma do Zygfyda i do Stanisława pretensji i proponuje, żeby się napić na zgodę i za zdrowie Zygfyda. Stanisław, całkowicie zaskoczony opowieścią Jakuscha, nie odezwał się i pobiegł po wódkę. Wrócił, przygotował zakąskę i zaczęli pić we cztery. Jakusch wyszedł pierwszy, potem milicjant, a sąsiad ostatni. Stanisław nie mógł zatrzymać Jakuscha i nie mógł też pójść za nim. Był pijany i zdenerwowany.

Mar Fischer i Fritz Jensen słuchali wywodu Grażyny Wolny i czuli coraz większe oszołomienie. Kiedy opuszczali dom Wolnych sytuacja wyglądała na bardzo poważną. Spodziewali się najgorszego. A tu ku ich zaskoczeniu, sprawa rozeszła się po kościach.

Zakłopotani i poirytowani jednocześnie najchętniej wróciliby już do Koszalina. Cóż bowiem mogli jeszcze zrobić. Nie mogli przewidzieć, dokąd udał się Edmund Jakusch i jakie ma zamiary. Nie wiedzieli, czy nadal go szukać, czy zrezygnować z wyjaśnienia trudnych spraw, które ich przywiodły do Polski. Czy mają wyjechać z tego dziwnego kraju i zapomnieć o wszystkim.

To ostatnie rozwiązanie wydawało się im w tym momencie najłatwiejsze i jedynie możliwe. Powrót całej ekipy pomocowej zaplanowany był na poniedziałek, a była niedziela rano. Obaj jednakże mocno poczuli gorzkość porażki. Żalowali także, że w imię nieosiągalnej jak widać sprawiedliwości zakłócili, w miarę spokojne dotąd życie Grażyny i jej syna. Co po tym wszystkim czeka ją i jej rodzinę? To pytanie, na które nie znali odpowiedzi, męczyło ich najbardziej.

- Muszę panom coś jeszcze powiedzieć – odezwała się Grażyna, kiedy po dłuższej nieobecności wróciła do pokoju z dwiema filiżankami kawy.

Usiadła przy stole i wbiła wzrok w obrus, jakby już nie miała siły dźwignąć głowy i patrzeć prosto.

– Zygfryd, Zygfryd Frei, bo tak naprawdę nazywa się mój mąż, wyznał mi w szpitalu całą prawdę. Zrobił to za namową księdza. Zatelefonowałam ze szpitala do naszego proboszcza do Łęka. Przyjechał i wypowiadał swojego kościelnego. Dał mu rozgrzeszenie i udzielił komunii świętej, ale widziałam, że jest wstrząśnięty. Wyszedł z sali bez słowa pożegnania, a Zygfryd po jego wyjściu długo odpoczywał, a potem zaczął mówić do mnie szeptem, aż zupełnie opadł z sił. Ja jednak nie czułam litości. Przeciwnie, życzyłam mu śmierci.

Tym razem opowieść Grażyny trwała długo. Już po pierwszych zdaniach Fritz Jensen poprosił o papier i długopis i zaczął zapisywać jej słowa. Gdy skończyła, wiedzieli, że nie mogą porzucić sprawy, która już tyle kosztowała ich i tę biedną kobietę.

- Trzeba jechać do szpitala – zdecydował Jensen. – Jakusch może chcieć zemsty. Przecież on myśli, że Zygfryd go zdradził. Chciałem go sprowokować do mówienia i powiedziałem, że Zygfryd wyznał prawdę pani i Stanisławowi, a wy powiedzieliście nam. Okłamał milicjanta, bo chciał uniknąć kłopotów i mścić się. Raz mu to uniemożliwiliśmy. Teraz będzie trudniej.

Po wyjściu z domu Wolnych Edmund Jakusch udał się prosto do swojego mieszkania w budynku stojącym przy leśnej drodze na skraju wsi Chłopy. Ruch dobrze mu zrobił po długim unieruchomieniu. Szedł najpierw plażą, a potem leśną drogą. Nie zwracał uwagi na mijanych ludzi. Nic go nie obchodzili. Miał przed sobą dobrze wyznaczony cel. Po pierwsze sprzątnąć Zygfryda, Grażynę i Stanisława, który także zasłużył sobie na śmierć, uczestnicząc w poniżającym go procederze; a po drugie zniknąć na zawsze z Polski z pomocą sowieckich przyjaciół. Przeklinał w duchu Wolnych i starych niemieckich dziadów. Nie miał zamiaru zajmować się nimi. Przynajmniej nie teraz.

- Co oni mogą wiedzieć? – zastanawiał się w drodze. – Co ten tchórzliwy Zygfryd im naopowiadał? Ale co oni mogą mi zrobić? Przecież nie pójdą w Polsce na milicję, a w Niemczech znajdę ich prędzej niż oni mnie.

Po wejściu do mieszkania zaklął siarczyście. Smród przyschniętych wymiocin był niemiłosierny, choć przez otwarte okno wpadało do środka świeże powietrze. Chcąc nie chcąc

musiał się zająć sprzątaniem, żeby móc przenocować. Kiedy sprzątał, przez okno zajrzała jedna z sąsiadek i śmiejąc się powiedziała:

- No, no. Nie wiedziałam, że Edmund ma takich znajomych, co to przez okna wyłażą. Jeden to się tak osłabił, że ten drugi musiał go nieść – rechotała. - Nieźleście wczoraj popili. Sprzątaj, sprzątaj.

Miał wielką ochotę udusić babę, ale musiał się opanować. Nie odezwał się. Podniósł się z podłogi i popatrzył na nią. Musiała zobaczyć w jego oczach buzujący w nim gniew, bo uśmiech zniknął z jej twarzy, odwróciła się i szybko odeszła. Położył się wcześniej spać, ale zanim zasnął wymyślił nowy plan działania.

Był późny ranek, niedziela 24 lipca. Zapowiadał się piękny słoneczny dzień. Edmund Jakusch znów szedł w stronę Sarbinowa. Unikając ludzi, okreśną drogą poszedł pod dom Wolnych. Tam też zachowywał się ostrożnie, aby nie zauważył go wścibski sąsiad. Zamierzał wejść cicho przez otwarte okno na parterze, zaskoczyć Grażynę i jej syna, sterroryzować ich pistoletem gazowym, który z pewnością wezmą za zwykły pistolet, zmusić do oddania zabranej mu broni i amunicji, sprowadzić do piwnicy i zastrzelić używając tłumika. Porzucił myśl o sfingowaniu włamania i kradzieży. Nie dbał już o maskowanie wykonania wydanych przez siebie wyroków.

Zaklął głośno, widząc stojącego na posesji Fiata 126p, bo nie był to niestety samochód Stanisława.

- Scheisse! Ktoś przyjechał. Cholera wie kto – myślał rozczarowany i coraz bardziej wściekły. – Zmiana planów. Pojadę najpierw do Kołobrzegu.

Autobusy PKS jeździły rzadko. Edmund Jakusch udał się na przystanek i trzymając się na uboczu, niecierpliwie czekał. Dopiero po godzinie na przystanek zaczęli przychodzić ludzie i wreszcie nadjechał autobus. Był zatłoczony. Niewiele osób z niego wysiadło, więc całą drogę spędził stojąc wciśnięty między ludzi i unikając ich spojrzeń.

Niedziela była tradycyjnie dniem odwiedzin w szpitalach. Bez trudu odnalazł Oddział Kardiologiczny i, nie pytając nikogo o pacjenta, zaczął zaglądać do sal, w których leżeli chorzy.

Nikt nie zwracał na niego uwagi. Odwiedzający kręcili się po korytarzu i tłoczyli przy łóżkach. Wyjmowali przyniesione z domu wiktuały. Jedni wchodzili, drudzy wychodzili. Poruszano się spokojnie i mówiono ściszymi głosami, ale i tak panowało zamieszanie i hałas. Irytowało go to wszystko, choć przecież tylko dzięki zamieszaniu był w stanie unieszkodliwić Zygryda i nie zostać zauważonym. Czuł jednak tak wielkie wewnętrzne napięcie, że był w stanie zaryzykować i wykonać wyrok publicznie. Jeszcze bardziej zirykowało go długie i nieudane poszukiwanie. Zajrzał już do sześciu sal, ale Zygryda w żadnej z nich nie było. Gdy zbliżał się do siódmej, właśnie zaczęli wychodzić z niej na korytarz odwiedzający. Stawali pod ścianami i niespokojnie wymieniali uwagi.

- Co się dzieje? – zapytał Jakusch starszego mężczyznę, który stał samotnie.

- Wyprosil nas. Nie można wchodzić do sali – odpowiedział mężczyzna. – Lekarz reanimuje jednego z pacjentów.

- Kogo? – rzucił następne pytanie zagniewany Jakusch, bo miał złe przeczucie, że to kuzyn właśnie wymyka mu się z rąk.

- Panie! – wykrzyknął pytany. – Skąd ja mam to wiedzieć! Idź pan pytać pielęgniarki!

Jakusch nie skorzystał z udzielonej mu rady. Czekał razem z innymi na zakończenie akcji. Po wyjściu zmęczonego i spoconego lekarza i towarzyszącej mu ekipy do sali weszła salowa. Niosła prześcieradło. Przez korytarz przeszedł szmer głosów.

- Nie udało się – szeptano.

Jakusch odszedł w głąb korytarza i zajrzał jeszcze do pozostałych sal. Coś mu jednak mówiło, że nie znajdzie w nich Zygryda. I nie znalazł. Wrócił pod feralną siódmą salę i w ostatniej chwili uskoczył, kryjąc się za plecami ludzi. Przed salą stał Stanisław. Rozmawiał z lekarzem. Potem obaj weszli do środka. Lekarz opuścił pomieszczenie bardzo szybko. Stanisław pozostał dłużej.

- Dobra. Mam go – uspokoił się Jakusch. – Poczekam na niego przy samochodzie.

13. Akcja



Stłoczeni we troje we wnętrzu małego Fiata stali na skrzyżowaniu dróg w Będzinie i czekali, aż będzie można wyjechać z drogi podporządkowanej na główną. Za kierownicą siedział tym razem Mar Fischer, za nim, na tylnym siedzeniu Grażyna Wolny. Fritz Jensen zajmował odsunięte maksymalnie do tyłu siedzenie obok kierowcy. Okna w samochodzie trzymali otwarte, bo dochodziło południe i słońce solidnie nagrzewało blaszany dach samochodu, czyniąc z jego wnętrza dobrze rozgrzany piekarnik. Szosą na Kołobrzeg jechały samochody osobowe. Ludzie korzystali z ostatniego wolnego dnia. Większość następnego dnia, w poniedziałek, wracała do swoich obowiązków.

Fischer i Jensen chcieli przed powrotem do Niemiec odwiedzić Zygryda Wolnego w szpitalu i, za zgodą i z pomocą Grażyny Wolny, namówić go do podpisania tego, co od niej usłyszeli i co zostało skrupulatnie zapisane.

Odnalezienie Edmunda Jakuscha uznali za niemożliwe. Podejrzewali, że uciekł do Bagicza i schronił się u swoich sowieckich protektorów. Poświadczenie przez Zygryda Wolnego - a właściwie Zygryda Freia - tego, co powiedziała jego żona Grażyna Wolny, trzeba było więc uznać za ostatni akt ciągnącego się tak długo dramatu; za tegoż dramatu niesatysfakcjonujący finał. Uczestnicy dramatu musieli zadowolić się tym, że prawda została poznana, wypowiedziana i zapisana. Wymierzenie winnym sprawiedliwości należało pozostawić albo losowi, albo wyższej instancji.

Droga Koszalin-Kołobrzeg opustoszała. Mar Fischer wrzucił jedynkę, nacisnął pedał gazu, ruszył ze skrzyżowania i pojechał w prawo. W tej samej chwili inny mały Fiat, jadący ze strony Kołobrzegu, minął ich, skręcając w lewo.

- To Stanisław! - krzyknęła Grażyna. - To jego samochód! Widziałam Jakuscha! Boże! On go zabije!

- Jakuscha? – zdziwił się Jensen. – Widziała pani Jakuscha? Gdzie?

- Siedział obok Stanisława – wyszeptała Grażyna. – Ja już tego wszystkiego nie wytrzymam – dodała, opadając na oparcie siedzenia.

Zawrócili. Fritz Jensen z niepokojem patrzył na pobladłą i zmęczoną Grażynę Wolny.

- Nie potrafię jej pomóc – myślał ze smutkiem. – Tyle już w życiu przeszła ta biedna kobieta i nawet na starość nie ma spokoju.

- Jedziemy na posterunek milicji – zarządził. – Sami nie damy sobie rady. Jakusch z pewnością jest uzbrojony, bo jak inaczej wsiadłby do samochodu Stanisława i zmusił go do jazdy. Chyba nie perswazją.

- Dałam Stanisławowi pistolet Jakuscha – z rezygnacją oświadczyła Grażyna. – Bałam się o niego.

- Mogli się dogadać – podsunął po jej słowach inne wyjaśnienie Mar Fischer.

– Jakusch kłamiąc, uratował Stanisława przed aresztowaniem, a przecież pani syn – zwrócił się do Grażyny – nie zna całej prawdy o Jakuschu.

- Mój syn jest w niebezpieczeństwie. Wiem to i czuję – odpowiedziała, kończąc wszelkie domysły.

– Posterunek milicji w Sarbinowie działa jedynie latem w budynku przy głównej ulicy – dodała przytomnie.

Zaparkowali w centrum Sarbinowa i wysiedli z nagrzanego samochodu. Grażyna udała się na posterunek milicji sama. Zgodnie uznali, że obecność obcokrajowców niewiele pomoże, a może bardzo zaszkodzić. Teraz chodziło już tylko o to, aby za wszelką cenę sunie możliwości Jakuschowi krzywdzenie Stanisława.

Grażyna Wolny weszła na posterunek milicji drżąc na całym ciele. Trudno jej było zebrać myśli. Ulżyło jej, gdy zastała tam nieznanego funkcjonariusza. Wolała nie rozmawiać z

kolegą Stanisława. Jednocześnie jednak ogarnęła ją obawa, że siedzący za biurkiem funkcjonariusz, który jej nie zna, a przy tym jeszcze jest bardzo młody, po usłyszeniu historii, którą powinna mu krótko opowiedzieć, uzna ją za wariatkę i nie podejmie interwencji.

Zmobilizowała się, przybrała możliwie godną postawę, żeby nie budzić w młodym człowieku podejrzeń o brak równowagi psychicznej, stanęła przed biurkiem i powiedziała bardzo spokojnym głosem:

- Chciałam złożyć bardzo ważne doniesienie i prosić o szybką interwencję. Nazywam się Grażyna Wolny. Mój syn, Stanisław Wolny, został sterroryzowany i uwięziony w naszym domu przez niejakiego Edmunda Jakusza. Znam dobrze Edmunda Jakusza. Naprawdę nazywa się Edmund Jakusch, ale spolszczył swoje nazwisko i załatwił sobie polskie papiery. Jest Niemcem stąd, z Pomorza. Był nazistą podczas wojny, a po wojnie należał do Werwolfu. On i jego kompani skrzywdzili wielu ludzi stąd, z Kołobrzegu, Sarbinowa i Chłopów. Mnie także. Jakusch chce zabić mnie i mojego męża Zygryda Wolny, bo rozpoznaliśmy go.

- Uwięził naszego syna! – wykrzyknęła, nie mogąc pohamować emocji. – On go zabije!

Milicjant patrzył na Grażynę w osłupieniu. Nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Jakże w to niedzielne letnie południe jemu, początkującemu przedstawicielowi władzy, mógł wpaść tak łakomy kąsek; sprawa, która mogła zaważyć na jego karierze. Wskazał kobiecie krzesło, a kiedy, z wyraźną ulgą i głośnym westchnieniem, usiadła, sięgnął po słuchawkę telefonu i przez chwilę zastanawiał się, czy zadzwonić do komendanta z Będzina, któremu chwilowo podlegał, czy od razu do Komendy Wojewódzkiej w Koszalinie, skąd został oddelegowany na lato do Sarbinowa.

Zawiadomił Koszalin. Obawiał się, że komendant w Będzinie przejmie sprawę, przyjedzie i zabierze kobietę do siebie. A on od zawsze marzył, aby piąć się w górę w milicyjnej hierarchii. Szczytem jego marzeń było wstąpienie do jednej z jednostek wchodzących w skład Wydziału Zabezpieczeń w Komendzie Stołecznej MO. Wydział ten od dwóch lat dynamicznie się rozwijał się, szkoląc funkcjonariuszy według zasad, jakie obowiązywały żołnierzy wojsk powietrzno-desantowych.

Koszalin zażądał od młodego milicjanta dokładniejszych informacji o zgłoszeniu, więc ten odłożył słuchawkę i rozpoczął przesłuchanie. Kobieta niecierpliwiła się coraz bardziej, aż w końcu wybuchła:

- Panie milicjancie, nie ma czasu! Jakusch ma broń i może zabić mojego syna! Ratujcie go!

Milicjant ponownie zadzwonił do Komendy Wojewódzkiej i przekazał informację o posiadaniu broni przez byłego członka Werwolfu, formacji szczególnie groźnej i znenawidzonej przez powojennych mieszkańców Pomorza. Polecono mu odwołanie kolegi z obchodu, zabezpieczenie domu Wolnych i czekanie na posiłki.

- Czekać. Wchodzić tylko po usłyszeniu wystrzału – padł rozkaz. - Najszybciej przyjadą do was z Kołobrzegu. Już ich wysyłamy. Kobiętę zatrzymajcie na posterunku. Zajmiemy się nią później.

Mar Fischer i Fritz Jensen czekali z pewnym oddaleniu od budynku, w którym mieścił się posterunek milicji w Sarbinowie. Znaleźli zacienione miejsce i stojąc po drugiej stronie ulicy, obserwowali co się dzieje. Czas płynął, a Grażyna nie wychodziła. Po kilkunastu minutach zobaczyli, że na posterunek przybiegł milicjant, który wcześniej uwolnił Jakuscha, a po chwili wybiegł z niego z drugim funkcjonariuszem. Obaj milicjanci, wyraźnie poruszeni, w pośpiechu skierowali się w stronę domu Wolnych.

Niemcy pozostali na miejscu. Czekali na Grażynę Wolny. Ta wkrótce po wyjściu milicjantów wyjrzała przez otwarte okno posterunku i przywołał ich ruchem ręki.

- Mam zostać na posterunku i czekać na kogoś wyższej rangi. Będzie mnie przesłuchiwał. Może zabiorą mnie do Koszalina – powiedziała smutnym głosem, w którym wyczuwało się rezygnację.

– Pod nasz dom mają przyjechać posiłki z Kołobrzegu. Może zdążą uratować Stanisława. Ukryjcie się gdzieś i poczekajcie, albo wracajcie do Koszalina. Nic tu po was - dodała.

Woleli poczekać, niż kolejny raz zostawiać Grażynę samą w trudnej sytuacji. Mieli przecież czas do rana. Jutro wieczorem, a najpóźniej w nocy, zmęczeni, ale bezpieczni, będą mogli położyć się spać we własnych łóżkach, a los Grażyny i jej syna był niepewny.

- Przyniesiemy pani coś do jedzenia – zaproponował Fritz Jensen, sam odczuwając straszny głód.

-Nic nie przełknę – odpowiedziała kobieta. – Ale wy, jeśli zostajecie, idźcie do smaźalni ryb. Tej zaraz na końcu tej ulicy. Sprawdzona.

Stanisław siedział na kanapie w dużym pokoju i starał się o niczym nie myśleć. Oddał Jakuschowi jego plecak, pistolet i amunicję, a ten, przywiązał go do kanapy i chodził niespokojnie po całym domu. Powiedział, że muszą czekać na powrót Grażyny.

Matka nie nadchodziła. Prawdopodobnie pojechała do szpitala, lecz Stanisław nie wiedział, czy udała się tam sama, czy z dwoma Niemcami. Czas płynął wolno. Zamknął oczy i odpoczywał. Od czasu do czasu widział obraz żony i dzieci. Robiło mu się wtedy bardzo przykro, że znajdują jego i matkę zastrzelonych przez zięjącego nienawiścią szaleńca, a do tego jeszcze dowiedzą się o śmierci Zygryda.

Stanisław Wolny nie czuł rozpaczy z powodu śmierci przybranego ojca. Wprawdzie ojczym nigdy go nie skrzywdził, a nawet często pomagał, ale wyjście na jaw tego, że zamordował biologicznego ojca Stanisława oraz to, że miał jakąś paskudną przeszłość i konszachty z Jakuschem, zgasiły w nim wszelkie pozytywne uczucia.

- Dobrze, że rodzice Lilki są tacy dobrzy, normalni i przedsiębiorczy – pocieszał się.

– Pomogą Lilce i naszym dzieciom, a mnie, matce i ojcu zorganizują pogrzeby. Czy Lilka będzie chciał zostać w tym przeklętym domu pełnym kłamstwa i ponurych tajemnic? – zastanawiał się.

– Dobrze, że nie powiedziałem jej, że mój prawdziwy ojciec był Niemcem. Niech dzieci żyją w przekonaniu, że są stuprocentowymi Polakami. Chociaż może niemieckie pochodzenie pozwoliłoby im wyrwać się z komunistycznej beznadziei? – myślał.

Stanisław usłyszał, że Jakusch - który podminowany wychodził z pokoju, wracał, wyglądał przez okna, znów wychodził – wszedł do łazienki. Do pokoju przez otwarte okno wpadało rozgrzane letnim słońcem powietrze. Nagle z zewnątrz dobiegły go szepty. Ożywił się.

- Albo matka z Niemcami, albo sąsiad – pomyślał. – Wszystko jedno. Niech się dzieje co chce.

- Jestem tu z Jakuschem – powiedział półgłosem, zwracając głowę do okna. – Uważajcie. Ma broń.

Za oknem ucichło.

- Co ty już do siebie gadasz? – krzyknął Jakusch z przedpokoju. – A jeszcze tyle przygód przed tobą.

Stanisław skulił się w sobie, słysząc, że tamten otwiera drzwi wejściowe. Miał nadzieję, że nie wyjdzie na podwórze, bojąc się, że mogliby go zauważyć sąsiedzi i przypadkowi przechodnie.

W oknie pojawiła się milicyjna czapka, a za nią znajoma twarz z palcem na ustach nakazującym Stanisławowi milczenie. Za moment rozległ się krzyk, trzaśnięcie drzwi i czyjeś ciało ciężko upadło na podłogę.

Jakusch został zatrzymany przez młodego milicjanta zanim przyjechały posiłki z Kołobrzegu. Młody, ambitny funkcjonariusz wykorzystał fakt, że podejrzany wysunął głowę za drzwi wejściowe, a on właśnie za nimi stał przyklejony do ściany budynku. Przyłożył bandycie do skroni lufę pistoletu, gwałtownie pchnął drzwi, uderzając nimi delikwenta i wykrzyknął:

- Rzuć broń! Kładź się na ziemię!

Natychmiast nadbiegł kolega i skuł Jakuscha dokładnie w tej samej chwili, gdy pod domem z piskiem opon zatrzymał się nieoznakowany radiowóz. Wyskoczyło z niego czterech funkcjonariuszy w cywilu, podbiegli do zatrzymanego, chwycili go pod pachy, wpakowali do samochodu i odjechali na sygnale.

Tuż za nieoznakowanym radiowozem przyjechała milicyjna Nysa, zwana potocznie „suką”. Wysiadło z niej trzech mundurowych. Dwaj weszli do domu i wyprowadzili stamtąd skutego Stanisława. Wsadzili go do Nyski i także w niej zniknęli. Trzeci, najwyższy rangą, zebrał informacje od sarbinowskich milicjantów, a następnie zabezpieczył drzwi domu papierową taśmą. Potem wszyscy wsiedli do Nysy i cała ekipa ruszyła na posterunek. Z posterunku zabrali Grażynę i pojechali do Koszalina. Młody milicjant pojechał z nimi. Był ważnym świadkiem wydarzenia i wykazał się godną podziwu odwagą i sprawnością. Starszy pozostał na miejscu, aby pilnować porządku w Sarbinowie.

Mar Fischer i Fritz Jensen patrzyli na milicyjną akcję na posterunku, stając w tłumie gapiów. Widzieli Grażynę Wolny wsiadającą do milicyjnego samochodu w towarzystwie umundurowanych funkcjonariuszy. Nie patrzyła w ich stronę. Wstydziała się obserwujących scenę ludzi. Szła ze spuszczoną głową.

- Chyba zabierają ją do Koszalina – powiedział Jensen. – Stanisława także. Jedźmy za nimi. Po drodze zastanowimy się, co dalej robić.

14. Prawda



Wszystko zaczęło się od przypadku. W październiku 1934 roku siedemnastoletni Edmund Jakusch pokłócił się ze swoim rówieśnikiem i kolegą ze szkoły Otto Bergerem. Poszło o dziewczynę. Młodzieńców różniło prawie wszystko. Chudy i żylasty Edmund Jakusch, sierota na garnuszku u stryja, nie podobał się tym dziewczynom, które wzbudzały jego zainteresowanie. Jasnowłosey, przystojny i wesoły Berger, jednak wśród sióstr i pupilek matki, umiał rozmawiać z dziewczynami i miał u nich szalone powodzenie.

Edmund był zafascynowany siłą i zdecydowaniem miejscowych działaczy NSDAP i gorliwym członkiem Hitlerjugend. Otto stronił od organizacji, a chętnie angażował się w pomaganie pastrowi z Sarbinowa w sprawach dotyczących lokalnej wspólnoty. Dziewczyna miała na imię Lea, miała długie jasne włosy, piękne błękitne oczy i śpiewała w kościelnym chórze. Była wpatrzona w Otta, a na Edmunda nie zwracała uwagi. On nie mógł tego znieść. Ulgę mogło mu przynieść jedynie ukaranie i dziewczyny i kolegi. Ostatecznie Otto sam na siebie wydał wyrok śmierci, kiedy publicznie zakpił sobie z Edmunda, wytykając mu podejrzanę pochodzenie.

- Od razu widać - powiedział kiedyś przy innych kolegach i w obecności dziewczyny – żeś nie całkiem Niemiec. Podobno twoja matka była Polką.

Od tego wydarzenia poczuwszy publicznie upokorzony Edmund Jakusch myślał nieustannie, jak zabić Bergera. Tylko najsurowsza kara mogła ukoić jego psychiczne cierpienia.

Zastanawiał się, co zrobić, aby jak najmocniej zranić rodzinę Otta, kochającą się w nim dziewczynę, a także aby na zawsze skalać pamięć o nim. Stwierdził, że odpowiednia byłaby śmierć samobójcza. Dlatego zdecydował się powiesić Bergera. Musiał jednak na miejscu śmierci winowajcy pozostawić swój znak, znak sprawiedliwie go karającego.

Stary, znany już przed tysiącami lat, znak nazywany słonecznym kręgiem, uznał za najbardziej odpowiedni. Oznaczał on bowiem związek nieba i ziemi, łączył w sobie idealną ślepą sprawiedliwość losu z ludzką niedoskonałością, ale także, co ważniejsze, łączył element germański ze słowiańskim, czyli dokładnie to, co składało się na złożoność jego, Edmunda Jakuscha, natury.

Przez długie godziny, w tajemnicy przed rodziną stryja, ćwiczył cierpliwie w szopie wiązanie szubieniczego wężła. Wypróbował różne rodzaje sznurów. Poszukał w lesie odpowiedniego miejsca i właściwego starego drzewa. Lubiał precyzyjnie wykonywać każdą robotę. Ta, którą miał przed sobą była szczególnie istotna, bo uświadomił sobie, że wyniesie go ponad zwyczajność do starodawnego duchowego świata bogów. Od kiedy nauczył się dobrze czytać, interesował się germańskimi i słowiańskimi mitami, a wiedza, którą z czasem posiadał, pomogła mu uporządkować świat i odnajdywać w nim ponadprzeciętne cele .

Stwierdził, że nie podoła zadaniu sam, że potrzebuje zaufanego pomocnika, który zrozumie sens przedsięwzięcia. Otto był silnym chłopakiem. Samotne działanie mogłoby skończyć się niepowodzeniem. Natychmiast pomyślał o Zygfydzie. Kuzyn wzorował się na nim. Podziwiał jego wiedzę, pochwalał pomysły i był bezwarunkowo lojalny, a choć miał słaby charakter, marzył o wielkich czynach, do których sam nie był zdolny.

Edmund Jakusch nie powiedział Zygfydowi Freiowi, że poszło o dziewczynę. Przekonał go bez trudu, że Otto jest zdrajcą, bo po cichu krytykuje ideę Wielkich Niemiec. Nie chciał go także wtajemniczać w tajemną wiedzę, którą sam się inspirował. Kuzyn nic by z niej nie pojął.

W umówionym dniu pod koniec listopada Zygfyd Frei poprosił szefa kuchni o dwa dni wolnego i pociągami przyjechał z Kolbergu do Alt Banzin. Na dworcu czekał na niego

Edmund Jakusch. Razem ruszyli pieszo do Bauerhufen, a po drodze omówili szczegółowo plan działania i podzielili się zadaniami.

Czatowali na Otta w nadmorskim lesie za Bauerhufen na ścieżce prowadzącej do Kleinmöllen i dalej do Grossmöllen. Otto chadzał nią często późnym wieczorem, gdy wracał od przyjaciela mieszkającego w Kleinmöllen.

Było już zupełnie ciemno, kiedy Zygfryd, którego Otto nie znał, idąc z naprzeciwka, zatrzymał chłopaka i zapytał, czy daleko jeszcze do Grossmöllen, a wtedy Edmund cicho zaszedł go od tyłu i zarzucił na szyję pętlę. Zygfryd trzymał ofiarę, a Edmund dusił. Poszło gładko.

Gdy Otto już nie żył, uporządkowali mu ubranie, przygładzili włosy i wspólnymi siłami powiesili na upatrzonej wcześniej gałęzi starego dębu. Pod stopami wisielca Edmund wyrównał ziemię i narysował słoneczny krzyż. Zatarli gałęziami inne ślady i spokojnie wrócili do wsi.

Zygfryd przenocował u stryja Edmunda i wcześniej rano poszedł na stację do Alt Benzin. Spieszył się do pracy, więc nie czekał na odkrycie ciała i dalszy rozwój wydarzeń. Dopiero po kilku dniach dowiedział się od bardzo zadowolonego kuzyna, że wszystko poszło po ich myśli, że wszyscy uwierzyli w samobójstwo: rodzina Otta, mieszkańcy wsi i policja.

Sprawa Emmy Ackermann pojawiła się niespodziewanie cztery miesiące później, w marcu 1935 roku. Po niedzielnym nabożeństwie w kościele w Sorenbohm do Edmunda Jakuscha podszedł Thomas Winckler, najmłodszy syn miejscowego właściciela młyna wiatrowego Paula Wincklera. Edmund czuł respekt przed tym starszym od niego chłopakiem z dobrego i bogatego domu. Młody Winckler imponował mu. Działał wcześniej w Hitlerjugend, teraz studiował w Berlinie i należał do NSDAP.

Thomas wziął Edmunda na bok i powiedział:

- Wiem, że to ty powiesiłeś Otta Bergera. Nie pytaj, skąd wiem. Nie wydám cię, ale musisz coś dla mnie zrobić.

Jakusch zadrżał w środku, ale nie pokazał na zewnątrz ani strachu, ani zaskoczenia. Patrzył na Thomasa obojętnym wzrokiem i nic nie powiedział. Od razu uwierzył młodemu

Wincklerowi, sam nie wiedząc dlaczego. Nie był także zdziwiony, gdy Thomas zażądał, aby Edmund sfingował samobójstwo Emmy.

Syn młynarza obiecał Edmundowi nie tylko milczenie w sprawie śmierci Otta Bergera, ale także sporą sumę pieniędzy. Edmund bez negocjacji przyjął wszystkie i nie żałował. Dowiedział się bowiem dużo później, że Thomas spędził pewną listopadową noc z koleżanką z Kolbergu w hotelu Astoria w Bauerhufen. Stał w oknie, gdy on i Zygryd wracali z lasu właśnie tej samej nocy. Była to noc powieszenia Otta Bergera.

W kwietniowy piątkowy wieczór 1935 roku Thomas Wincler, w tajemnicy przed rodzicami, przyjechał do Sorenbohm, poszedł do Bauerhufen i wywołał Emmę z domu. Umówił się z nią na następny dzień, w sobotę późnym popołudniem. Ważne dla ich obojga spotkanie, o którym nikt nie powinien się wiedzieć, miało mieć miejsce na leśnej ścieżce, którą Emma codziennie chodziła z Bauerhufen do Sorenbohm.

W sobotę dziewczyna wymknęła się niepostrzeżenie z pensjonatu Haus am Meer i poleciała do lasu jak na skrzydłach. Spodziewała się, że rozmowa z Thomasem zakończy się czymś ważnym, może zaręczynami, więc wystroiła się w swoją najładniejszą sukienkę i założyła wykrochmalony śnieżnobiały fartuch, który podkreślał jej zgrabną figurę i dodawał blasku twarzy. Stawiła się na miejsce spotkania przed czasem i niecierpliwie wyglądała nadejścia ukochanego. Ze strony Sorenbohm szedł jakiś chłopak. Nie wiedziała, że to Zygryd Frei. Nie znała go.

Edmund z kuzynem powtórzyli wcześniej wypróbowany scenariusz. I znów poszło gładko, choć Frei podtrzymując ciało, podczas gdy Jakusch zaciskał sznur na szyi zaskoczonej i spanikowanej dziewczyny sznur, zranił się w dłoń, zahaczając o ostrą krawędź klamry, którą Emma spięła włosy. Rana była niewielka. Wylał krew w znaleziony pod drzewem kawałek gazety, a następnie tą samą gazetą wytarł strużkę krwi, która pojawiła się na twarzy ofiary i rzucił gazetę w krzaki.

Śledztwo w sprawie śmierci Emmy Ackermann prowadzono dłużej niż w przypadku Otta Bergera, a przybyły z Berlina komisarz Hans Stratmann i jego asystent Fritz Jensen zaczęli być znani w całej okolicy. Odkryli powiązania Emmy z Thomasem, ale nic nie wskórali.

Edmund Jakusch triumfował. Poczł własną siłę. Mógł decydować o życiu i śmierci wybranych przez siebie osób. Potrafił przechytrzyć wszystkich, nawet doświadczonego policjanta z Kripo i dawało mu to nieznaną wcześniej satysfakcję.

Zaczął bacznie przyglądać się przypadkowo napotykanym osobom, a wewnętrzny nieomylny głos mówił mu, która z nich powinna umrzeć. System działał niezawodnie. Powiesili z Zygfydem tchórzliwego chłopaka z Funkenhagen, który nie nadawał się do służby w Hitlerjugend. Wyeliminowali zahukaną i głupią dziewczuchę z Kleimöllen oraz pyszałkowatego starego wieśniaka z Bauerhufen, który woził towar do bazy lotniczej w Nest.

Rozpoczęła się wojna i Edmund Jakusch realizował się jako pan życia i śmierci w 3 pułku SS-Standarte, a później w Waffen-SS. Kiedy stracił dwa palce prawej dłoni, przeżył wielkie rozczarowanie. Musiał opuścić armię. Odzyskał pewność siebie dopiero wtedy, gdy wrócił na Pommern i zaczął służbę w bazie lotniczej w Bodenhagen. Znow zaczął polować. Ofiar szukał oczywiście poza bazą. Najchętniej w Kolbergu, aby ułatwić Zygfydowi urywanie się z pracy. Wymierzanie kary wcześniej upatrzonym osobom - był przekonany, że instynkt wskazuje mu tych, którzy na karę zasłużyli – znow przynosiło mu wielką satysfakcję i dawało poczucie nadludzkiej siły i całkowitej bezkarności. Policja kryminalna, zajęta ściganiem wrogów politycznych, niezbyt interesowała się przypadkami samobójstw, które podczas wojny stały się niemal codziennością.

Zygfyd Frei zaskoczył Edmunda Jakuscha w styczniu 1945 roku tym, że poza jego wiedzą, stosując dobrze sprawdzony sposób, zabił komisarza Hansa Stratmanna. Tym razem to Zygfyd był katem, a na pomocnika wziął sobie zwykłego opryszka. Czas był niespokojny i Jakusch nie wnikał w powody samodzielnego przedsięwzięcia Zygfyda. Nadludzka siła, którą odkrył w sobie, pozwoliła mu przetrwać koniec wojny i prowadzić walkę dalej.

Ukarał wiele osób, choć niestety nie miał już czasu na dokładne reżyserowanie wykonywanych wyroków. Nie lubił prowizorki, ale niewiele mógł na to poradzić. Musiał wybierać pomiędzy skutecznością a perfekcją i wybrał, wbrew sobie, skuteczność.

Z przyjemnością więc wykonał wyrok na Lizie Rozenow. Próbowwała uciec, albo sfingowała ucieczkę, aby pomóc Polce, którą się opiekowała. Kiedy dopadł ją na skraju nadmorskiego lasu, nie wrywała się i nie broniła. Pozwoliła zaprowadzić się leśną ścieżką do starego dębu,

tego samego, na którym zawisła jego pierwsza ofiara, czyli Otto Berger. Ogłuszył ją, wyjął przygotowany zawczasu sznur, precyzyjnie zawiązał szubieniczą pętlę, stwierdzając z satysfakcją, że nie stracił wprawy, powiesił na dębowej gałęzi i narysował pod jej stopami swój ulubiony znak. Dopiero wtedy poczuł pełne zadowolenie z dobrze wykonanej roboty.

Pod koniec lat pięćdziesiątych, będąc już w zupełnie nowej sytuacji, Edmund Jakusch vel Jakusz miał wielką ochotę raz jeszcze zabić tak, jak lubił. Niestety nie mógł sobie na to pozwolić. Swietłana musiała zniknąć bez śladu. Czekał na nią w pobliżu bazy. Wcześniej poprosił żołnierza, pełniącego wartę, aby ją wywołał. Tak jak przewidywał, wyszła za bramę kompletnie zalana. Dał żołnierzowi sporą sumkę i poprosił o dyskrecję. Żołnierz go nie znał, więc i tak nie był groźny. Objął żonę i poszli w kierunku plaży. Udusił ją i zakopał na wydmach, gdzie wcześniej przygotował głęboki dół.

15. Epilog

Jadąc milicyjnym radiowozem do Koszalina, skuty kajdankami i pilnowany przez dwóch funkcjonariuszy w cywilu, Edmund Jakusch vel Jakusz analizował popełnione przez siebie błędy.

- Straciłem wewnętrzny spokój. Niepotrzebnie poddałem się emocjom – stwierdził. – Zestarzałem się i straciłem zimną krew.

Nie obawiał się o swoją przyszłość. Służby specjalne nie porzucają swoich. Łatwo wywinie się z łap polskich esbeków. Nie zamierzał udzielać im jakichkolwiek wyjaśnień, ani odpowiadać na pytania o przeszłość, lecz postanowił od razu zażądać konfrontacji ze swoim oficerem prowadzącym, który ściśle współdziałał z sowieckim wywiadem. Decyzję o tym, czy pozostanie na jakiś czas na Pomorzu, aby wreszcie ostatecznie rozprawić się z Grażyną i jej synem, postanowił podjąć po uwolnieniu.

Mar Fischer i Fritz Jensen zatrzymali samochód na bocznej ulicy od tej, na której znajdowała się Komenda Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Koszalinie. Widzieli z daleka jak milicyjna Nysa z Grażyną i Stanisławem w środku znika za bramą wjazdową.

- Czy jeszcze dziś ich przesłuchają? Czy ich wypuszczą? – zastanawiał się Jensen. – Jest niedziela wieczór. Raczej zatrzymają ich do jutra w areszcie. Sprawa jest zbyt zagmatwana i niejasna. Grażyna miała poinformować milicjanta w Sarbinowie o tym, że Jakusch to były nazista i członek Werwolfu. O innych jego zbrodniach pewnie nie powiedziała i nie powie, żeby nie oskarżać męża i nie komplikować sytuacji swojej i syna. I tak niełatwo jej będzie udowodnić powojenne winy Jakuscha. Jej słowo przeciw jego słowu. Oby tylko nie złamała się i nie powiedziała o swoim związku ze komisarzem Hansem Startmannem. Całkowicie ją to pogrąży. Straci wiarygodność.

- To co robimy? Jutro wyjeżdżamy – dopytywał się zmartwiony Mar Fischer.

Niestety, żaden z nich nie znał odpowiedzi na to pytanie.

Wysiedli z ciasnego samochodu i przechadzali się po w jego pobliżu, żeby rozprostować nogi. Starali się nie tracić z oczu budynku Komendy.

- Weź samochód, jedź do klasztoru, uspokój kolegów i powiedz, że dziś wrócimy późno. Potem wróć tutaj, ale przywieź coś do jedzenia, bo trzeba będzie warować tu na wszelki wypadek do późna – zaproponował Fritz. – Poczekał tu na ciebie i będę dyskretnie obserwował budynek na wypadek, gdyby ich jednak wypuścili. Przecież nie możemy wrócić do Niemiec, nie wiedząc, co się stanie z Grażyną i Stanisławem.

- A jeśli ich dziś nie wypuszczą? – zaniepokoił się Mar.

- To trzeba będzie zostać – powiedział Jensen, a Mar przytaknął kiwając głową, bo uznał, że ta decyzja jest trudna, ale konieczna.

- Wypuścili Jakuscha! – przytłumionym głosem wykrzyknął Fritz Jensen, wsiadając z trudem do malucha, kiedy Mar Fischer wrócił od franciszkanów z prowiantem, z którego skorzystali dużo później.

– Widziałem, jak przez bramę wjechał wojskowy samochód terenowy – kontynuował podniecony emerytowany policjant. - Ostrożnie zbliżyłem się, ukryłem w ciemnościach i czekałem, co będzie dalej. Po pół godzinie samochód wyjechał, a w środku widziałem Jakuscha. Siedział sam na tylnym siedzeniu. Nikt go nie pilnował, a to znaczy, że został uwolniony. Teraz poważnie obawiam się o los Grażyny i Stanisława. Jeśli wypuścili Jakuscha,

to ich nie wypuszczą. Musimy zostać i im pomóc. Wracamy do klasztoru. Prześpimy się. Padam ze zmęczenia. Ty też. Rano coś wymyślimy.

Wczesny poniedziałkowy poranek przyniósł nowe wyzwania. Przy śniadaniu zaniepokojeni koledzy z pomocowego transportu zaczęli drażnić temat ich częstej nieobecności w Koszalinie, późnych powrotów i dziwnego zachowania. Niepokoił się także o zdrowie dwóch starszych panów, którzy wyglądali na wyczerpanych i zdenerwowanych. Fritz Jensen starał się ich uspokoić, mówiąc, że jako były policjant wyjaśnia pewną starą sprawę, która nie daje mu spokoju, a Mar Fischer, jako znający tutejszy teren, służy mu pomocą. Szczegółów nie podał, choć koledzy o nie dopytywali.

Jeden z kolegów zasugerował, że samozwańczy śledczy mogliby porozmawiać z jednym z zakonników, który dobrze zna niemiecki, zna dobrze polskie warunki i może coś sensownego im doradzić, przyspieszając tym samym działania. Ponadto kolega wykazał się nadzwyczajną wyrozumiałością, bo przekonał pozostałych, że wyjazd do Niemiec można by opóźnić o jeden dzień, jeśli to pomoże w doprowadzeniu sprawy do końca.

Fritz Jensen i Mar Fischer skorzystali z danej im rady i niezwłocznie poprosili o dyskretną rozmowę niemieckojęzycznego franciszkanina. Powiedzieli mu wszystko, co sami wiedzieli, bo uznali, że tylko mówiąc całą prawdę, skłonią zakonnika do udzielenia pomocy Grażynie Wolny i jej synowi.

Dochodził ósma rano, gdy Fiat 125p zaparkował na ulicy Krakusa i Wandy nieopodal Komendy Wojewódzkiej MO. Z samochodu wysiadł franciszkanin w habicie. W ręce trzymał skórzaną teczkę. Wszedł do budynku Komendy i poprosił o widzenie z funkcjonariuszem prowadzącym sprawę Grażyny Wolny i Stanisława Wolny. Czekał ponad godzinę. Wreszcie wpuszczono go i zaprowadzono do gabinetu, w którym za biurkiem siedział nieumundurowany funkcjonariusz. Nie przedstawił się. Wskazał zakonnikowi krzesło i zapytał:

- O co chodzi obywatelu?

Franciszkanin wyjął z teczki kilka zapisanych kartek i podał funkcjonariuszowi. Ten spojrzał i wykrzyknął:

- Co wy mi tu dajecie! To po niemiecku! Co to jest?!

- Panie oficerze – powiedział zakonnik. – To są ważne informacje dotyczące niejakiego Edmunda Jakuscha vel Jakusza, który wczoraj został przez was zatrzymany. Razem z nim zatrzymano Grażynę Wolny i jej syna Stanisława. Mąż Grażyny Wolny, Zygfryd, złożył przed śmiercią zeznania, a ja je spisałem. Mówił po niemiecku, więc pisałem po niemiecku, ale przetłumaczyłem – dodał, wyjmując z teczki następne kartki i kładąc je przed funkcjonariuszem.

– Te zeznania obciążają Jakuscha vel Jakusza i świadczą o tym, że Grażyna Wolny i jej syn byli jego ofiarami. Byli też pośrednio ofiarami Zygfryda Wolnego, którego Jakusch szantażował. Dlatego stwierdziłem, że służby koniecznie muszą zająć się tą sprawą – dodał zakonnik.

Funkcjonariusz zaczął czytać podane mu nowe kartki. Wstał zanim doszedł do ostatniej i wyszedł z pomieszczenia, zabierając z sobą także te zapisane po niemiecku. Zakonnik cierpliwie czekał. Milicjant, a raczej funkcjonariusz służby bezpieczeństwa, wrócił po kilkudziesięciu minutach. Usiadł za biurkiem i nie odzywał się, a franciszkanin także zachował spokój i milczenie. Po chwili do gabinetu wprowadzono kobietę. Okazało się, że jest nią Grażyna Wolny. Esbek nie poprosił, aby kobieta usiadła, lecz podszedł do niej bardzo blisko, długo patrzył jej w twarz, a potem podał trzymane za placami kartki. Kobieta przeczytała, a on zapytał:

- Czy potwierdza obywatelka, że są to zeznania jej zmarłego męża Zygfryda Wolnego?

Grażyna skinęła głową.

- Głośno! – zażądał funkcjonariusz.

- Tak. potwierdzam – powiedziała głośno i spojrzała dyskretnie na zakonnika, który niezauważalnym dla funkcjonariusza gestem wskazał na siebie.

Potwierdzam – powtórzyła. – Są to są zeznania mojego męża Zygfryda Wolny. Złożył je na łożu śmierci, a obecny tu ojciec spisał je.

- Jaki ojciec?! Czyj ojciec?! – zdenerwował się milicjant. – Mówi obywatelka o obecnym tu obywatelu zakonniku?

- Tak – potwierdziła kobieta, uśmiechając się kącikiem ust.

- Jesteście wolna obywatelko, ale zostanieie jeszcze wezwana do złożenia wyjaśnień. Syn na razie zostanie u nas.

- Proszę pana. Proszę go puścić. On nic nie wie – poprosiła Grażyna.

- Sprawdzimy – usłyszała w odpowiedzi. – Wasze przepustki.

Kobieta i zakonnik wyszli z gabinetu na korytarz. Grażyna drżała na całym ciele. Z trudem doszła do samochodu.

Natychmiast po wyjściu penitentów funkcjonariusz udał się do zastępcy komendanta Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Koszalinie, który zarządzał koszalińską służbą bezpieczeństwa. Ten już na niego czekał.

- Wypuściliście Wolną? – zapytał przełożony podwładnego.

– Tak jest. Zgodnie z rozkazem obywatelu komendancie - odpowiedział funkcjonariusz przyjmując postawę „na baczność” – a synka potrzymamy do jutra. Niech dojrzeje.

- Dobrze – pokiwał głową komendant. I dodał:

- Poinformowałem o sprawie Jakuscha naszego Witaszka. Jego ludzie dziś jeszcze zlikwidują tę kanalię. Może już się nim zajęli. Towarzysze radzieccy wyrazili zgodę. Sprawa jest delikatna i oczywiście ściśle tajna. Nikt poza nami dwoma nie może się dowiedzieć.

- Tak jest – potwierdził podwładny.

– A co robimy z Wolną i jej synem? – dopytał przełożonego.

-A Wolną i jej syna z rodziną trzeba wyprawić jak najszybciej do Reichu. Tam jest ich miejsce.

Spis treści

Rozdział pierwszy	1
1. Obudzone wspomnienia	3
2. Komisarz	8
3. Wisiielec pierwszy	15
4. Wisiielec drugi	22
5. Niebezpieczna ekscytacja	31
3. Komplikacje	40
4. Dochodzenie	48
5. Tylko wojna	57
6. Koniec młodości	66
7. Niechciana miłość	72
8. Za późno.....	82
9. Klęska	91
10. Powrót	101
11. Dotyk przeszłości	110
Rozdział drugi.....	119
1. Pamięć.....	119
2. Śmierć nie wybiera	125
3. Udręka.....	135
4. Stare ślady.....	142
5. Układanka	149
6. Wyprawa	156
7. Stabilizacja.....	162
8. Konfrontacja	168
9. W kręgu zła	175
10. Półprawdy.....	185
11. Rozliczenia	194
12. Impas	205

13.	Akcja	212
14.	Prawda.....	218
15.	Epilog	223